

STRONY:

8

CO WY TU
ROBICIE?

4

ERSKINE
CALDWELL

15

TAJEMNICE
CARÓW

6

BOLESŁAW
LEŚMIAN

11

OBIETNICE
I NADZIEJE

ODGŁOSY

ROK XVII NR 49 (888)

5 GRUDNIA 1974 ROKU

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Aura od miesięcy sprawia rolnictwu ogromne kłopoty. Kończą się dopiero prace polowe. Zła pogoda zakłóca także kampanię cukrowniczą. W reportażu „Cukier” R. Binkowski nie tylko relacjonuje aktualne trudności w cukrowniach łódzkich, na przykładzie zakładu w Leśmierzu, lecz także zastanawia się szerzej nad tym działem gospodarki rolno-spożywczej.

Mija obecnie 75 rocznica powstania łódzkiego Pogotowia Ratunkowego. Z tej okazji, ale w sposób nierozważny Z. Tarnowska rozmawia z dyrektorem tej placówki dr Adamem Pabichem.

Reportaż zagraniczny reprezentuje relacja J. Wilmańskiego (kontynuacja cyklu „syberyjskiego”) pt. „Miasto w złotej dolinie”. Natomiast A. Grun tym razem z londyńskich pubów przeniósł się do podrzędnych kin non-stop. „Szatan i naga na wrzosowisku” to tekst rozrywkowy, (smutny, ale to zmartwienie Brytyjczyków) ale jednocześnie brzmi jak ostrzeżenie przed załamem szmiry i filmowej tandety.

Jak zwykle w numerach 16-kolumnowych prezentujemy duży blok literacki. W. Pusz pisze o twórczości Leśmiana. W „Słowniku pisarzy łódzkich” Zygmunta Fijas. JANA HUSZCZĘ znanego z wszechstronnej twórczości literackiej prezentujemy także wszechstronnie, jako poetę, prozaika i tłumacza. Głośnej książce Kornhausera i Zagajewskiego „Świat nie przedstawiony” w miejsce stereotypowej recenzji, poświęcamy dwugłos łódzkich krytyków pod wymownym hasłem „Obietnice i nadzieje”.

Drugi blok tematyczny poświęcamy tym razem telewizji (za tydzień teatr, w którym zwracamy uwagę na ciekawą rozmowę z dr. Z. Bokrzańskim o publicystyce telewizyjnej).

Numer zamykamy 2-kolumnowej objętości „Magazynem”, w którym swoistej materii pomieszczenie, jako że w różne gusty czytelników tego działu celujemy. Sądzymy, że wśród tych pozycji będzie przynajmniej kilka trafnych.

JERZY WILMAŃSKI

MIASTO W ZŁOTEJ DOLINIE

„ŻYJEMY KRÓTKO, ALE PIĘKNIE” – powiedział Sławek i zamówił butelkę szampana. Teraz słynne „szampanskoje” nazywa się „igristnoje”, ale nikt tu przecież nie używa nowej nazwy, skoro stara weszła do obiegu tak dawno i z takim impetem. A zresztą radziecki szampan wcale nie ustępuje winom z Szampanii; francuscy producenci są tego świadomi, dlatego też wystąpili o zastrzeżenie nazwy.

A zatem na stolik barku moskiewskiego lotniska Domodiedowo spłynęła pierwsza butelka szampana. Do odlotu pozostało jeszcze trzy godziny. Inni też chcieli żyć krótko, ale pięknie. Co tu kryć – po dwu godzinach szampana w barze zabrakło. Prawie trzy tysiące kilometrów podróży do Nowosybirsk, minęło jak z bicza strzelił. A raczej lepiej będzie powiedzieć – jak z szampana strzelił.

Dalszy ciąg na str. 5



ANDRZEJ GRUN

SZATAN I NAGA NA WRZOSOWISKU

Zaczyna się tak: bezkres wrzosowisk, pustkowia, gdzie sam czart mówi dobranoc. Pośród owego pustkowskiego zamczyska z białego kamienia z wieżami i wieżyczkami, okolone murem omszałym, wokół zamczyska park stary, jakieś cmentarysko na uboczu z na polu porozwalanymi grobowcami, jakaś wałaca się kaplica; deszcz zaczyna, wichura, nie toperze jak gawrony, kruk, puszczyki, sowy i inna nocna bród ptasia lata, pohukuje, popiskuje; księżyc (w pełni) co rusz przez zwaly chmur przeziela, oświetla ową scenę niesamowitą, groźną, tajemną. Od czasu do czasu jakaś błyskawica przetnie nieboskłon granatowo-czarny, trupią poświatą zaleje chmury skłębione i ziemię i mury zamczyska, narobi halasu nie wróćąc nic dobrego temu zakątkowi, co zda się być zapomniany do szczytu przez Boga i ludzi. Atoli w wieży zamku żółta migotliwa poświata obrysowuje prostokąt okienka. Poprzez wycie wichru, szum liści starodrzewia, monotony pluskot deszczu z trudem przedziera się

Dalszy ciąg na str. 12



DOBRA PRACA – PEŁNY STÓŁ

Za szklanymi lukami warników bulgoce brunatna ciecz. Jest gorąco, powietrze ciężkie i mdłe, o słodkawym zapachu. Obnażeni do pasa gotowacze otwierają niewielkie spusty, badając stężenie cieczy.

Okrągła kolumna warnika sięga pierwszego piętra. Wystarczy wspiąć do niej garść cukru pudru, aby brunatna ciecz przemieniła się w gęsty syrop.

— Ale to jeszcze nie jest cukier. Syrop spływa na leniwie toczące się mieszadła.

— A gdyby tak stanęły?
— Co?
— Te mieszadła...

Inżynier Zbigniew Rakowiecki, dyrektor d/s technicznych, spojrzal na mnie z rozbawieniem.

— Z syropu byłaby krystaliczna masa – powiedział. — Nie, tylko chwytac za kilofy i rabać przez tydzień!

Cukier powstaje na wirówkach...

— Pan chciałby opisać cały proces? — pyta Rakowiecki.

— Z chemii byłem zawsze do tyłu...

— Nie o to chodzi! Pan może opisać, ale w zarysie. W przemyśle spożywczym cukrownia jest zakładem o najbardziej skomplikowanym procesie technologicznym.

Zapamiętałem: transporter niesie buraki z placu do fabryki. Widziałem czyszczenie buraków z ziemi, wylapywacz kamieni, myjnię z wirującymi w spienionej wodzie łopatomy, ślimakowy podnośnik, ciągnący buraki na krajalnię, wylaczalnie soków, transport wysłodków.

Zdziwiłem się, widząc leżące na przedpolu Leśmierza hałdy szarego kamienia, dymiący nad senną osadą komin hutniczy. Potem już wiedziałem: aby powstał cukier, musi być kamień wapienny, który wypala się w piecu, gdyż w procesie technologicznym niezbędny jest tlenek wapnia i dwutlenek węgla.

Utkwiła mi w pamięci stacja saturacji, z której odprowadza się do zbiorników ciężką, gliniastą maź – błoto defekosaturacyjne. Z tego błota nie wychodzi nikt. Przypomniałem sobie młodszą dziewczynę, która o zmierzchu wpadła do zbiornika. Zdążyła jeszcze krzyknąć, dozorca słyszał ten krzyk, ale było już za późno. Bardzo długo nie można było odnaleźć ciała...

Dalszy ciąg na str. 7



KRONIKA PLASTYCZNA

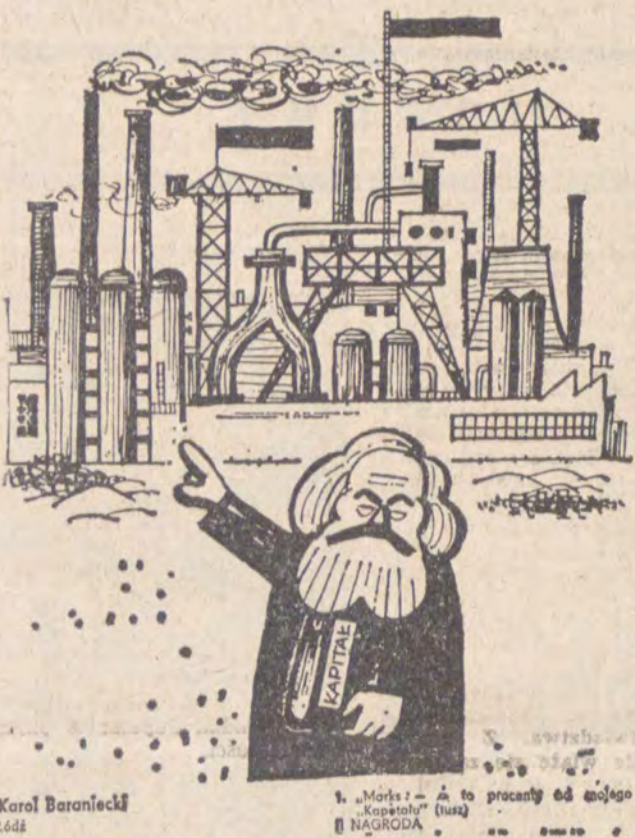
1—
W konkursie na plakat, zorganizowanym przez Główny Zarząd Polityczny WP i Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków z okazji 30 rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem, jury przyznało dwie równorzędne nagrody. Otrzymały je: Paweł Udorwiecki (Łódź) i Andrzej Drabik (Katowice). Na konkurs nadesłano 39 prac. Nagrody pierwszej w konkursie nie przyznano.

2—
27 listopada br. w Salonie Sztuki Współczesnej przy ul. Piotrkowskiej otwarta została Ogólnopolska Wystawa Satyry. Organizatorami wystawy są: Związek Polskich Artystów Plastyków — Okręg Łódzki i Biuro Wystaw Artystycznych. Jest to druga impreza tego typu; pierwsza odbyła się w 1959 roku z okazji 15-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Warunkiem uczestnictwa w ekspozycji była wcześniejsza publikacja zgłoszonych prac.

Ogólnopolska Wystawa Satyry stanowi przegląd aktualnego dorobku najwybitniejszych polskich satyryków i prezentuje najnowsze tendencje i kierunki w tej dziedzinie twórczości plastycznej. Udział w wystawie zgłosiło 48 rysowników prezentując 190 prac. Jury Wystawy pod przewodnictwem red. naczelnego „Karuzeli”, Wojciecha Drygasa, przyznało następujące nagrody: pierwszą — Erykowi Lipińskiemu, drugą — Karolowi Baranieckiemu („Karuzela”) i Andrzejowi Stokowi, trzy trzecie — Jerzemu Jankowskiemu, Jerzemu Dudzie-Gracowskiemu, Stanisławowi Dąbrowskiemu.

Przyznano ponadto wyróżnienia następującym artystom plastykom: K. Fersterowi, M. Kameckiemu, A.M. Marcie, I. Bulli, J. Jurczyszynowi, E. Ludczynowi, S. S. Wielgusowi.

Ogólnopolska Wystawa Satyry w Łodzi ma być w założeniach swoich imprezą cykliczną.



Karol Baraniecki
1962

1. Marks — 2. A to procenty od procentów
„Kapitał” (luz)
NAGRODA

PROSZĘ O GŁOS

Zdaje sobie sprawę z tego, że w rubryce PROSZĘ O GŁOS redakcja publikuje wypowiedzi różnych autorów na zasadzie „wolnej trybuny”. Autorzy piszą więc w pewnym sensie na własną odpowiedzialność i prezentują najrozmaitsze, subiektywne poglądy — do czego zresztą mają prawo.

Sądę jednak, że wypowiedź R. Binkowskiego w tej rubryce w 48 numerze „Odgłosów” jest nadużyciem tej formuły, a postawa redakcji dziwi, że opublikowała ten tekst bez krytycznego komentarza.

Wiesław Jażdżyński słuszenie krytykuje zjawisko konkursomanii pleniącej się w najrozmaitszych dziedzinach życia.

Na zasadzie „nie dajmy się zwariować” oponuje przeciwko podnoszeniu do rangi enoty czy zasługi tego wszystkiego, co jest zwyczajną powinnością, albo przynajmniej winno nią być w imię zdrowego rozsądku. Autor „Życia na konkurs” nie proponuje wyłania dziecka z kąpielą, wyzywa tylko do umiaru i zachowania rozsądnego proporcji.

Ryszard Binkowski zajmuje w tej sprawie stanowisko dość irracjonalne. Bo nie może nie dziwić, że pisarz który sam w dużym stopniu zawdzięcza swą karierę literacką różnym konkursom, może wypisywać takie głupstwa. Trzeba mu więc przypomnieć, że gdyby właśnie nie konkursy kto wie, czy powstałyby tak wybitne książki jak: Juliana Kawaleca „Tańczący jastrząb” i „Szara aureola”, Tadeusza Hołujy „Osoba”, Halny Auderskiej „Płasi gościelnice”, Bohdana Czeszki „Tren”, „Skapani w ogniu” Wojciecha Żukrowskiego, Wacława Billińskiego „Nagrody i odznaczenia” i wiele innych.

Pytanie: czy konkursy są potrzebne? — w świetle przedstawionych wyżej faktów, (część faktów, bo lista nagrodzonych w różnych konkursach wybitnych książek zajęłaby cały felieton) — jest śmieszne i niegodne polemiki. Chodzi mi właściwie wyłącznie o autora „Pojednania”.

Ryszard Binkowski imputuje W. Jażdżyńskiemu, że napisał powieść na zadany temat,

że gdyby nie konkurs napisałby książkę inną, lepszą, bardziej „własną”. Jest to zarzut nie do przyjęcia dla każdego kto zna poprzednie książki autora „Świętokrzyskiego poloneza” i wie, że głównym motywem jego twórczości, jego obsesją pisarską, są problemy, do których wraca w „Pojednaniu” — trudny czas narodzin naszej ludowej państwowości.

Polemista Jażdżyńskiego podiera swoje insynuacje wyssaną z palca informacją, że na głowę laureata posypały się recenzentki gromy. To po prostu nieprawda, gdyż dziewięćdziesiąt procent recenzentów (proszę mi wybaczyć te rachunki) wysoko oceniło autorówski zamysł i jego artystyczną realizację. Nie chcę się zbytnio czeplić mojego z koleżanki polemisty, ale aż prosi się przypomnieć mu choćby recenzję Barbary Nawrockiej „Toast za narodową zgodę”, w piśmie w którym pracuje.

A. GÓRCZYŃSKI
OD REDAKCJI: Naszych Czytelników informujemy, że w numerze 50 w dn. 12. XII. opublikujemy stenogram z dyskusji nad „Pojednaniem”, jaka odbyła się w listopadzie wśród członków łódzkiego Oddziału ZLP, z inspiracji Egzekutywy POP.

„CZÓLENKO TKACKIE 74”

Rozstrzygnięty został, szósty kole, ogólnopolski konkurs literacki o nagrodę „Czółenka tkackiego”, zorganizowany przez WRN, WRZZ, ZLP, ZSMW i redakcję naszego tygodnika.

Jury pod przewodnictwem Tadeusza Chrościelewskiego przyznało I nagrodę w wysokości 3.000 zł i „Czółenka tkackiego” Jerzemu Lesławowi ORDANOWI z Torunia. II nagrodę przyznało Jadwidze KRAWCZYK z Rzeszowa, a wyróżnienia: Henrykowi Kawiorskiemu z Kielc, Maksymilianowi Kozłowskiemu z Bydgoszczy i Janinie Barczak z Puskowa w woj. rzeszowskim.

Laureatom konkursu składamy serdeczne gratulacje. Nagrodzone opowiadanie J. L. Ordana pt. „Życie w wybranej okolicy” opublikujemy w późniejszym terminie.

(a.b.)

POLEMIKI LITERAT — OSZUST

W „Głosie Robotniczym” z dn. 29 listopada br. przeczytałem w rubryce: „Z akt prokuratury” notatkę pt. „Nieliterackie skłonności”. Zacytuję fragmenty: „Do Sądu Powiatowego wpłynął akt oskarżenia przeciwko 41-letniemu Napoleonowi S., zamieszkałemu przy ul. Żeromskiego 1/17 oskarżonemu o wyłudzenie pieniędzy od Zenona G. i Włodzimierza R. Oskarżony, z zawodu literat, wyłudził od Zenona G. trzy tysiące złotych jako zaliczkę na poczet zapłaty za 100 dolarów, które miał mu rzekomo odsprzedać”. Dalej czytamy: „Oskarżony w okresie od roku 1953 do 1969 był piętnastokrotnie karany, w tym wiele razy za podobne przestępstwa”.

Notatkę tę podpisaną literką (D). Nie wnikając w to, ile liter można jeszcze za ową literkę postawić, trzeba chyba z całą pewnością stwierdzić, że pisał to ktoś „z zawodu dziennikarz”. A zatem pozbawiając ohydę ze słowem drukowanym powinno autora notatki skłonić do zastanowienia.

Mieszka i pracuje w Łodzi blisko 50-osobowa grupa pisarzy zrzeszonych w Związku Literatów Polskich: Nie ma wśród nich nikogo, kto „w okresie od roku 1953 do 1969 był piętnastokrotnie karany”. Z Napoleonów jest nam bliżej znany tylko Bonaparte, a

I to wyłącznie z literatury i historii. Dlatego w notatce tej widzę tylko humbug i bzdurę, tym przykrejsze, że dotyczące stosunkowo małej grupy ludzi — prowadzących zresztą działalność publiczną, a więc szczególnie wrażliwych na tego rodzaju publiczne enuncjacje.

Z notatki wynika, że Napoleon S. od dwudziestu lat znany jest władzom jako oszust i waluciarz. Dwadzieścia lat to kawał czasu i było go aż nadto, aby władze mogły sprawdzić zawód tego pana. Przypuszczam, że gdyby Napoleon S. podawał się za prokuratora, bądź za dziennikarza — szare komórki sprawców tego prasowego wygłupu zaczęłyby natychmiast pracować. I na pewno nie mielibyśmy w kilkusetstronicznym nakładzie informacji głoszącej urbi et orbi, że prokurator bądź dziennikarz Napoleon S. wyłudził... i tak dalej.

Aż się wierzyle nie chce, że przez dwadzieścia lat, mimo piętnastu wyroków, chodził sobie po świecie facet i wmawia prokuratorom, że jest literatem. A oni wierzą, zamiast wziąć książkę telefoniczną i nakręcić numer Oddziału Związku Literatów Polskich.

Jak to nazwać? Na dodatek Swawolny (Dyżio z poczytnej gazety tytułuje swój, przepisany z akt prokuratury, esej — „Nieliterackie skłonności”). Że to — panie dzieju — niby wierszyki, książeczki, a w gruncie rzeczy dolarami się handluje i ludzi nabiera.

Głupie to i śmieszne w gruncie rzeczy, a jednak zostawia niesmak. A jeśli ktoś myśli, że ów wygłup sprytnego oszusta ośmieszył tylko literatów, zapewniam, że się myli. Ośmieszył w równym stopniu sprawców owej „sensacyjnej” informacji.

REDAKCJA

KSIĄŻKA

OD DIALEKTU do JĘZYKA

Przez wieki całe popularna metafora nazywała świat — teatrem. Dziś jest on raczej stadionem. Duch rywalizacji unosi się nad światem. Wynalazczość techniczna, ekonomia, rolnictwo, brojenia, medycyna i wszystkie niemal dziedziny ludzkiego działania zdominował rytm mnożenia, wzrostu, intensyfikacji. Kolejne osiągnięcia stwarzają kolejne potrzeby, wyznaczają zadania, z których każde następne jest pilniejsze od poprzedniego. Przyspieszaniu ulega nie tylko proces powstawania nowych zjawisk, lecz holduje mu również proces rozpadu, zanikania, obumierania starych form życia.

O nauce współczesnej mówi się coraz częściej, że prowadzi wyścig z czasem. Nie zawsze jednak zdajemy sobie sprawę z podwójnego znaczenia przytoczonego porzekadła. Nauka jest siłą motoryczną cywilizacyjnego pędu, budzi niezadowolone z tego, co jest, podnieca twórcze pasje człowieka, a jednocześnie mobilizuje do obrony tego, co przegrano, co się przeżyło, co utraciło praktyczną przydatność. Optuje za rzeczami sprawniejszymi, funkcjonalnymi, a zarazem konserwuje niesprawne i niefunkcjonalne.

Idea ochrony jest produktem idei rozwoju. Wiek dziewiętnasty, wiek pary i elektryczności, stał się również wiekiem nauk historycznych. Wówczas to powstają „ratunkowe” dyscypliny wiedzy: archeologia, etnografia, dialektologia. Rozwija się zbieractwo, ruch antykwarystyczny i muzealnictwo. Szczytnym celem cywilizacji okazuje się zarówno pokonanie natury, jak i jej ochrona, urbanizacja i zabezpieczenie zabytków, rozwój kulturalny ludu i pielęgnowanie jego tradycji. Walka z prymitywem i walka o prymityw, budowanie nowego i ocalanie starego.

Podwaliny pod ten gmach wiedzy o ginącym świecie kultury materialnej i duchowej kładą badania terenowe o inwentaryzacyjno-opisowym charakterze. Dopiero później nastaje era „gabinetowa” w archeologii, etnologii, językoznawstwie, okres interpretacji zgromadzonego materiału, porównań, pracy koncepcyjnej, konstruowania syntez. Nauka ma jednak to do siebie, że dokonuje się w niej nieustanna weryfikacja poglądów; każdorazowa konfrontacja uogólnień z rzeczywistością, hipotez

i źródeł, teorii i empirii, zmusza do modyfikacji wniosków coś zmienia, coś kompromituje, coś uzupełnia. Obserwujemy więc stale rozszerzanie dokumentacji folklorystycznej i dialektograficznej, aktualizowanie danych o zwyczajach i mowie ludu. Trwa wspomniany wyścig z czasem, gdyż pod naporem przemian społecznych szybciej niż niegdyś następują przekształcenia tradycyjnych odrębności regionalnych. Przed kulturą, językiem literackim nie sposób już prawie się schować; wszędzie dociera głos nauczycielki, lekarza, dyktanta Hanuszkiewicza i Edyty Wojteżak. Kultura jest zaborczą i usługową, przybiera sama w odległe zakątki prowincji, nie trzeba przemierzać wiorst, by w niej uczestniczyć, by poddać się jej wpływom.

Świadomość, że cały ten świat odmiennych sposobów wyrażania się, wymawiania głosek, tworzenia słów, budowania zdań, nazywania rzeczy i przezywania ludzi, jakby wymyka się nam z rąk, dopinguje językoznawców do systematycznych penetracji terenowych, które zastąpiły dawne, amatorskie zbieractwo. Przyrost uzyskanego tą drogą materiału umożliwia opracowanie nowych ujęć całościowych, podsumowujących naszą orientację w językowym zróżnicowaniu narodu. Wytworem takiej sytuacji naukowej jest monografia Karola Dejny „Dialekty polskie”.

Nieczęsto pojawiają się tego typu książki. Omawia ona polskie cechy dialektalne w skali nieporównanie szerszej, niż jej poprzedniczki, znacznie też bogatszym i naukowo skontrolowanym zasobem ewidencyjnym dysponuje. Bilansuje wyniki wielu prac szczegółowych od pierwszych zapisów sondażowych, czynionych przez pionierów naszej wiedzy o mowie wiejskiej, aż po badania najnowsze, prowadzone w kilku ośrodkach uniwersyteckich. Nie będę tu przedstawiał spraw szczegółowych, gdyż potrzeba do tego specjalistycznych kompetencji, trudno też się kusić o wydawanie opinii, wymagających znawstwa przedmiotu, znikomego z mej strony i takiegoż zapewne ze strony większości naszych Czytelników. Pragnę natomiast zwrócić uwagę na, zawarte w „Dialektach polskich”, idee metodologiczne i na społeczny sens tej pracy.

Już sam tytuł książki naprowadza na trop językoznawczego światopoglądu autora. Nie traktuje on różnic dzielnicowych jako mutacji języka ogólnopolskiego, podrzędnych i wtórnych wobec tego, powszechnie nam panującego języka. „Dialekty bowiem nasze — pisze profesor Dejna — nie są pochodną języka ogólnopolskiego, lecz częściowo odwrotnie — język ogólnopolski podniósł do rangi obowiązujących norm niektóre cechy wyróżniające poszczególne dialekty”. Przykładowo więc — brak tzw. mazurzenia, czyli wymawiania „c” zamiast „cz”, „s” zamiast „sz”, „z” zamiast „ż”, w wielu regionach kraju nie

jest wynikiem wpływu języka ogólnego, również owego mazurzenia pozbawionego, ale nie występowanie tego zjawiska w języku ogólnym świadczy o wpływie dialektów niemazurzących na język ogólny. Kształtował się on bowiem w różnych okolicznościach historycznych, które stwarzały preferencje kulturalne dla poszczególnych regionów kraju: Wielkopolski, Małopolski, Mazowsza, a tym samym dawały normatywne rekomendacje lokalnym cechom językowym, upowszechniały je i nobilitowały.

Naukowa swoistość (w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa) monografii Karola Dejny polega nie tylko jednak na akcentowaniu partnerskiej roli dialektów w tworzeniu ogólnonarodowych dóbr językowych. Koncepcję tę wzbogaca stała obecność perspektywy historycznej i porównawczej. Dialektalność jest jakby w ogóle właściwością wszelkiej rzeczywistości językowej, rozpatrywanej w jej rozwoju dziejowym. Terytorialne grupy językowe, jak np. bałtoślowska, prasłowiańska, lechicka, a wreszcie polska, były dialektami w stosunku do grup poprzednich, obejmujących szerszy zasięg geograficzny i plemienny. Toteż w prezentacji polskich osobliwości dialektalnych w pracy profesora Dejny widzimy interferencję różnych argumentów naukowych: danych opisowych i danych historycznych, współdziałanie informacji zebranych współcześnie z informacjami, uzyskanymi poprzez analizę starych tekstów i teoretyczne rekonstrukcje. „Dialekty polskie” są więc syntezą „terenu” i „gabinetu”, kontaktów z językiem, który wciąż się zmienia i z językiem, który istnieje jedynie w zapisach kronikarskich, urzędowych, religijnych i literackich.

Książka Karola Dejny adresowana jest do czytelników, zajmujących się językoznawstwem z racji zawodu i studiów polonistycznych. Rzeczywiste znaczenie tego rodzaju syntez wykracza wszelako poza ich funkcje praktyczne. „Słownik języka polskiego” Lindego, „Bibliografia polska” Karola Estreichera, czy „Historia literatury niepodległej Polski” Chrzastowskiego (by wymienić tylko niektóre przykłady), to nie są tylko fachowe spisy słów, książek i ludzi, ale pewne czyny kulturalne, niezbędne dla normalnego życia i rozwoju wspólnoty narodowej, która potrzebuje zaplecza tradycji, świadomości swej specyfiki, poczucia tożsamości duchowej. „Dialekty polskie” można więc postawić w rzędzie dzieł, które są świadectwem naszego dorobku kulturalnego.

JERZY RZYMOWSKI

Karol Dejna: Dialekty polskie. Wrocław 1973, Zakład Narodowy Im. Ossolińskich, ss. 253 + 40 map poza tekstem głównym, cena 85 zł.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (rządcza redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMANSKI (drugi sekretarz). Stałe współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.

CHILE - ŹRÓDŁA TRAGEDII (3)

Sytuacja na trzecim strategicznym froncie walki klasowej - froncie społecznym - również nie przedstawiała się korzystnie dla Unidada Popular. Zasadniczy cel koalicji Jedności Ludowej w walce o masę, o umocnienie jedności wszystkich pracujących, o zespolenie wszystkich partii politycznych lewicy - osiągnięto tylko częściowo. Tradycyjnie nie zawiadła klasa robotnicza, która przez cały czas trwania walki była awangardą rewolucji, stojąc na czele batalii o produkcję, jednego z bardzo ważnych odcinków rozwoju całego procesu rewolucyjnego. Ona to w głównej mierze zapewniała poparcie dla rządu Allende. Była jednak niejednorodna, a część jej szeregów cechowała bierność, brak świadomości i zrozumienia ważności nowych zadań oraz ekonomizm, umiejętnie podsypany przez chadecję, wokół której skupiły się niektóre warstwy klasy robotniczej.

Niezwykle ostry charakter przybrała walka o średnie warstwy społeczeństwa chilijskiego. Mimo słuszności ogólnych tez wysuniętych w programie Unidada Popular, a odnoszących się do sojuszu klasy robotniczej z warstwami średnimi, brak było jasnej koncepcji polityki tak w stosunku do tego sojuszu, jak i samych warstw średnich. Szczególnie poważne konsekwencje w tym względzie pociągnęła za sobą wspomniana już rola, jaką odegrali lewicowi ekstremiści z trockistowsko-maoistowskiej MIR (Ruchu Rewolucyjnej Lewicy) w stosunku do warstw średnich. Antagonizowały z nimi Front Jedności Ludowej poprzez żądanie niezwłocznej socjalizacji zawartej w ich programie „hurrarewolucyjnych” przeobrażeń społecznych, co spowodowało iż sojusz klasy robotniczej z warstwami średnimi ulegał coraz szybszemu rozpadowi. Błędy, jakie popełnił lewicy, w dużej mierze zaważyły więc na klęsce rewolucji.

Reakcja tymczasem skrytalizowała swój strategiczny plan obalenia rządu koalicji. Był on oparty na dwóch wariantach: pierwszy - to wygranie walki o masę, zwycięstwo w wyborach parlamentarnych w 1973 roku i obalenie rządu Allende na drodze konstytucyjnej; drugi - na wypadek fiaska pierwszego przewidywał dokonanie przewrotu politycznego.

Batalia o masę zakończyła się jednak porażką prawicy, wybory do parlamentu przyniosły partiom koalicji 44 proc. głosów, to znaczy znacznie więcej, niż w wyborach przedwyborczych w 1970 roku. Oznaczało to zarazem fiasko pierwszego wariantu i rozpoczęcie przygotowań do kontrrewolucyjnego przewrotu. Ich sygnałem były przesładowania postępowych oficerów i żołnierzy w szere-

gach chilijskich sił zbrojnych. Wyeliminowano generałów, członków rządu Allende (m.in. dowódcę armii, gen. Pratsa), którzy głosili wierność zasadom konstytucyjnym. Na zaostreżenie sytuacji wewnętrznej kraju w tym okresie wpłynął wzrost fali terrorku rozpętanego przez prawicę, dywersji i sabotażu ekonomicznego (ciągle strajki właścicieli ciężarówek i sklepów), a także osłabienie sojuszu klasy robotniczej i warstw średnich. Klęskę rewolucji przypięczętował ostatecznie przeprowadzony 11 września 1973 roku faszystowski zamach stanu.

W całokształcie doświadczeń chilijskich na szczególne podkreślenie zasługuje rola odegrana przez armię. Chociaż problem ten będzie jeszcze

naruszał podstawowych interesów chilijskiej burżuazji. Z chwilą jednak, gdy reformy dotknęły żywotnych podstaw jej egzystencji, nastąpiła znana już reakcja. Byłoby jednak uproszczeniem uważać, że stało się to tylko dlatego, należy bowiem pamiętać, iż armia, której tron, zwłaszcza w marynarce, składał się wprawdzie z przedstawicieli oligarchii, osobliwie zainteresowanej w dokonaniu przewrotu, była w dużym stopniu niejednorodna. W armii cały czas ścierały się z różnym nasileniem dwie linie: legalistyczna i tzw. „soplistowska”. Wzrost tendencji reakcyjnych nastąpił w niej jednak w dużej mierze pod wpływem kontrrewolucyjnego oddziaływania partii prawicowych, zwłaszcza Partii Narodowej i chade-

ka o dyktaturze proletariatu jako istotnym i nieodzownym składniku wszelkiej sprawowanej przez klasę robotniczą władzy. Doświadczenia te w pełni potwierdziły słuszność linii politycznej, głoszącej możliwość rozwoju rewolucji drogą pokojową i demokratyczną. Wypływa jednakże z nich ważki wniosek, że władzę łatwiej jest zdobyć, aniżeli ją utrzymać, zatem niezbędna jest elastyczna polityka zapewniająca ściśle zespolenie sił demokratycznych oraz jedność i zwartość obozu lewicy. Innym, również ważnym czynnikiem decydującym o sukcesie rewolucji, jest odpowiednie polityczne i psychologiczne przygotowanie mas pracujących do obrony rewolucji przed zakusami wroga, a w Chile problem ten nie został należycie doceniony przez kierownictwo Unidada Popular. Z zagadnieniem tym ściśle wiąże się inna kwestia - jak stworzyć siłę napędową procesu rewolucyjnego? Doświadczenia rewolucji chilijskiej pozwalają wątpić w słuszność dotychczasowej koncepcji pozyskiwania większości i form jej organizacji na zasadzie 50 plus 1. Wskazują one wyraźnie, że jeśli większość wyborcza nie jest zorganizowana, to jest to większość bierna, a zatem nie może gwarantować posuwania się rewolucji naprzód. Stąd wypływa wniosek, że do zlamania oporu obozu prawicy potrzebna jest większość, ale większość aktywnie działająca i trwale zorganizowana, a formą jej zespolenia mogą być różnorodne, powszechne i masowe organizacje ludzi pracy. Jest to o tyle istotne, że jak dowodzi przykład Chile, ani parlament, ani zarządy miejskie nie są w stanie zapewnić przejęcia całej władzy przez lud. Wprawdzie w programie Unidada Popular podkreślono konieczność organizowania „komitetów jedności ludowej” i choć powstało ich blisko 15 tysięcy, koalicja nie zatroszczyła się, aby je należycie umocnić i przekształcić w załogi władzy, okazując nazbyt wielkie poszanowanie dla norm konstytucyjnych, gdy w tym samym czasie prawica dawno już przeniosła walkę poza ich ramy. Efektem tej defensywnej postawy sił rewolucyjnych może być pogrzebanie szansy zwycięstwa i skazanie rewolucji na klęskę.

Bardzo ważnym wnioskiem, płynącym z doświadczeń chilijskich, jest ponowne potwierdzenie się leninowskiej tezy zawartej w dziele „Państwo a rewolucja”, a głoszącej konieczność zlikwidowania w toku procesu rewolucyjnego, burżuazyjnego aparatu państwowego i zastąpienia go aparatem ludowładztwa. Z problemem tym ściśle wiąże się zagadnienie demokratyzacji armii i policji, które można rozwiązać i przyspieszyć przez: stworzenie ściślej więzi między społeczną i wojskową polityką rządu

demokratycznego; otoczenie stałą troską moralno-politycznego stanu kadry wojskowej; rozszerzenie więzi armii z ludem; izolowanie reakcyjno-faszystowskich elementów w jej dowództwie, oraz przyciągnięcie na stronę rewolucji jak największej części masy żołnierskiej. Jeśli bowiem siły lewicy mają zamiar nie tylko zdobyć władzę, ale również ją utrzymać, walka o armię staje się najważniejszą częścią składową całego procesu pokojowego rozwoju i pogłębiania rewolucji. Oczywiście sam proces demokratyzacji sił zbrojnych nie wystarczy do skutecznej obrony zwycięstwa rewolucji. I tu wylania się problem polityczny, organizacyjny i psychologiczny przygotowania mas pracujących do jej obrony. Znaczenie doświadczeń chilijskich jest nie tylko charakteru narodowego, ale przede wszystkim międzynarodowego. Wynika z niego m.in., iż sojusze partii politycznych lewicy mają nie tylko mocne, ale i słabe strony. Najlepszym tego przykładem jest właśnie Chile. W okresie nasilenia rewolucji wyraźnie uwidaczniały się wszystkie pozytywne aspekty sił lewicy tworzących koalicję. Istniejące sprzeczności były w tym okresie znacznie łatwiej i szybciej przezwyciężane. Inaczej, gdy rewolucji ulega zahamowaniu, wówczas wszystkie słabe strony tych sojuszy wylaniają się na pierwszy plan. W przypadku Chile nasilenie rozbieżności między partiami koalicji w drugiej fazie procesu rewolucyjnego osłabiło zarówno pozycję samej koalicji Unidada Popular, jak i sojusz klasy robotniczej z innymi postępowymi warstwami społeczeństwa. W ostatecznym rozrachunku owe rozbieżności były jednym z głównych czynników zawężenia bazy społecznej rządu Jedności Ludowej, co niewątpliwie ułatwiło dokonanie wojskowego zamachu stanu.

Mimo to rewolucja chilijska stanowiła bezspornie wydarzenie o międzynarodowym znaczeniu, którego nieprzemijająca wartość polega na tym, że w kraju tym podjęto śmiałą próbę zastosowania ogólnych prawideł leninowskiej teorii rewolucji do zrealizowania jej drogą pokojowego rozwoju. Przebieg wydarzeń potwierdził zarówno realność jak i słuszność takiej koncepcji, przy czym porażka rewolucji bynajmniej nie dyskredytuje, ale wypływa z wyjątkowo złożonej sytuacji historycznej kraju, dodatkowo skomplikowanej ingerencją obcego kapitału, zaciekłym oporem prawicy, a także błędami i przełeczeniami popełnionymi przez rząd Unidada Popular w okresie jego działalności.

ANDRZEJ BLAJER



Fot. Archiwum

przedmiotem analizy kolejnego artykułu, poświęćmy mu już teraz nieco uwagi.

Armia zawsze stanowiła w Chile ważną siłę polityczną. Jej korpus oficerski, wywodzący się w swej większości z klas posiadających i warstw średnich, był zawsze wychowywany w poczuciu wierności doktrynie polityczności sił zbrojnych, a ich prawna neutralizacja zapewniona była koncepcją konstytucyjności rządu. Zgodnie z tą doktryną reprezentowaną przez generałów Schneidera i Pratsa armia nie powinna odgrywać w Chile samodzielną rolę polityczną, lecz pozostawać narzędziem legalnego rządu konstytucyjnego. Toteż w początkowym okresie rewolucji wojsko zachowywało postawę neutralną wobec poczynań frontu Unidada Popular. Trwało to dopóty, dopóki proces postępowych przeobrażeń nie

ujawnił niebezpieczne przegrupowanie sił, któremu rząd Jedności Ludowej nie przeciwdziałał we właściwy sposób, co w następstwie doprowadziło - najpierw do przewrotu w armii, a później - w kraju. Błąd, jaki popełniono w stosunku do sił zbrojnych, polegał na tym, iż nie podjęto praktycznie żadnych środków w zakresie demokratyzacji sił zbrojnych i policji. Mylnie sądzono, że armia będzie się trzymała z dala od polityki, a wielu postępowych działaczy Chile nie doceniło klasowego charakteru sił zbrojnych. Cena, jaką za te złudzenia zapłacił naród chilijski, była niezwykle wysoka.

Przechodząc do ostatniej kwestii, do doświadczeń chilijskiego eksperymentu, należy podkreślić, iż w epoce monopolistycznego i imperialistycznego stadium kapitalizmu, pełne potwierdzenie znalazła leninowska nau-

ZIEŁONE PRZYSPIESZENIE

Ten problem musiał wcześniej czy później niewątpliwie wypłynąć Kierunki polityki społecznej, socjalne cele przyjęte przez VI Zjazd PZPR, a tak mocno zaakcentowane podczas Pierwszej Krajowej Konferencji Partijnej, wskazywały przecież na konieczność dalszego konsekwentnego rozwoju i unowocześniania tych dziedzin naszej gospodarki, które w ślad za zwiększonym strumieniem pieniądza - za dobrą, rzetelną i wydajną pracę - mogą odpowiedzieć proporcjonalnie dużą podażą rozmaitych, a przede wszystkim akceptowanych społecznie na rynku produktów konsumpcyjnych.

I nie ma się co tu łudzić. Przemysł, choćby najnowocześniejszy, wszystkich tych problemów wynikających z tak rozumianej polityki społeczno-gospodarczej, nie jest w stanie rozwiązać, choć bardzo dużo może uczynić m.in. w dziedzinie zmiany na bardziej korzystną, strukturę spożycia, właściwszego wykorzystania w przetwórstwie różnorodnych surowców, w tym także pochodzenia rolniczego. Tutaj pozwól sobie przytoczyć opinię wyrażoną przez Edwarda Gierka w przemówieniu sejmowym z okazji 30-lecia.

„Na czoło wszystkich naszych zadań wysunęliśmy realizację podstawowej zasady socjalizmu, która głosi, że masy ludowe są główną siłą twórczą rozwoju, a dobro człowieka nadrzędnym celem wszystkich poczynań społecznych”.

Oznacza to także - jak niedawno stwierdził na łamach „Trybuny Ludu” D. Passent - przwrócenie równowagi między produkcją środków produkcji i produkcją artykułów spożywczych, rozwiązanie problemu mieszkaniowego, jak i świadomość niezaspokojonych jeszcze potrzeb i istnienie problemów wymagających rozwiązania.

Oznacza to również - powtórzę - konieczność podjęcia odpowiednich kroków i możliwie najszybszego działania dla rozstrzygnięcia jednego z najistotniejszych problemów a mianowicie zaspokojenia społecznych potrzeb na żywność.

W tym miejscu konieczne trzeba powiedzieć jedną rzecz: nie tylko my, nasz kraj stanął w obliczu problemu

żywnościowego, a ściślej mówiąc niezbędności podjęcia takiego działania, które zapewniło by znaczną intensyfikację gospodarki rolnej, zaspokoiło apetyt społeczny na produkty spożywcze. Nie jest też rzeczą przypadkiem, że w ostatnich latach, w których niebagatelnymi wyznacznikami sytuacji ekonomicznej, społecznej, ba - także politycznej na świecie, były takie zjawiska jak kryzys energetyczny i surowiska, załamanie się tzw. „zielonej rewolucji” w wielu krajach Trzeciego Świata - najbardziej nekanych kwestią żywnościową, a równocześnie będących owym tygłem demograficznym



naszego globu, a także kłopoty w tej dziedzinie jakie wystąpiły w najobszerniejszych społeczeństwach. Stąd mogło się zrodzić owo katastroficznie brzmiące pytanie: czy w społeczeństwie światu grozi głód?

Wróżby, prognozy, próby znalezienia odpowiedzi - szczególnie na tego rodzaju pytania - są rzeczą piekielnie trudną, ale chyba warto w tym przypadku zaryzykować. Nie jesteśmy przy tym oryginalni, bowiem nie ma chyba w świecie ani jednego dziennika czy tygodnika, który by dziś tego właśnie nie próbował. Biorąc pierwszy z brzegu przykład. Oto co niedawno napisał komentator ekonomiczny londyńskiego

„Guardiana”: „Przepowiednie są zawsze sprawą ryzykowną, ale nawet przy najprostszymi metodach oceny światowej perspektywy żywnościowej na najbliższe 15 lat wyglądają dosyć ponuro. Najprawdopodobniej zaś ucierpią na tym nieuchronnie miliony ludzi obszaru znanego pod nazwą Trzeciego Świata - obejmującego około 100 krajów, gdzie nędza, choroby i niedożywienie należą do normalnych składników życia. Jeśli obecne tendencje w zakresie przyrostu ludności i produkcji rolnej będą się utrzymywać, wkrótce może się okazać, że liczba niedożywionej ludności świata wzrośnie z około 400 mln do 750 mln. Jednocześnie rachunki jakie rządy planują za import żywności mogą w ciągu roku wyczerpać połowę ich obecnych rezerw złota i obcej waluty. Innymi słowy, w przeciągu dwóch lat grozi im bankructwo”.

A teraz już od siebie: niestety fakty wyjęte ze statystyk Organizacji Narodów Zjednoczonych są alarmujące. Prawdą jest, że do 1972 roku światowa produkcja podstawowych zbóż wykazywała nieustanny wzrost dostrzegający tempa dynamiki przyrostu popytu. Ale tak właśnie było do roku 1972, kiedy nastąpił wyraźny spadek zbiorów, a oznaczono to zmniejszenie światowej produkcji żywności, run na zgromadzone zapasy i błyskawiczny wzrost cen. Trzeba też powiedzieć jeszcze coś innego, co także wyznacza aktualną sytuację i problemy, które muszą być podjęte, więcej - rozwiązane, a mianowicie to, że według ocen Światowej Konferencji Wyżywieniowej do roku 1985 zapotrzebowanie na żywność na naszym globie wzrastać będzie przyspieszalnie w tempie 2,5 proc. rocznie co tylko zastrza wyrazistość kryzysu w jakim się w tej chwili znalazł świat.

Przejdźmy jednak na własne, krajowe podwórko. W porównaniu z życiem większej części ludności świata, a także i naszym własnym światem choćby 20 lat, polskie społeczeństwo zalicza się dziś do dostatnich. W interesującym nas tutaj dziedzinie, w oczach i na „liczydłach” statystyków sytuacja naszego społeczeństwa wygląda następująco. Otóż w naszym kraju w latach 1971-74 mieliśmy do czynienia z wysokim przyrostem spożycia żywności, co wyróżniało ten okres od poprzednich. Spożycie artykułów żywnościowych rosło w tym czasie, średnio w roku po około 5-6 proc., co oznaczało wzrost niewiele niższy od spożycia ogółem oraz od przyrostu dochodu narodowego. Inna warta podkreślenia cechą odznaczającą się do sytuacji żywnościowej w

oko na gospodarkę

Polsce w tym samym okresie, to stosunkowo wysoki średnio poziom spożycia żywności w porównaniu z innymi krajami, licząc zarówno w kaloriach jak i ilości spożywanego białka. Można więc śmiało mówić, że w naszym kraju w ostatnich czterech latach wystąpił wzmocniony proces względnej poprawy poziomu spożycia żywności co jednak nie oznacza, nie jest równoznaczne z rozwiązaniem wszystkich problemów występujących w tej dziedzinie. Faktem jest przecież ciągle występowanie różnic w poziomie wyżywienia poszczególnych grup społecznych, rozpiętości, które z punktu widzenia społecznego i socjalnej polityki partii i rządu nie powinny i nie mogą mieć miejsca.

Mówiąc tak o tym okresie, nie można też pominąć faktów wskazujących niedowładnie na występowanie ograniczonych możliwości naszej gospodarki, która w szeregu przypadków nie jest zdolna jeszcze odpowiedzieć stosownie wielką ilością produktów na potrzeby występujące na rynku artykułów spożywczych. Można i trzeba

też mówić o niewłaściwej strukturze spożycia, o ciągle nieefektywnym wykorzystaniu plodów rolnych co wynika ze słabości naszego przemysłu przetwórczego, a także ze strukturalnych problemów naszego rolnictwa.

Nie wdając się w analizę szczegółów, można z tego wszystkiego wnioskować, że mimo uzyskanych rezultatów plasujących nasz kraj jeśli chodzi o sytuację żywnościową w grupie państw dostateczniejszych, nie jesteśmy zadowoleni z dotychczasowych osiągnięć, że tutaj można się dopatrywać wielu hamulców rozwoju gospodarczego, a nawet powstawania pewnych napięć społecznych utrudniających w konsekwencji dalszy rozwój stosunków socjalistycznych w naszym społeczeństwie i kraju.

A chcemy przecież być społeczeństwem ludzi zamożnych. Wprawdzie ostatecznym celem socjalizmu, ale jaka jest polityczna i społeczna alternatywa ominięcia tej kwestii?

Słusznie więc sięgamy do problemu, który staje się dziś hamulec naszego rozwoju. Słusznie więc stawiamy na rolnictwo dążąc do jego przemian strukturalnych w takim kierunku, by było ono galezią produkcji o charakterze przemysłowym, a nie dziedziną w której chałupnicze metody pracy ciągle są elementem dominującym. Temu mają służyć ostateczne decyzje rządu i partii, na to zamierzamy wydać do roku 1980 około 700 mld zł co w rezultacie powinno przynieść wyraźną przebudowę struktury krajowego rolnictwa, przesunąć ciężar gatunkowy na gospodarstwa wielkoolowarowe, o wysokiej wydajności i sprawności działania, w dużym stopniu uodpornione także na przeciwności aury.

Chodzi więc nam o to, by w procesach przebudowy kraju wszystkie dziedziny naszego życia działające na rzecz człowieka były równie sprawne i posługiwały się również nowoczesnymi narzędziami pracy. Jest więc to wyodrębnienie i przyspieszenie w tym wyróżnianiu. Jest to więc kolejny krok dla rozwiązania problemu, który nie tylko u nas, ale na całym świecie staje się problemem ludzkości.



Fot. Archiwum

KRZYSZTOF POGORZELEC

LIST

Zupełnie oczywiste jest, że prawie każdy lubi dostawać listy, nie mówię tu o różnych przesyłkach, z nakazem płatniczym, itp. Wydaje mi się jednak, że z całego miasteczka Stillwater najbardziej czekał na list Ray Buffin. Przy tym muszę dodać, że prawdą jest także i to, że właśnie on tych listów otrzymywał mniej niż ktokolwiek w całej okolicy, ba, nawet mniej niż ci przekleci hodowcy królików co to zamieszkiwali polne tereny gdzieś tam dąbiał gdzieś.

— A niech to licha porwie! — zaklął Ray ze smutnym wyrazem na swej chudej twarzy gdy dokładnie spojrzawszy w głąb swojej skrytki opuszczając budynek urzędu pocztowego. W takich razach jego długie, kościste ciało jakby zwisało i pochylało się pełne rozczarowania. — Nie ma dla mnie i tym razem, ale jakiegoś głębokiego przeczuć mówi mi, że w najbliższym czasie na pewno dostanę list.

I tak, jak wyżej opisanym razem, było z nim cały czas. On nie miał żadnych krewnych, którzy by do niego mogli napisać, a ponieważ miał zwyczaj wszelkie opłaty uiszczać gotówką, więc nie otrzymywał od przedsiębiorców handlowych żadnych rachunków ani też pism przypomniawczych o terminowych wpłatach. Chociaż, prawdę powiedziawszy, raz w miesiącu otrzymywał rachunek z gazowni i elektrowni, a czasem nawet pismo od kandydata ubiegającego się o stanowisko polityczne, nie licząc przesyłanego zawsze w września rocznego wykazu podatkowego.

Innym znów razem, nie częściej jednak niż dwa lub trzy razy w miesiącu, listonosz Sid Stoney, rozosił pisma reklamowe i Ray znajdował je w swej skrytce na listy tak samo, jak każdy mieszkaniec tego miasteczka. A ponieważ z nikim nie korespondował i nie znał nikogo mieszkającego poza Stillwater, więc nie miał żadnego powodu, aby pisać listy. Chociaż zdarzyło mu się raz — miał wtedy około trzydziestki — wiele lat temu, gdy napisał list do pewnej dziewczyny w tym samym mieście, a napisał o tym, jak bardzo ona mu się podoba i że jego zdaniem jest niezwykle ładna. Zakończył list oświadczeniami, ale do dziś nie otrzymał odpowiedzi. Jak wszystkie podobne małe miasteczka rozrzucone wzdłuż wybrzeża zatoki, czy dalej — Stillwater, które posiadało tartak nad rzeczką i około sześćdziesiąt mieszkańcóv, a że nie leżało przy głównej linii kolejowej lub przy autostradzie, pocztę otrzymywało tylko raz dziennie.

Zawsze po południu, nie licząc niedziel, naturalnie, autobus z Nowego Orleanu zatrzymywał się na głównym placu miasteczka naprzeciwko poczty i szofer otwierał drzwi wynosząc na zewnątrz dwa lub trzy worki pocztowe zawierające listy, gazety i rozmaite przesyłki pocztowe. Gdy autobus wyruszał punktualnie — był na miejscu zarzyczał około czwartej, a wtedy w kilka minut później Sid Stoney przerywał urzędowanie w swym ołenku i rozpoczynał sortowanie listów wkładając je do odpowiednich przegródek.

W tym czasie Ray Buffin zamykał swój rzemieślniczy sklepik, gdzie wykonywał

przeróżne usługi reperując odbiorniki radiowe, budziki, strzelby — wiatrówki etc., i podził przez porośnięty drzewami plac, idąc do swej skrytki pocztowej. Stojąc w jej pobliżu, oznaczony numerem 42, pełen napięcia spoglądał przez szybę na przesuwanie się w rękach Sida Stoneya koperty, który je w tym czasie sortował. Wielu mieszkańców miasteczka miało dla Sida, który był republikaninem, pretensje o to, że zbyt wiele czasu zużywa na sortowanie codziennej poczty, twierdząc przy tym, że demokraci mogliby tego dokonać w ciągu piętnastu minut, a nie trzydziestu lub więcej. Kiedy ktoś mówił o tym Sidowi, ten zawsze miał gotową odpowiedź twierdząc, że od czasu powierzenia mu sortowania i doręczania codziennej poczty, doszedł do wniosku, że stało się to dla niego niejako najważniejszą formą pracy na rzecz społeczeństwa, w związku z tym obowiązek swój stara się wykonywać sumiennie, nie zważając na to, ile czasu trzeba temu poświęcić.

Zazwyczaj w pomieszczeniu pocztowym gromadził się głośny tłum plotkujący i dowcipkujący w oczekiwaniu na listy, ale Ray Buffin raczej rzadko się odzywał stojąc pełen nadziei, wpatrzony w szeleszczące kolorowe koperty, marząc o tym, by jedna z nich spadła do jego oszklonej skrytki oznaczonej numerem 42, i stał tak, póki ostatni list nie został umieszczony w odpowiedniej przegródce. Wreszcie, gdy Sid Stoney otworzył hałaśliwie przegródkę i rozpoczął urzędowanie, był znak, że rozdane zostały wszystkie listy, wtedy Ray ostatni raz spoglądał w stronę swojej skrytki pocztowej i wtedy szedł powoli przez plac jakby jeszcze bardziej wychudły i pochylony pod ciężarem ponownego niepowodzenia.

— Tam do licha, — kiął pod nosem. — I tym razem też nikt do mnie nie napisał. Doszedł do swego warsztatu, otworzył drzwi, wszedł do wnętrza i tam, pochylony nad stołem, siedział do późnego wieczoru reperując czyż budzik, radio czy wiatrówkę.

Dwa młodsi mężczyźni z tego samego miasteczka, Guy Hodge i Ralph Barnhill, którzy zawsze byli skory zakwie i bliźni, pewnego dnia zaczęli obgadywać Raya Buffina i jego manie wycekiwania na listy i postanowili podesać mu taki list podpisany fikcyjnym imieniem i nazwiskiem. Ich kawały w zasadzie nie były bardzo złośliwe, bo wcale nie chodziło im o to, aby komuś wyrządzić jakąś krzywdę. Oto na przykład dawali smarkaczowi 25 centów pod warunkiem, że będzie chodził od sklepu do sklepu i wszędzie kupił tylko jedno jajo; albo znów dla draiki zywiali ochotniczą straż pożarną do domu młodej pary, akurat odbywającej swoją pierwszą noc poślubną...

A planowali wyplatać figla Rayowi w ten sposób, że najpierw uprzedziliby wszystkich w urzędzie pocztowym o tym, że Ray ma otrzymać list, a kiedy Ray już wyjmie ten list ze skrytki pocztowej, ktoś głośno spyta go, czy to jest list miłosny, ledy dostał... Potem ktoś inny wyrwie mu ten list z rąk i głośno przeczyta, aby wszyscy mogli słyszeć.

Gdy już kupił paczkę różowych kopert, Guy i Ralph poszli za róg do centrali te-

lefonicznej, gdzie Gracie Brooks pracowała zwykle jako telefonistka na nocnej zmianie.

Gracie była to pulchna, jasnowłosa stara panna, która pracowała w urzędzie telefonów od czasu ukończenia szkoły łączności. Była cały czas samotna, a ponieważ prowadziła taki dziwny sposób życia, śpiąc w dzień i pracując nocą, było mało prawdopodobieństwo, aby kiedykolwiek zmieniła swój stan cywilny.

A więc, gdy Guy Hodge i Ralph Barnhill opowiedzieli jej o swoim planie i poprosili, by napisała list do Raya, ponieważ chcieli, aby list był pisany kobiecym charakterem, Gracie powiedziała z oburzeniem, że do czegoś takiego nie przyłoży swojej ręki.

— To jest świnstwo — rzekła stanowczym tonem. — A ja nigdy nie będę brała udziału w takich podłych czynach. Mózgiem sobie poszukaj kogoś innego, by pisał wam takie rzeczy, a proszę nie róbicie tego Rayowi Buffinowi.

— Ależ Gracie, to tylko kawał — przekonywał ją Ralph — taki sobie dowcip. Każdy lubi czasem wyplatać swemu bliźniemu jakiś psikus. A wyobraź ty sobie teraz Raya, jak dostaje list w różowej kopercie, i to w dodatku miłosny list od jakiejś Myrty, Jenny lub Florence, która przyznaje się do tego, że go ubóstwia skrycie i nie może już znieść dłużej tego, aby mu wszystkiego nie wyjawiać. Jego smutek natchmiast zniknie z twarzy i to tak szybko, że nikt w całym miasteczku go nie rozpozna!

— Nie! To co chcecie zrobić jest okrutne — zaprotestowała głośno wycierając łzy. — Czegoś tak podłego nigdy bym nie zrobiła.

— No, Gracie — nie ustawał w próbach Ralph — daj się namówić na tę zabawę. Napisz nam ten list. Nie powiemy Rayowi ani komukolwiek, że to ty pisałaś. Nie bój się, on nigdy się o tym nie dowie.

Odwrociwszy się nagle, ukrywając twarz, Gracie próbowała powstrzymać toczące się po policzkach łzy, ale nie udawało jej się to. Zdawało się jej, że to już całe życie przeszło od czasu, gdy otrzymała list od Raya Buffina, w którym pisał jej o tym, jak bardzo ona mu się podoba, jak ładna inna dziewczyna, kończąc ten list oświadczeniami. Akurat właśnie otrzymała dyplom technikum i dopiero rozpoczęła pracę w tym urzędzie, a ponieważ była jeszcze młoda, pełną bez troski panna, nie myślała na razie o małżeństwie, zignorowała ten list. Ostatnimi laty Gracie i Ray wymieniali grzecznościowe ukłony, ale za każdym razem, gdy widziała Raya wydawało jej się, że on jest coraz smutniejszy i bardziej samotny. Ostatnio jednak wszystko się odmieniło i parę razy Gracie miała ochotę pójść za nim, rzucić mu się na szyję i błagać go, by jej przebaczył to, że mu nie odpowiedziała na list. Bo gdyby wówczas na ten list odpisała, na pewno by się pobrali i żadne z nich nie byłoby tak samotne...

— Proszę cie, Gracie — błagał ją Guy Hodge — nie bądź uparta, nie puść nam zabawy, napisz ten list. Bo jeśli nie chcesz, to poprosimy inną dziewczynę.

— Nie, nie róbicie tego — odparła szybko wycierając łzy z oczu i policzków. — To już lepiej ja ten list napiszę. Nie chcę, by zrobiła to inna osoba.

— To rozumiem, Gracie — rzekł Ralph klepiąc ją po ramieniu. — Wiedziałem, że masz poczucie humoru, a teraz odmówimy szczytów. Napiszesz więc, że od dawna go ubóstwiasz i że wreszcie zdecydowałaś się go poznać osobiście. W związku z tym, napiszesz, jeśli on nie ma żadnych obiekcji, ty chciałabyś poznać go jak najprędzej, aby o tym wszystkim z nim porozmawiać. Daj mu do zrozumienia — in-

struował ją Ralph — że w grę może także wchodzić nawet małżeństwo.

— Wiem o czym mam mu napisać — powiedziała stanowczym głosem Gracie. — Idźcie sobie teraz, a ja napiszę ten list i wysłę go jutro rano.

Gdy tylko obaj chłopcy opuścili centralę telefoniczną, Gracie płakała dłuższy czas. Późną nocą napisała ten list do Raya Buffina, a następnego ranka, gdy wyszła z dyżuru, wrzuciła list do skrytki na pocztę.

Guy Hodge i Ralph Barnhill oczekiwali już tego popołudnia o czwartej gdy Ray wszedł na pocztę i stanął naprzeciwko swej skrytki. O tej porze większy niż zwykle tłum zebrał się w sali, bowiem wszyscy wiedzieli, co ma się wydarzyć, więc oprócz znaczących mrugnięć i poszczurów rzadko ktoś coś powiedział.

Sid Stoney nawet nie zaczął sortować otrzymanej z Nowego Orleanu poczty, gdy Ray zobaczył list w swojej przegródce, zamrugał oczyma z niedowierzania i długo wpatrywał się w ten przez szybę skrytki pocztowej. Potem trzęsącymi się rękami otworzył skrytkę i wyjął różową kopertę. Obracając ją na wszystkie strony poszedł w sam róg sali, aby list przeczytać.

Jego ręce drżały bardziej niż kiedykolwiek, gdy rozrywał różową kopertę. A gdy tak czytał — cały jego smutek z twarzy zniknął i Ray wreszcie się uśmiechnął. Po spiesznym przeczytaniu listu, zaczął go czytać drugi raz, a jego wargi powoli i starannie zaczęły wymawiać każde słowo. Gdy skończył, jego oczy przykryte drżącymi powiekami zamgłyły się, więc szybko przetarł dłoń swą zdułoną twarzą. Nagle, wepchnąwszy list do kieszeni, wybiegł z budynku pocztym nim ktokolwiek zdążył coś do niego powiedzieć lub go zatrzymać.

Jak tylko zorientował się w sytuacji Ralph i Guy popędzili za nim, krzycząc by wrócił na pocztę. Ale Ray biegł co sił w stronę urzędu telefonicznego. A Gracie, zamiast przyjść do pracy, jak zwykle o szóstej, tym razem przyszła o czwartej po południu. Gdy Guy i Ralph wpadli tam — Gracie siedziała przed tablicą rozdzielczą, a Ray Buffin stał obok niej z najszcześliwszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek mogli zobaczyć na jego twarzy.

Oczywiście, żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa, a oboje byli tym wszystkim za bardzo zaskoczeni, aby spostrzec, że Guy i Ralph weszli do dyżurki w ślad za Rayem. Zielone i czerwone światła co chwila się zapalało i gasło, jako że rozmowy telefoniczne nie dochodziły do skutku z powodu braku połączeń. Wreszcie Ray pochylał się i wziął rękę Gracie w swoją dłoń. Ona natchmiast na to zareagowała przytulając się do niego, podczas gdy łzy toczyły się jej po twarzy.

Guy i Ralph wycofali się z pokoju. Bez słowa wyszli na ulicę.

— Do diabła, jak to się mogło stać, że ten dowcip nagle przybrał zupełnie poważną postać? — spytał Ralph, gdy szli z powrotem na pocztę. — Wydawało mi się, że wyplatanym Rayowi Buffinowi porządny figla. I teraz zupełnie nie wiem co się stało. Czy nie sądzisz, że Gracie Brooks podpisała ten list swoim nazwiskiem przez pomyłkę?

— Nie wydaje mi się, żeby to była pomyłka — odparł Guy ponuro. — Myślę, że oboje od dawna mieli ochotę się pobrać, ale byli za bardzo nieśmiały, żeby to zrobić. Założy się, że nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie nasz pomysł z listem.

— Nie mam więcej zamiaru robić dowcipów, które są niewypalami — powiedział Ralph z niezadowolaniem. — Następnym razem jeśli coś zaplanujemy, trzeba przypinować, aby wszystko poszło po naszej myśli. Nie chce, aby o nas ludzie mówili, że nasze kawały są do niczego.

— Co by się nie mówiło — odrzekł Guy — jestem jednak z tego dowcipu zadowolony, a zwłaszcza z jego zakończenia. I za każdym razem, gdy zobaczę Raya Buffina, będę sobie myślał, że jednak zrobiłem w życiu komuś coś dobrego, bo od tego czasu już nikt na pocztę nie zobaczył Guya ponurej odcznie wycekującej twarzy. I gdyby nie my — on na ten swój list czekałby do końca życia.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI



TELEFON NUMER 09

Z dyrektorem Pogotowia Ratunkowego — dr ADAMEM PABICHEM rozmawia Zofia Tarnowska

Był rok 1899 — rok rozwoju kapitalistycznej Łodzi. Miasto liczyło wówczas prawie 400 tysięcy mieszkańców kiedy powstało w Łodzi Pogotowie Ratunkowe. Zorganizowali je lekarze, społecznicy, którzy powołali Towarzystwo Doraźnej Pomocy Lekarskiej. W pamiątkowych księgach widnieją fotografie pionierów — inicjatorów i wykonawców idei niesienia pomocy w nagłych wypadkach: dr med. Władysława Pinkusa i dr med. Alfreda Kruscha. Pierwszy był wiceprezesem Towarzystwa, drugi — pierwszym kierownikiem Stacji Pogotowia Ratunkowego. Cel działania nowej placówki określono jak następuje: „udzielanie bezpłatnej, doraźnej pomocy lekarskiej w nieszczęśliwych wypadkach zdarzających się na ulicach Łodzi, we wszystkich miejscach publicznych, w fabrykach, zakładach, na kolejach żelaznych itp. w obrębie miasta Łodzi”.

1 grudnia 1899 roku otwarto Stację przy ul. Spacerowej 9 (al. Kościuszki). Następnego dnia jedna z trzech karetek konnych wyjechała na wezwanie. O godz. 4.30 wzywano lekarza do porodu na ul. Dzielną (Narutowicza). Następne dni — aż do końca roku — zapelniały się adnotacjami o wypadkach karetek. Interweniowano 204 razy.

W roku 1905 lekarze Pogotowia niesli ofiarną pomoc rannym uczestnikom walk rewolucyjnych. Społeczeń-

stwo uhonorowało ich podarunkiem: ufundowano stację czwartą karetkę konną oraz zabezpieczono fundusze na zakup nieruchomości przy ul. Długiej 83 (Gdańska) dla stacji. Tam też przeniesiono cały majątek wraz z transportem. I tam mieściła się stacja aż do 1952 roku...

Po wyzwoleniu Miejskie Pogotowie Ratunkowe zostało reaktywowane obok Pogotowia PCK i Ubezpieczalni Społecznej. W 1952 r. nastąpiła integracja. W tym też roku Łódzkie Pogotowie Ratunkowe otrzymało nową siedzibę — przy ul. Sienkiewicza 137/141.

Dzisiejsze Łódzkie Pogotowie Ratunkowe, które 1 grudnia obchodziło jubileusz 75 lat, rozkłada się na wiele rozdzielców. Teraz chcielibyśmy porozmawiać o dniu dzisiejszym i o jutrze. O tym, co jest, czego brakuje i dlaczego brakuje, o tym, co będzie i jak będzie? Te pytania kierujemy do dyrektora Łódzkiego Pogotowia Ratunkowego — dra ADAMA PABICHA. I jeszcze jedno. — Kiedy Pogotowie Ratunkowe zwolnione zostanie od obowiązku zastępowania podstawowej jednostki lecznictwa miejskiego: rejonu?

— Jest to pytanie zasadnicze. Ogólnie można powiedzieć, że wtedy, kiedy pion podstawowego lecznictwa o-

twartego będzie w pełni realizował swe obowiązki, a społeczeństwo wzywało w sytuacjach tego wymagających. Obecnie telefony na stanowiskach linii 09 działają wezwan dzwonią bez przerwy. Pogotowie, które ma załatwiać nagle i ważne wypadki, pełni nadal rolę pomocnika poradni rejonowych w ich normalnych obowiązkach. Gdy ktoś dzwoni do Pogotowia

NA RATUNEK!

I proszę przysłać karetki do chorego, powinien choć przez moment zastanowić się nad tym, czy istotnie interwencja jest w tym przypadku niezbędna. Wielu wzywających Pogotowie, chcąc zapewnić choremu szybką pomoc, podaje bardzo często przyczyny takie, jak: „atak serca, nieprzytomny, silne bóle brzucha, choroby konające, krwotok itp”. Nie są to wypadki sporadyczne, a nagminne. Dziennie jest ich po kilkadziesiąt. Zlecenia są przyjmowane, a po przyjeździe okazuje się, że wizyta absolutnie nie kwalifikowała się do załatwienia przez Pogotowie.

Nadmernie to nas obciąża i jeź-

dzące bez wytchnienia zespoły do faktycznego ataku serca docierają z opóźnieniem lub za późno. W interesie więc potrzebujących pomocy doraźnej leży konieczność wzywania Pogotowia wyłącznie wówczas, gdy wezwanie jest w pełni uzasadnione. Dopiero wtedy Pogotowie zapewnić będzie mogło otrzymanie naprawdę szybkiej pomocy lekarskiej.

— Ustalono zostało dawno, że lekarz Pogotowia Ratunkowego powinien być specjalistą szczególnie wykwalifikowanym. Że od jego szybkiej decyzji zależy życie ludzkie. Czy możemy powiedzieć, że Pogotowie nie jest już instytucją proszącą o pomoc kadrową bez wyboru, lecz stawia warunki specjalizacyjne i pod tym kątem dobiera kadrę? I jakie są warunki pracy tej kadry?

— Aktualnie Pogotowie zatrudnia ponad 90 proc. kadry lekarzy na tzw. dyżurach. Ciężka i specyficzna praca oraz istniejący nadal deficyt kadry lekarskiej (szybki rozwój placówek służby zdrowia i duże zapo-

trzebowanie dla nich na kadrę lekarską), nie stwarzają sprzyjających warunków dla etatowego zatrudnienia się w Pogotowiu. Minusem są też nie uwzględnione możliwości specjalizowania się w doraźnej pomocy, ani tzw. podspecjalizacji. Również nowe warunki pracy nie uwzględniały możliwości dodatkowy bodziec materialny, zachęcający do pracy w pionie doraźnej pomocy. W tej sytuacji Pogotowie jest nadal instytucją proszącą o pomoc kadrową.

— Nowoczesne lecznictwo, w tym przede wszystkim także jej reprezentacje jak pomoc doraźna, opiera swą pracę nie tylko na ludziach, lecz także na wyposażeniu w sprzęt. Oczywiście sprzęt techniczny doskonały, wspomagający pracę lekarza, ułatwiający diagnozę i przyspieszający ratunek. Wydaje mi się, że Łódzkie Pogotowie — mimo znacznego postępu w tej mierze — jest niedostatecznie „uzbrojone” w — powiedzmy — automatykę...

— Przez długi okres problem wyposażenia Pogotowia w nowoczesny sprzęt techniczny spędzał nam sen z oczu.

Aktualnie jesteśmy wyposażeni w najnowocześniejszy sprzęt elektroniczny, służący do szybkiej elektrokardiologii oraz elektrokardiote-

KORESPONDENCJA z ZAGRANICĄ

Dalszy ciąg ze str. 1

Zanim jednak po czterech godzinach wysiadziemy z ciepłego TU-104, wróćmy myślą (blyskawicznie — szybciej niż odrzutowy samolot) na lotnisko Domodedowo. Jest to największy port lotniczy Kraju Rad — jeden z największych na świecie; słynne międzynarodowe Szeremietiewo (gdzie lądują samoloty m. in. z Warszawy) wcale nie jest największym lotniskiem, choć na pewno najbardziej luksusowym. Wiadomo — to wizytówka i brama Moskwy.

Domodedowo natomiast jest lotniczym gigantem, choć właściwie spełnia rolę portu komunikacji wewnętrznej. Ale też lotnicza komunikacja wewnętrzna tego gigantycznego kraju jest równie jak on gigantyczna. Dodajmy zresztą, że z Domodedowa startują także samoloty do dalekich rejonów zagranicznych — do Dżakarty, Hawany, Tokio... Stąd niedawno wystartował w swój próbny rejs, nowy radziecki „pasazer”, TU-144. Narazie ten naddźwiękowy kolos, lecący na wysokości 20 kilometrów, kursuje do Alma-Aty, w przyszłości latać ma ponad aż do Chabarowska. Odległość ponad 6 tysięcy kilometrów pokona w trzy godziny.

W Związku Radzieckim w komunikację lotniczą inwestuje się bardzo dynamicznie. Przy takich ogromnych odległościach nie oplaca się inwestować w budowę nowych dróg i linii kolejowych dla przewozów pasażerskich. Stąd ciągle nowości w pasażerskim lotnictwie. Już w przyszłym roku odbędzie swój pierwszy lot radziecki aerobus IL-86. Samolot pomieści 350 pasażerów, przy czym dolny jego pokład, przeznaczony na bagaże, będzie również służył do przewozu kontenerów. Aerobus IL-86 będzie miał prędkość lotu ok. 950 km/na godz., zasięg — 35 tys. kilometrów.

Normalna sprawa, jeśli zważymy, że „Aeroflot” przewozi dziennie 200 tysięcy pasażerów, to przeciętnie, bowiem w okresie letnim dziennie znajduje się w powietrzu ponad 300 tysięcy pasażerów. Statystyka roczna mówi o 60 milionach pasażerów. Dwa razy tyle, ile liczy Polska!

Ale też, jak może być inaczej w Kraju siedemdziesiąt razy większym od Polski. Nie dziwi więc, że bilety lotnicze są w ZSRR bodaj najtańsze na świecie, kosztują niewiele więcej niż kolejowy bilet sypialny II klasy. Komunikacja lotnicza jest tutaj koniecznością i oczywistością i tak ją wszyscy traktują. Jak u nas PKS. Leciałem z Bracka samolotem AN, kursującym na trasie Krasnojarsk — Brack — Irkuck — Ulan Ude. Krótka to trasa. Jakies półtora tysiąca kilometrów. Więc w samolocie atmosfera jak w „pekaście”. Ktoś trzyma na kolanach koszyk owiązany płótnem; jakaś studentka z siatką pełną książek...

Wróćmy jednak na Domodedowo. Największe lotnisko Kraju Rad położone jest najdalej od miasta. Ponad 40 kilometrów. Autobusem do Moskwy jedzie się stąd półtorej godziny, niemal tyle co samolotem z Warszawy do Moskwy. Wszelkie wylotowe

czasu, odległości, biorą w lew, kiedy się człowiek przesiada non stop z autokaru na samolot i odwrotnie.

Z Irkucka do Bracka (550 km) — około godziny; z Irkucka nad Bajkał (70 km) — ponad 2 godziny... I czas zaczyna wirować, włączam w hotelu telewizor, leci dziennik wieczorny z Moskwy, a tu Syberia i głęboka noc... I jestem — gdzie? W osadce Gustowska? W miasteczku Nowonikolajewsk? Czy w ponad milionowym

to dziwnie? Skądże. Przecież już Maksym Gorki, patronujący w latach dwudziestych czasopiśmiu literackiemu „Sybirskie ognie” wyczuł tę atmosferę, surową le... romantyczną, w której rodzą się talenty pisarskie.

Martynow urodził się w Omsku, pięćset kilometrów na zachód, ale, jak wiadomo, „sto kilometrów nie odległość...”. Dziś Martynow z woli tradycji „należy” do Nowosybirsk.

JERZY WILMAŃSKI

MIASTO W ŻŁOTEJ DOLINIE

Nowosybirsk? Wszystkiego po trochu. Nowosybirsk jest tu od lat bez mała pięćdziesiąt, przedtem był Nowonikolajewsk, a jeszcze przedtem osada... Nad wielką rzeką Ob wyrosło ogromne miasto, największe miasto Syberii. Zaczęto je budować w 1894 roku w związku z budową transsyberyjskiej linii kolejowej.

A dziś? Nie chcę, aby to wylczenie zabrzmiało jak kartka z folderu, lecz przecież dziś Nowosybirsk to maszyny (obrabiarki i sprzęt rolniczy), elektronika, urządzenia precyzyjne, hutnictwo żelaza i cyny, przemysł chemiczny, skórzany, odzieżowy, spożywczy, materiały budowlane, farmaceutyczne, tworzywa sztuczne... Wystarczy?

Pisałem już kiedyś — Syberia ma taką skalę, że liczą się tu tylko rzeki wielkie. Tylko tu mogło powstać to żartobliwe porzekadło: „Sto kilometrów — nie odległość, czterdzieści stopni — nie mróz, sto gram — nie alkohol, sto rubli — nie pieniądze”. I wszystko to prawda, łącznie z ostatnim. Zarobki są tu wyższe niż w części europejskiej — z reguły powyżej 100 rubli do 200, przeciętnie. Plus 40-proc. dodatek za trudne warunki i premia za wytrzymałość. Po każdym pięciu latach automatycznie zarobki wzrastają o 10 proc.

Jadąc do Nowosybirsk wiedziałem, oczywiście, o mieszcącym się tu Syberyjskim Oddziale Akademii Nauk ZSRR, słyszałem o słynnym „Akademgorodku”, ale dopiero z publikacji Moniki Warniejskiej dowiedziałem się, jaką kadrę znakomych pisarzy wychowało to miasto.

Lidia Sejfulina, Wsiewołod Iwanow (ten od „Pociągu pancernego”), Siergiej Zalygin — autor głośnego „Białego parowu”, Georgij Markow, no i wybitny poeta Leonid Martynow. Czy

„Jak szeroka jest rzeka Ciszka? Możeś o tym od kogo słyszał? Prawy brzeg jest daleki, mglisty. Ledwie światła widać we mgle. A my pojeździemy na wyspy. Czy wiesz, że tam wyspy są dwie? A jak długa jest rzeka Ciszka? Możeś o tym od kogo słyszał?”

Wiedziałem rozlewiska Angary z okna samolotu, żłotozieloną tajgę i błękitne plamy rzeki, która już właściwie rzeką być przestała. W okolicach Bracka rozlewa się w ogromne „brackie morze”, a na południe od Irkucka płynie wśród gór szerokim wąwozem doliny od Bajkału, skąd bierze początek... „Jak szeroka jest rzeka Ciszka?”. Nie wiadomo, takich rzek toczących wolno wody wśród gór i równin jest tu dużo — Angara, Ob, Irtysz, Jenisej... Ale lecąc TU-104 na wysokości 10 tysięcy metrów widać tylko biały kożuch chmur i przeraźliwy błękit nieba. Gdzieś w dole padają deszcze, kłębią się rzeki i szumi żłotozielona tajga, zawiewa śnieg, a tu, w górze, jednostajny szum silników i ludzie oszłolomieni warkotem i awiomarinem.

Na jednym z lotnisk chcę kupić w punkcie medycznym fiołkę awiomarinu, który tu nazywa się aeron. Nie mam drobnych (fiołka kosztuje siedem kopiejek), „diwoczka” nie ma także drobnych, aby mi wydać bilon z dwu rubli.

— Bierz, towarzysz — mówię — dobrej podróży, czeka cię daleka droga.

Ludzie są tu życzliwi i bezpośredni, nikt się nie „sadzi”, zda się, że żyjemy w jakiejś wielkiej rodzinie. W hotelowym hallu zapalam naszego „Sporta”, stojący obok dryblas spogląda na opakowanie i pyta:

— Innostrannyje?

— Da — mówię — innostrannyje.

— Tak daj zakuric.

A potem kupuję w hotelowym bufecie butelkę „suchowo wina”, stojący obok czarziarwy czterdziestolatek o południowej urodzie przygląda się zakupowi z wyraźną dezaprobatą.

— Ono płochoje — mówi. — Nazywam się Woskianian Misko z miasta Dilizan w Armenii. Mam w pokoju najlepsze wino świata — armeńskie. Chodź, poprobujesz.

W ten sposób poznaję międzynarodowego sędzię piłkarskiego. Jeśli go kiedyś zobacze na ekranie telewizora, zawołam: „But! zdarow Woskianian!”

Ale dość dygresji. Jesteśmy w Nowosybirsku. Pogoda zrobiła się nieco łaskawsza — trochę słońca wychynęło zza chmur, kiedy przez most na rzecze Ob pędziliśmy w tajgę nafaszerowaną laboratoriami, salami wykładowymi, blokami mieszkalnymi. „Akademgorodok” — słynne na cały świat miasteczko naukowe. Jak tam zresztą „miasteczko”? Miasto po prostu. Opisane na wszystkie strony. Słynna „Złota Dolina”. Teraz, jesienią jest naprawdę żłota od żółtych modrzewi i brzoź. A wśród tych drzew setki bloków, pawilonów, instytutów naukowe, domy akademickie...

Nie sposób ogarnąć ogromu tego miasta schowanego wśród drzew. Parę domów — i złota ściana lasu. Dwieście metrów dalej znów jakiś pawilon handlowy i ściana lasu. I znów — trzy bloki mieszkalne — i ściana lasu... Mówią, że jest tu specjalny mikroklimat. Ale oprócz walorów klimatycznych jest tu mikroklimat psychiczny. Wielkie miasto uczonych zbudowane w tajdze, która stała się gigantycznym parkiem. Miasto w parku, odwrotnie niż bywa gdzie indziej na świecie — tam parki są w miastach.

Tajga poprzecinana asfaltem szerokich jezdni. Obok betonowe pasma

dla rowerów. Na balkonach rowery. Setki rowerów. Z domu do instytutu jeździ się rowerami. Dla zdrowia, dla relaksu, dla kondycji fizycznej.

„Akademgorodok” — Złota Dolina — tajga, która stała się parkiem. A że do Moskwy daleko? Gdzie tam daleko? Niecałe cztery godziny podróży! Pare samolotów dziennie odlatają do stolicy z lotniska w Nowosybirsku.

Blisko — daleko. Wszystko to takie względne. W czasie wojny Nowosybirsk był strasznie daleko od frontu, przeniesiono tu wiele fabryk z przyfrontowej lub zagrożonej strefy. Odgłosy wojny nie docierały do Nowosybirsk, nie gasty nocami świateł, nie wylły syreny alarmowe, nie brzmiały detonacje wybuchów... A jednak docierały tu przecież — jak do każdego zakątka Kraju Rad — skutki wojny, zbierała ona swoje tragiczne, krwawe żniwo także i w Nowosybirsku.

W centrum miasta monumentalny pomnik z białego kamienia. Na czołowej płycie tysiące nazwisk; Jefimow, Pietrow, Bagarian, Lomow, Krasnow, Lukow, Strielkin, Atanasow... Szereg nazwisk Sybiraków — znad Obu... Ponad 30 tysięcy mieszkańców Nowosybirsk oddało swoje życie w latach ostatniej wojny. I dziś — mróz czy zawiewa — na placu przed pomnikiem młodzi pionierzy, wnukowie tamtych poległych bohaterów, pełnią honorową wartę.

Jest październik — w Nowosybirsku pada mokry śnieg. Pogoda się znów popsuła, nadchodzi zima. Jak dobrze pójść, jeszcze dziś polece dalej w tej szalonej, pośpiesznej podróży. I trochę żal, że nie mogę trasą transsyberyjskiej kolei wlec się niespiesznie przez jesienną równinę Syberii, mając maleńkie stacyjki, osady, wskroś żłotozielonej tajgi...

Czas na strzeżenie. Choć właściwie nie trzeba — Syberia uderza do głowy i odurza jak wino.



Fot. Janusz Kupiecki

TELEFON NUMER 09

W tej sytuacji — kiedy poprawiło się wyposażenie techniczne — daleko pozostała w tyle baza lokalowa i środki transportu. Aktualne warunki lokalowe — ogromna ciasnota — nie pozwalają na wprowadzenie nowoczesności technicznych do szeregu stanowisk pracy, jak np. Biura Wezwań. Dalsza, planowana na lata przyszłe, modernizacja stacji stworzy warunki dla dalszego wprowadzenia postępu technicznego w samym budynku.

Innym problemem jest transport. Karetka w chwili obecnej przestaje już być wyłącznie środkiem transportu, a coraz częściej staje się miejscem działania zespołu, miejscem walki o życie. Zwiększająca się ilość różnorodnego sprzętu w wyposażeniu zespołu wyjątkowego stwarza pilną konieczność jak najszybszego oddania do dyspozycji Pogotowia karetek w pełni przystosowanych do pełnienia takiej roli.

— Ze szczególnym zadowoleniem odnotowujemy wykonanie postulatów o upowszechnienie umiejętności niesienia pierwszej pomocy w nagłych wypadkach przed przybyciem lekarza. Czy pan Dyrektor uważa, że Pogotowie jest w stanie przygotować nie tylko poszczególne grupy zawodowe, lecz całe społeczeństwo do merytorycznego reagowania na wypadki przy pracy, na zatrucia, katastrofy drogowe i temu podobne zagrożenia życia i zdrowia ludzkiego?

— Wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniu społeczeństwa zorganizowano eksperymentalnie w roku 1973

przy Stacji Pogotowia Ratunkowego m. Łodzi tzw. „Szkoły Ratownictwa”. Jedyną tego rodzaju placówką w kraju i Europie wschodniej. Szkoła ta miała za zadanie przygotowanie społeczeństwa do umiejętnego postępowania w stanach nagłego zagrożenia życia. Została wyposażona w nowoczesny, unikalny na nasze możliwości sprzęt, aparaturę, materiały szkoleniowe i filmy.

Po okresie eksperymentalnym, tak należy określić czas od powołania szkoły do chwili obecnej, w wyniku uzyskanych doświadczeń ustalono, że cały wysiłek należy włożyć w szkolenie udzielania pomocy w nagłych wypadkach przez lekarzy medycyny, lekarzy stomatologów, średni personel medyczny, inne grupy zawodowe których przedstawiciele z racji swej pracy z reguły jedni z pierwszych znajdują się na miejscu wypadku (pracownicy MO, Straży Pożarnej, BHP itp.) oraz nauczycieli zawodu instruktorów szkolących drużyny medyczno-sanitarne. Pod tym kątem opracowany został odpowiedni program szkolenia dla wymienionych grup. Natomiast szkoleniem masowym powinien nadal się zajmować PCK.

Pragnę jeszcze dodać, iż zapotrzebowanie na tę formę szkolenia przeżyło nasze najśmielsze oczekiwania, bowiem mamy zgłoszenia z całego kraju. Liczymy na pomoc niektórych zakładów pracy i instytucji przy uzupełnianiu sprzętu w szkole, naprawie i regeneracji tegoż sprzętu i aparatury, regeneracji i kopii filmów bar-

dzo unikalnych, gdyż to, co robimy, procentuje dla nas wszystkich, a jest niewymierne.

— Jesteśmy zdania, że lekarz Pogotowia powinien być szczególnie uprzywilejowany. Jego czujność (tu mam na myśli Wasze hasło „ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś”) jest — proszę mi darować porównanie: czujnością zajmująca śpiącego pod miedzą. Wiem, że taki człowiek godzi się

czuć w warunkach zmęczenia po całonocnej pracy. Czy może być dostatecznie czujny w sensie nie budzenia, lecz reakcji na objawy choroby? Przecież Pogotowie powinno działać na zasadzie czujności straży pożarnej.

— Lekarz Pogotowia przychodzi na dyżur po swojej etatowej pracy i po dyżurze idzie ponownie do pracy. Zmęczenie psychofizyczne na pewno



Fot. Archiwum

więc występuje, tym bardziej że w czasie swojej pracy ma on stale do czynienia z tym, co dla człowieka jest najdroższe — z jego zdrowiem i życiem. I tu wracam do uwagi uczynionej poprzednio na temat niemożliwości wypłacania lekarzom na dyżurach tzw. dodatków specjalnych. Pozwalałyby one wynagradzać dodatkowo np. za dyżury przy niepełnej obsadzie kadrowej, w sytuacjach awaryjnych czy przy wpływie nadmiernej ilości zgłoszeń. Pozwalałyby też karać za uchybienia nieprzyznaniem dodatku. Dodatki takie powinny być przyznawane za przepracowany miesiąc z dołu.

W obecnej ilości zgłoszeń wpływających do stacji z wezwaniem karetki pogotowia, porównanie nas do straży pożarnej wydaje się nam tak bardzo futurologiczne, że wprost nie do przyjęcia. I my chcielibyśmy posiadać zespoły czekające na wezwanie i w pełni wypoczętą kadrę, jaka była by wówczas szybkość i skuteczność działania!

— Widzę, że to pytanie powinno być zarezerwowane do Związków Zawodowych i resortu. Sądzę, że te instytucje znają sytuację Pogotowia nie od dziś i powinny starać się o udoskonalenie jego funkcjonowania pod każdym względem. Tego życzymy Panu i całej załodze.

Rozmawiała:
ZOFIA TARNOWSKA

LEKCJA LITERATURY

Jest w twórczości Leśmiana kilka wierszy, będących ciekawym stopem typowych oraz wyjątkowych w jego dorobku tematów i sposobów ich poetyckiej realizacji. Zatrzymajmy się nad jednym z nich, noszącym tytuł „Trupiegi”.

Pierwszą część utworu jest jakby definicja pojęcia występującego w tytule. Poetycka informacja podana została w czasie teraźniejszym, ale tylko po to, by podkreślić obowiązujący wśród pewnej grupy społecznej powożący i powtarzający się zwyczaj pochówku zmarłego. Toż umierający, o którym opowiada narrator, nie jest jakimś konkretnym człowiekiem, wyposażonym we wskazane przez poetę indywidualne cechy — jest typem wyabstrahowanym reprezentantem pewnej zbiorowości ludzkiej.

Narrator przedstawia notatkę, która jest zapisem nie jednej, konkretnej, a wielu obserwacji. W obu składających się na analizowany ustęp zdaniach wielokrotnie złożonych spotykamy ten sam schemat przyczynowo-skutkowy: kiedy coś ma miejsce — to taki jest tego efekt. „Kiedy nędzary umiera”, to rodzina informacja podana została w czasie teraźniejszym, ale tylko po to, by podkreślić obowiązujący wśród pewnej grupy społecznej powożący i powtarzający się zwyczaj pochówku zmarłego. Toż umierający, o którym opowiada narrator, nie jest jakimś konkretnym człowiekiem, wyposażonym we wskazane przez poetę indywidualne cechy — jest typem wyabstrahowanym reprezentantem pewnej zbiorowości ludzkiej.

Czy jednak pierwszy, graficznie wydzielony, fragment „Trupiegi” jest tylko i wyłącznie relacją, rejestrem faktów ułożonych wzdłuż osi: przyczyna — skutek? Zaraz na wstępie spotykamy sugestywny obraz — scenkę. Gdy nędzary umiera, a więc gdy jeszcze zмага się ze słabością, „śmierć swoje proso sypie mu na przynętę, by w trumnie szedł bos”.

Co to znaczy? Opowiadający sugeruje nam, że proces ludzkiego umierania ma nie tylko jednego bohatera — człowieka. Drugim, równie ważnym, jest śmierć.

Przytoczone wyżej zdanie, to obraz scenki myślowej, to majace stary słowiański rodowód polowanie na ptactwo siecia, z przynętą w postaci ziarna. A więc umieranie to swoista gra — o przewagę, o zwycięstwo jednej ze stron, w tym wypadku oczywiście śmierci. Jest to zatem już nie — jak poprzednio — zapis faktu, a jego interpretacja, ujawnienie rozumienia indywidualnego, prywatnego, nie mającego statusu obiektywnej prawdy.

Lecz na tym nie koniec. Scenka wabienia przez śmierć człowieka na zgon ma charakter symboliczny. Opaluje kilka nakładających się na siebie znaczeniami, z których każde ma to same prawa bytu i akceptacji przez czytelnika.

Śmierć nęci ziarnem człowieka ubożego. Ten, ponieważ był bosy, był nędzarzem, uległ wizji sytości. Choć nie zostało to powiedziane wprost, lecz wynika z dalszego toku wypadków, że umierający „poszedł” na przynętę. Starym słowiańskim obyczajem było zaopatrywanie grobu w pożywienie dla duszy zmarłego, właśnie w zboże. Umieranie nędzara w „Trupiegiach” „dzieje się” więc na dwóch planach: „interpretacyjnym” planie polowania i „faktycznym” obyczajem słowiańskiego pochówku.

Ale to tylko jedna możliwość odczytania. Przecież „Bóg”, „zboże”, „bogactwo” to ta sama rodzina wyrazów. Symbol śmierci nęcej zbożem nędzara (w grę wchodzi tu nie tylko ubóstwo materialne) może, choć nie musi (o funk-

cja symbolu) sugerować wabienie i ulganie umierającego człowieka wizji Boga — „bogactwa” w lepszej pozaziemskiej rzeczywistości.

A i to nie koniec. „Umieranie” dzieje się oprócz planu polowania i pochówku, także chyba na planie — tańca. Już obraz „grającej” z człowiekiem uczulonej „śmierci” przypomina słynny średniowieczny dance macabre. A przecież podsypanie ziarno polowało się na piactwo, między innymi na lu-

polega na poszukiwaniu „pierwszych”, podstawowych, wiecznie aktualnych zachowań i czynów, będących świadectwem zmagania się człowieka ze swoim losem. Owe poszukiwania toczą się w sferze ludowych wierzeń i baśni, w świecie rozpoznawanym przez czytelnika, jako świat ludowy — choćby dzięki odpowiedniej stylizacji językowej i obecności ludowego bohatera.

W „Trupiegiach” owa stylizacja językowa jest dyskretna, to ledwie słowni-

ście literackim), ale prawie nigdy nie „wychyla się” z niego. A w „Trupiegiach”? W drugiej części wiersza podmiot autorski „odsuwa” tożsamość z nim narratorem i zaczyna mówić do siebie, we własnym imieniu. „Ja — poeta”: arcyzdanie „ja” zostanie zresztą powtórzone, ujawniając przy tym swą genezę: „Ja — gniewny”.

Pierwszy, „narracyjny” fragment wiersza jest układem odniesienia dla wynurzeń lirycznych „ja” autorskiego. Znalazł się w utworze po to, by podmiot autorski utożsamiając się z bohaterem ludowym — nędzarzem mógł dosadnie i w oparciu o określone zaplecze kulturowych gestów powiedzieć coś o sobie. Nie tylko więc „ja” tworzące identyczne jest z narratorem, także podmiot autorski — narrator utożsamia się z nędzarzem — bohaterem ludowym. Owa tożsamość to rzadka u Leśmiana oś konstrukcyjna całego utworu.

Ewenementem jest także wyraźny rys autobiograficzny w wyznaniach podmiotu. Słowa: „Ja — poeta, co z nędzy chciałem się wymigać, aby śpiewać bez troski i wieczność rozstrzygać. Gdy mnie w noc okradziono, drwię z ziemskiej mitręgi” — mogą być, choć nie muszą, świadectwem stanu poety — notariusza po katastrofie finansowej, spowodowanej przez jego dependenta. Okradziony poeta, więc nędzary, ma tę pewność, co i „ludowy” umierający, że nie powędruje w zaświaty bosy, że dostanie swoje trupiegi. Jedyna różnica, to fakt, że trupiegi poety już czekają w zaświatach, jako „dar kochanki” lub „wrogów chytra zapomoga” (może należy domyślać się „uszcicia butów”).

Oznaka najdostojniejszej nędzy, symbol najgłębszego upadku biedaka, stają się trupiegi dystynkcją i wartością zmarłego. Poeta obiecuje przechadzać się w owym trumienym, dziadowskim „obuwiu” przed boskim obliczem, w zaświatach, „po obłoków grzbiecie” (znowu obrazek stylizowany w zgodzie z wyobraźnią ludową) — po wielekróć „i raz jeszcze — i nieraz”, tam i z powrotem — „chępliwie”. Ba, przyrzeka on tu pać na Boga — właśnie tymi trupiegami — jeżeli ten, „wzgardzi mną, jak nicością, obutą zbyt lichy”.

BOLESŁAW LEŚMIAN

bianą i powszechną przepiórkę. W jakimś związku z tym faktem pozostaje powstanie rejestrowanego do dzisiaj w folklorze tańca, już tylko jako weselne, zwanego „Przepióreczką”, w którym pan młody gonil i chwytal swą wybrankę. Znamy chyba wszyscy — dzieki Zeromskiemu — pierwszy wers pieśni ludowej: „Uciekla mi przepióreczka w proso...”. W wierszu Leśmiana spotykamy tę samą parę rymów: proso — bosy. I śmierć też stara się przychylić wybranego, tyle, że na zgon. A więc zresztą u Leśmiana zdarzenie przeciwieństw, paradoks wzbogacający nasze refleksje o ludzką egzystencję: poeta zdaje się sugerować, że tańiec śmierci, to zarazem tańc wesoły i odwrotny.

Śmierć to tylko czy aż polowanie się z bóstwem; osiągnięcie niebiańskiego „bogactwa” — to unicestwienie. Możliwość interpretacji tego poetyckiego obrazka — scenki jest zresztą wiele, symboliczny jego charakter zapewnia absolutną otwartość, nieskończoność domniemań.

Zwróćmy uwagę, że i w pozostałych partiach wiersza spotykamy charakterystyczne, kreujące symbol, unikanie jednoznaczności. Rodzina korzysta „z swej ofiarnej rozpacz”, by obuć zmarłego. Ofiarna może znaczyć i „ofiarna” (gotowa do poświęceń) i „ofiurująca”. W tym przypadku, co znowuż było jego zwyczajem, „wraca” Leśmian do pierwotnego znaczenia słowa: ofiarny, to „ofiarny”, bo „ofiurujący”.

I jeszcze jeden zwrot: trupiegi potrzebne są „na wieczność, bo zbyt jest ciemniasta”. Wieczność ciemniasta? Jeżeli to ładne, to i równie banalne. Co innego — „na wieczność ciemniasta”. Mamy tu odwołanie się do zwrotu: „na drogę”. Wieczność to tyle, co podróz, w której się bywa, to zarazem miejsce, jak i okres czasu. Konsekwencją tej wieloznaczności jest znowuż sugerowany tylko ciąg egzystencjalnych refleksji.

Symboliczność to autorskie dochowanie wierności samemu sobie. Również dla Leśmiana typowa była także i w tym wierszu obecna — swoista „ludowość”. Spożytkowanie w „Trupiegiach” niepochwytanych w kołysce, „odwiecznych” słowiańskich obrzędów i obyczajów: pochówku, polowania, tańca, to sięganie po najpierwotniejsze gesty człowieka, a nie żadna „chłopomania” czy regionalizm. Ludowość Leśmiana

two odbierane jako ludowe (trupiegi, mitręga, cudaczny). Spotykamy też ciekawy przypadek akceptacji „przepisanych” zachowań, stanowi go zapowiedź przechadzania się po obłokach „do trzeciego rano” (do trzech razy sztuka).

Ciekawym, a zarazem najważniejszym elementem ludowości w „Trupiegiach” jest bohater ludowy. Występuje on tylko w pierwszym, opisywym fragmencie wiersza. To przede wszystkim umierający, członek świata gestów pierwotnych. Także narrator jest „krewnym” zmarłego i jego rodziny. Świadczy o tym wyraźny ton nie tylko spółzwozia. I le współodczuwania oraz traktowanie zmarłego w właściwym dla tego „świata” spokojnym humorem, dystansem żywych, przekonanych o nieuniknioności — więc: konieczności — końca. Rodzina zdobywa trupiegi — „groz trwoniąc ostatni dla nóg niedolegi”, po czym „stroji” go w owe „zbytki żebracza”.

Ludowy bohater, ludowy narrator — to częsty schemat wierszy Leśmiana. Ale „Trupiegi” są także utworem „nie-typowym”. Aktorzy scenki stanowiącej pierwszą część wiersza są nędzarami, ludźmi ze społecznego marginesu; świadectwem, „esejncją” ich upadku są owe żalonne trupiegi. Bohaterowie Leśmiana to najczęściej reprezentanci „ludu”, obywatela „pierwotnego” świata — a zarazem nędzarze.

Nie ma tu jednak punktów wspólnych z postaciami z twórczości skamandrytów: „ludowy” i „nędzary” nie znaczy tu „przeciętny”. „Jeden z wielu”. Wreż odwrotnie, Leśmianowski „człowiek z dołu” nie jest szary i zwyczajny, bowiem jako jednocześnie „człowiek pierwotny” reprezentuje wartości wyjątkowe, najcenniejsze, bo „pierwotne”. Te, które są niezbędne w artystycznej kreacji — przecież stylizacja narratorem na ludowego „pleciuga” jest manifestacją przekonania, że twórczość, jak było „pierwotnie”, w fazie bezimiennego autorstwa, musi nieść treści wspólne dla całej wspólnoty, czerpiące z wizji ludowego kosmosu. Pierwszą część „Trupiegi” realizuje istotny dla przekonań autora schemat: bohater ludowy jego wierszy to jednocześnie nędzary — jego „krewnym” jest narrator.

Narrator utworów Leśmiana najczęściej „zgadza się” z podmiotem autorskim (przedstawicielem autora w tek-

Nieważne czy i co będziemy rozumieć przez trupiegi, traktowane jako symbol. Istotne, że „nędzny” człowiek, zwabiony przez śmierć symbolicznym zbożem, zamierza spierać się z Bogiem o szacunek dla jego nędzy — szeroko, nie wyłącznie materialnie, rozumianej. W akcie gniewnej ludzkiej dumy postanawia poeta — człowiek, byt skończony, wymoc na bycie nieskończonym — Bogu, szacunek dla tragizmu ludzkiej egzystencji.

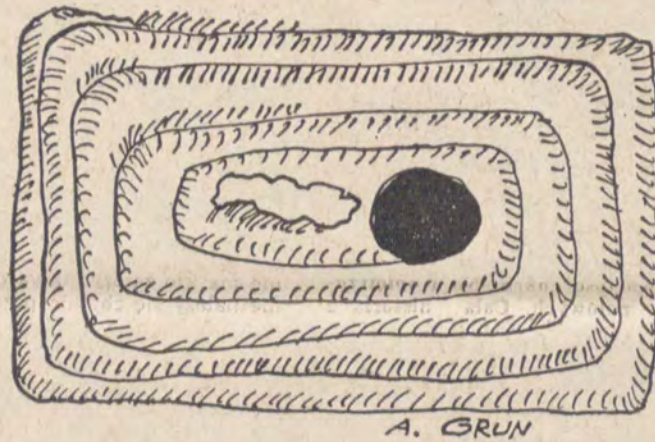
„Trupiegi”, jak i inne „zagróbne” wiersze z tomiku „Napój cienisty”, lokują się w nurcie egzystencjalnym poezji Leśmiana. W wierszach tych Bóg nie jest już przedłużeniem człowieka, przestaje być marzoną możliwością. Życiu „tam”, przeciwstawione jest życie „tutaj”. Człowiek sprzeciwia się Bogu, nie znajduje w niebiańskim, szczęśliwym wiecznotrwanym rekompensaty za ziemską, nędzną doczesność. W umieszczonej w wypisach szkolnych „Urszule Kochanowskiej” bohater wiersza spotyka w niebie rozczarowanie, nie udaje się jej bowiem w pełni odwrócić tam rzeczywistości ziemskiej. W „Trupiegiach” prawdziwą i jedyną wartością zmarłego są w niebiosach ziemskie trupiegi — atrybut ostatecznej doczesnej nędzy: tutaj powód dumy, przyczyna nobilitacji.

W ostatnim poemacie wydwanym tomiku, w „Dziebie leśnej”, bohater wierszy Leśmiana spokojnie tragicznie, wolać w jednym z najbardziej dramatycznych utworów:

„Boże, odlatujący w obce dla nas strony,
Powstrzymaj odlot swój —
I tul z płaczem do piersi ten wiecz-
nie skrzywdzony,
Wierzący w Ciebie gnój!”

W „Trupiegiach” poeta świadomie utożsamiając się z „nędzarzem” dumnie i gniewnie domaga się od Boga — bytu nieskończonego — respektu i poszanowania dla trupiegi, dowodu heroicznej pogodzenia się człowieka z tragizmem jego skończonej egzystencji.

WIESŁAW PUZ



SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH



(Wydawnictwo Łódzkie 1984). Kolejny zbiorek miniatur literackich Fijasa wydaje „Czytelnik” w dwa lata później — „Z notatnika prowincjusza”, a w 1970 roku Wydawnictwo Łódzkie proponuje czytelnikom naj-

próbki poetyckie i dramatyczne Fijasa, znajdujemy bowiem (w zbiorze „Z notatnika prowincjusza”) wierszowaną retorykę, a także formy, które określić można mianem — absurdów poetyckich; jeśli zaś chodzi

książki w różnych okresach polityczno-swiatopoglądowych, stąd też należałoby przypuszczać, że taki dobór tematów, jaki znajdujemy na kartach pozycji książkowych Fijasa był sugerowany istniejącą sytuacją. Być może w istocie ta ostatnia nie pozostawała bez wpływu na działanie pisarza o takim profilu twórczym, ale lektura jego dotychczasowego dorobku wskazuje na to, iż wymiennosci zagadnień, szeroki wachlarz tematów jest dla Fijasa czymś charakterystycznym. Odnośni się wrażenie, że niezwykle lotny umysł pisarza nie mieści się w ramach takiej samej, czy nawet zbliżonej, koncepcji tematycznej. (Poza tym, brak ścisłej ciągłości w podejmowaniu zagadnień znajduje swe odbicie w niuansach stylistycznych poszczególnych utworów). Autor „O szkodliwości kominów” czerpie sporo z codziennych obserwacji, dając niejednokrotnie zdeformowany obraz społeczeństwa (i prywatnych) wynaturzeń, które głęboko zakorzeniły się w glebie „normalnego” życia. Dar bystrego postrzegania wielu drobnych, codziennych egzystencji Polaka i umiejętności oryginalnej transformacji tychże w kształt utworu literackiego, ułatwia Fijasowi korzystanie z tej przebogatej, a jednocześnie autentycznej i wiarygodnej, bazy tematycznej. Specyficznym jej odłamek jest „kuchmistrzostwo” pisarza — Fijas, nie ukrywając tego w żadnej ze swych książek, jest zafascynowany sztuką kulinarną i potrafi — na płaszczyźnie literackiej — wydobyc z tej kłopotliwej domeny wiele elementów o dużym ładunku humorystycznym. Znajomość wielu dziedzin życia, jak również życiowe doświadczenie pisarza, pozwala mu eksploatować także inne, nie pozabawione zabarwienia humorystycznego, zakresy ludzkiego działania. Pozwala sobie również ten świetny satyryk na drwinę z samego siebie, a momentami i na cienką au-

tokrykę — wydawca jego drugiej książki zwrócił uwagę czytających na wyimaginowany rysopis Fijasa, przez samego autora sporządzony, umieszczając go na obwolucie „O szkodliwości kominów”. Osobną zaś wylegarnią pomysłów autorskich jest odwoływanie się do własnych niedawnych przeżyć estetycznych, formułowanie przejrzystych aluzji i przeprowadzanie oryginalnych prób wartości — część utworów Fijasa to reminiscencje z lektur, efekty zetknięcia z dziełami sztuki, ustosunkowania do różnych przejawów życia. W tym wszystkim pomaga Fijasowi nie tylko błyskotliwa inteligencja, znaczna kultura literacka i wybitna wrażliwość, ale także czytanie, znajomość kultury antycznej, posługiwanie się fragmentarycznie językami obcymi, wreszcie — warsztat pisarski na wysokim poziomie, co jest bez wątpienia zasługą pracy nad sobą.

Zresztą w przypadku Zygmunta Fijasa bezspornym tego dowodem jest jego sprawność myślowa i pisarska. Jest to satyryk z prawdziwego zdarzenia, potrafiący budować kaskadę humorystycznych zwrotów i skojarzeń, operujący z równą swobodą koronkową polszczyzną, co żargonem środowiskowym. Niebanalne ujęcie tematu, liryczny humor, subtelna satyra, zaskakująca pointa — to wszystko można znaleźć w licznych groteskach autora „W krainie majaczeń”. A dodać trzeba, że w twórczości Zygmunta Fijasa podstawową koncepcją wypowiedzi literackiej jest konsekwencja wobec przyjętego założenia realizacji pomysłu. Ten atut czyni utwory zrozumiałymi i interesującymi nawet dla niewyrobionego czytelnika.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

ZYGMUNT FIJAS

obszerniejszy zestaw humorystycznych opowiadań tego autora „Twarz do tyłu”; warto dodać, że książkę tę wzbogacił przerywnikami (a także zaprojektował obwolucje) Stanisław Ibis-Gratkowski. Wreszcie ostatnia, z dotychczas wydanych pozycji Zygmunta Fijasa, przypominająca swą zawartością poprzednie książki, to zbiór grotesk pt. „W krainie majaczeń”, który wydrukował w 1972 roku warszawski „Czytelnik”. Jak zatem widać — a dodać by należało jeszcze wiele pojedynczych utworów Fijasa publikowanych często w prasie, m.in. w łódzkiej „Karuzeli” — dorobek twórcy tego autora jest bogaty, a jego groteski i humoreski zajmują w samych tylko wydaniach książkowych prawie tysiąc stron druku.

W twórczości Zygmunta Fijasa wyusza się na plan pierwszy wierność autora pewnemu typowi wypowiedzi literackiej; ale jednocześnie zwraca uwagę to, że wypracowywany przez Fijasa model sylwetki „pisarza humorysty” zawiera w sobie różnorodne bogactwo odmian uprawianych gatunków. Mamy w tych książkach do czynienia z szeroką gamą sposobów literackiego wystawiania: poczynając od opowiadania humorystycznego i anegdoty, poprzez satyrę, pastisz czy humoreskę, aż po „czystą” groteskę. Osobnego wyciszenia domagają się

o dramaturgię w wydaniu Fijasa, to umieścić ją by należało na granicy parodii i teatru (miniaturowego, rzecz jasna) rozrywki, czego przykładem może być chociażby „dramat radiowy” (jak twierdzi autor w podtytuł), zamieszczony w książce „Portret z sera”. Zresztą podtytuł jest u Fijasa sporo — chce on jak gdyby dookreślić w ten sposób swoją wypowiedź, zalegalizować formułę, w której wyraża taką czy inną myśl. Ma to także swoje dobre strony, bowiem potrafi niejednokrotnie przykuć uwagę czytelnika do którejś z małych całości literackich wzbudzając szczególną ciekawość: tak właśnie bywa w wypadku znakomicie spreparowanej parafrazy z „Odysei” Homera (tom „Twarz do tyłu”), który to fragment dostrzeże każdy, nawet li tylko kartkujący książkę. Skoro już mowa o pojedynczych przykładach, warto wspomnieć o dowcipnym zestawieniu dokonanym przez Fijasa w pierwszej książce (a warte jest to uwspółcześnienia) i opatrzonym tytułem „Ulise Wielkiej Łodzi”, które szczególnie dla mieszkańców naszego miasta ma swoisty wydźwięk.

W typie pisarstwa reprezentowanym przez Zygmunta Fijasa do rangi najistotniejszego problemu urasta sprawa tematyki. Jak wiemy, autor „Portretu z sera” wydawał swoje

DOBRA PRACA - PEŁNY STÓŁ

Dalszy ciąg ze str. 1

2.

Cukier w życiu jak chleb i sól. Co dnia sypimy do kawy, herbaty, mieszamy, nie liczymy łyżeczek i gramów.

Jeden burak waży od 410 do 750 gramów. Dla prostszego rachunku: burak o wadze jednego kilograma daje 11 deka cukru. Kto lubi sódki, ten do dwóch herbat ładuje buraka...
— Chce pan go zobaczyć? Zaraz przyniosę!

— Przecież mogę sam pójść...
— Eee tam, drobnostka! — młody człowiek w granatowym drellichu wybiegł z pokoju i po chwili wrócił z zawieszonym na drucie burakiem, który starczyłby na śniadanie dla wziętego Cyklopa.

— Niech pan potrzyma!
Chwyliłem za drut i szarpnęło mi rękę do ziemi, bo nie jestem z Cyklopów.

— Ile waży? — spytałem.

— Ponad siedem kilogramów.

— Taki zwyczaj u cukrowników — wyjaśnił Stanisław Lesyng, zastępca dyrektora d/s surowcowych. — Co roku znajdzie się okaz, który można pokazywać gościom.

— A jak jest realnie?

— Z czym?

— Z plonami, dostawą, przerobem. Dziś mamy 11 listopada i odebraliśmy 163 tys. ton, z czego przerobiono 100 tys. ton.

— To znaczy, że jest dobrze?

— Przynajmniej staramy się, aby było dobrze. Informujemy, uświadomiamy, apelujemy do rolników o rytmiczne dostawy. Oczekiem w głowie jest dla nas wieś wdrożeniowa, tzn. taka, w której stosuje się nowoczesną technologię uprawy, np. używanie do siewu nasion jednokielkowych, i gdzie rolnicy nie pozostawiają w polu obciętych z liści buraków, gdyż te tracą cukier.

Ale aż tak dobrze nie jest. Planowaliśmy uzyskanie cukru w granicach 11,88, a osiągnęliśmy 11,06. Plantacje też są zróżnicowane, o wydajności od 250 do 600 kw. z hektara. Jest to spowodowane nie tyle słabszą lub gorszą technologią uprawy, ile zróżnicowaniem opadów, które stały się dla nas i plantatorów prawdziwą zimą. Przedłużona wegetacja, asymilacja mniej intensywne, a przez to obniżona zawartość cukru. No i spietrznie nie pracują polowcy. Cała historia z cukrem zaczyna się w polu...

3.

Ano właśnie. Od razu wlałem do środka, a wszystko zaczyna się w polu.

Zapłakana ta jesień, pola grząskie, całe rodziny chłopie wciągają rekami buraki z błota. Maszyna nie wie, Furmanka też nie da rady. Wielu rolników w koszach, płachtach i w workach wynosi buraki na drogę, aby załadować na wozy. Albo zwozi je w podwórka, gdzie ockiekają z błota, i dopiero wtedy do punktu odbioru.

Chłopi klną. Bo i cztery konie nie wyciągną dziesięciu metrów buraka z błota.

Samochody, traktory, chłopskie furmanki ciągną do terenowych punktów odbioru. Rolnicy otrzymują premię dowozową za dostawę własnym transportem.

Punkty odbioru pracują od świtu do nocy. Konkretnie: do dwudziestej drugiej, a jeśli trzeba, to i dłużej, w niedziele i święta, bez względu na warunki pogodowe. Ludzie się nie lamia, wytrzymują atak tej słodkiej nawały. Czesław Tomeczak, inspektor odpowiedzialny za gospodarkę surowcową, Czesław Cieślak, inspektor z punktu terenowego w Grabowie.

Na punktach w Daszynie i Siedlcu położono płyty betonowe, trylinke;

zapchały, pogruchotały.

— Trzeba było parę lat temu plac utwardzić, ale pomyślunku nie ma!

Jest natomiast koniunktura na cukier. Tonę cukru można już sprzedać za tysiąc dolarów...

W cukrowni „Leśmierz” wiedzą o tym. Spytajcie operatora sprzętu załadawczego, Mariana Barskiego. Plac utwardzony, równe przyny, w miejscu kół podnośnych — pompy buraczane; wyladowywanie ręczne tylko z wozów, z innych pojazdów — hydrauliczne; na przechwalnictwo — urządzeniem „kompeks”, a na pochylni z przyczep prosto na transporter i do produkcji.

brzelin i Wieluń. Cukrownia w Wieluniu stanęła na kilka dob, Ostrowy i Dobrzelin przyhamowały. Leśmierz pracował i pomagał Wieluniowi, ale dyrektor naczelny cukrowni „Leśmierz”, mgr Irena Hargeheimer, miała kilka swoich „najważniejszych dni życia”.

Mówi:

— W ubiegłym roku kampania trwała 130 dob, do 27 stycznia. Ale w styczniu buraki tracą zawartość cukru, dlatego obecnie chcemy zakończyć pracę w grudniu.

Kampania rozpoczęła się 18 września, skup — 12 września. Aura pokrzyżowała plany i wszystkie harmonogramy wzięły w łeb. Mieliśmy minimalny zapas surowca na placu fabrycznym, zamiast na półtorej, tylko na pół doby i wtedy trzeba było zadziałać strategicznie, aby nie dopuścić do obniżenia tempa przerobu. Udało się! Obecnie systematycznie przekraczamy dobowy plan. Surowca mamy pod dostatkiem, 18 tys. ton przekażemy do cukrowni na dolnym Śląsku.

Oczywiście, wszystko należy zadziwiać ludziom, zwłaszcza wieloletnim pracownikom sezonowym, którzy przyspieszyli pracę we własnych gospodarstwach i przyszli do cukrowni. Rencistom podwyższono zarobki i oni też pomogli.

Załoga cukrowni Wschowa zaapelowała do wszystkich „słodkich fabryk” w kraju o taką gospodarkę surowcem, aby wytworzyć z niego maksymalną ilość cukru.

Leśmierz podjął apel. Zmniejszy straty produkcyjne o 0,47 proc. i planowane ubytki o 0,3 proc. Musi być prawidłowa segregacja surowca, przyny równe, bo przy falistych czubki szybko przemarzają. Trudno uniknąć wycieków i przecieków na urządzeniach i pompach, ale można zapobiec stratom na dyfuzji, w błocie defekosaturacyjnym i w melasie.

5.

Sto pomp pracuje w cukrowni Leśmierz.

Zakład stary, bo założony w 1838 roku, początkowo poruszany siłą wodną, od 1854 roku maszyną parową.

I nowy. Właściwa przebudowa rozpoczęła się w 1969 roku. Zainstalowano nowe urządzenia, m. in. stacje filtracji soków, wirówki do cukrzyzy I, II i III, łapacze piasku i kamieni, nowy piec wapienny, urządzenie do dyfuzji ciągłej.

Zmniejszono zatrudnienie o 50 proc., na zmianie pracuje tylko 70 ludzi. Jednakże wskutek rozbudowy stan zatrudnienia w liczbach bezwzględnych się nie zmienił.

Inżynier Rakowiecki zatrzymał mnie przy zagęszczalnikach.

— Tu zainstalowano automaty — powiedział — Stare urządzenie co kilka godzin trzeba było rozkładać i otrzasać ramy z błota. Pracowało jedenastu ludzi, teraz pracuje jeden. Pan pomyśli, co by było z obsadą, gdyby nie modernizacja.

Właśnie! Co by było? I jak jest z zatrudnieniem.

Wpadłem do działu spraw osobowych. Szefowa chwyciła za słuchaw-

kę i do pani dyrektor, ponieważ bała się udzielać informacji.

No i bardzo dobrze. I tak wszystko wiem. Zatrudnionych jest, łącznie z sezonowymi, 590 osób, czyli że około dwustu robotników ciągle brakuje, mimo stałej akcji werbunkowej we wsiach województwa łódzkiego i poza jego granicami. Trzon załogi stanowią ludzie starsi, głównie właściciele niewielkich gospodarstw, związani z cukrownią przez wiele sezonów. Co roku stają przy tych samych urządzeniach, to już niemal fachowcy. Dzieci plantatorów też są dobrymi pracownikami.

Robota w sezonie nie łączy z zakładem. Jest przygodą, można przyjechać i odejść. Watahy miglanców, oboboków, cwaniaków przewijają się przez cukrownie. Najgorszy „kwiat” Ozorkowa.

Zabawa ważniejsza niż robota, można zapieć, dwie godziny wcześniej zejść ze stacji, a urządzenie za setki tysięcy złotych niech szlag trafi. Albo trzy dni bimbania, sorty mundurowe oraz inne utensylia pod pachę i wio! na bazy. Ostatnio trafił się dziki tramp, wędrujący od Gryfic do Lap, który po trzech dniach imputował podcięcie żył, żeby od cukrowni wydebić odszkodowanie.

Zakład konfekcyjny w Ozorkowie i łączyła kopalnia odciągnęły mężczyznę.

Irena Hargeheimer:

— Nie tylko te sprawy. Na stacjach pełna automatyzacja, potrzebna więc młoda kadra fachowców. Niedawno uciekli do Lap dwaj cukrownicy ze średnim wykształceniem, młodzi, ale z praktyką. Jak ludzi zatrzymać, co im zaoferować? Zakład modernizowano i poważnie rozbudowano. W planach rozbudowy powinno się znaleźć zaplecze socjalne, ale się nie znalazło. Nie mamy mieszkań. Jest tak, jak z tym utwardzeniem placów na punktach odbioru: są pieniądze i dokumentacja, nie ma wykonawcy. Właściwie to znaleźliby się murarze z okolicy, ale gdzie będą mieszkać! I kolo się zamyka.

Cieszy to, że około 50 proc. załogi stanowią ludzie mocno związani z cukrownią, a wśród nich tacy z dwudziesto- i trzydziestoletnim stażem, trafiają się też jubileaci pracujący u nas czterdzieści lat. Część pracowników stałych przechodzi na emeryturę i nadal zajmuje mieszkania. Nowych nie ma gdzie umieścić. Hotel stary, parterowy barak...

A koniunktura na cukier rośnie i tonę można sprzedać za tysiąc dolarów.

W Leśmierzu o tym wiedzą, mimo trudności zakład idzie pełną parą, dając 200 ton cukru na dobę; Wieluń, Dobrzelin, Ostrowy też nie odstają, toteż cukru będzie chyba pod dostatkiem.

Kiedy po raz pierwszy stanąłem z dyrektorem Rakowieckim w stacji wyparnej, nie mogłem znieść ostrego zapachu odparowywanego soku. Prześląkłem tym zapachem i nosilem go z sobą przez dwa dni. W „słodkiej fabryce” nie ma słodkiego życia...

RSZARD BINKOWSKI

CUKIER



Fot. Włodzimierz PARYS

4.

konie, wozy i buraki nie topią się w błocie. Ladowarki w ruchu, to przyspiesza robotę, nie męczy. Błoto w Kraskach i Młynowie. Fundusze są, ale nie ma kto założyć utwardzenia, czym nie należy się zbytnio przejmować, bo i tak brakuje materiałów budowlanych.

Kto ma ucho wrażliwe i chce je ciot-ciot zahartować, ten niech jedzie do punktu odbioru w Zdunach za Łęczycą, a usłyszysz świst batów, kwik koni, ciężkie mięsem rzucanie, gdzie Wersalem jest:

— Kto lichy, ten za śprychy, a kto pierdoła, ten za kolo! Hej, siup!

Pośród czarnej, rozrobionej kolami bryli, góra buraczana bieli się, wysmaganą deszczem i wiatrem. Obok wynajęty, trochę suchy plac, ale z wagi jedzie tam przez grzeźwiśko. Konie w błocie po pęciny, wozy po osie.

Drenowanie jest.

— Splecione, panie!

— Zarwało się, panie, rurki się

Dziesięciu kierowców PKS zrezygnowało z wolnej niedzieli.

Gatowacze cukrzyzy I, m. in. Józef Syniowski, Stanisław Oleczak, z powodu braku obsad pracowali i pracują po dwanaście godzin na dobę. Tak samo ci z brygady awaryjnej, turbiniści, ślusarze obchodowi, śrubownicy i robotnicy sezonowi, stojący do obsługi stacji.

Buraki zwoziło dziesięć wozów z przyczepami z I Oddziału PKS w Łodzi, ciągniki z kółek rolniczych, furmanki chłopskie, PKP — wąski tor i własna kolejka.

Konieczny był maksymalny wysiłek i sprawna organizacja pracy. Kiedy brakuje surowca, trzeba opłacać robotników sezonowych i płacić za węgiel, bo urządzenia muszą pracować.

W województwie łódzkim są cztery cukrownie: Leśmierz, Ostrowy, Do-

FILM

PETER BOGDANOVICH

Światowa krytyka filmowa jednogłośnie porównuje reżyserski start Petera Bogdanovicha, Amerykanina jugosłowiańskiego pochodzenia z debiutami, które w drugiej połowie lat pięćdziesiątych miały miejsce we Francji. Peter Bogdanovich, tak jak wówczas François Truffaut i Claude Chabrol, był krytykiem filmowym i tak jak oni stanął za kamerą. Bunt francuskich krytyków miał jednakże inne swe źródła niż te, które ujawnia dziś Bogdanovich. Tamci pragnęli zerwać z zastaną tradycją rodzimej kinematografii, ze zleniawionym „kinem papy”. Bogdanovich manifestuje swój szacunek i przywiązanie do amerykańskiej tradycji filmowej: „Poszukiwania i eksperymenty amerykańskich awangardzistów filmowych pozostawiają mnie obojętnym i zimnym. Kocham tradycję i chciałbym być jej kontynuatorem. Stanow-

cu” bliższy mi jest Orson Welles niż Jack Nicholson”. Dodajmy tu jednak, że reżyser i aktor w jednej osobie — Orson Welles reprezentuje tradycję najznakomitszą, przywołanie zaś nazwiska jednego z czołowych aktorów „zbuntowanego” kina amerykańskiego — Jacka Nicholsona („Pięć lat wycich utworów” i „Porozmawiamy o kobietach”) pozwala widzieć Petera Bogdanovicha w tym planie amerykańskiej kinematografii, który niejako „poza kadrem” pozostawia tradycję równie trwałą jak ta znakomita, tradycję komercyjnej wylegarni filmowych snów.

Te bliższe prezentacje Petera Bogdanovicha, którego pierwszy dopiero film mają okazję obejrzeć widzowie naszych kin, usprawiedliwiają najgłębsze przekonanie o tym, iż o twórcy tym mówić będziemy jeszcze wielokrotnie. O jego „Papierowym księży-

cu” czy „Daisy Miller” pisze z zachwytem światowa krytyka, można jej słowom wierzyć, gdy ogląda się zrealizowany w 1971 roku „OSTATNI SEANS FILMOWY”.

Pierwsze minuty filmu zaskakują, wydaje się bowiem, że oglądamy film sprzed dwudziestu lat. Przywykliśmy do tego, iż współczesnym dzisiejszego amerykańskiego filmu jest barwa, toteż czarno-biały film Bogdanovicha i realia lat pięćdziesiątych pojawiające się już w pierwszych ujęciach filmu — wygląd miasteczka, stroje, muzyka, każą myśleć o spotkaniu ze starym kinem. Mierzenie tymi kategoriami związków Petera Bogdanovicha z tradycją byłoby jednak zabawną pomyłką. Wybór czarno-białej taśmy był decyzją twórczą służącą idei i klimatowi filmu. Wybór czasu akcji i jego realiów, sądząc z przesłania filmu, nie był jednakże mówieniem o czasie przeszłym.

Życie w pokazanym miasteczku, gdzieś w Teksasie, niewiele się zapewne zmieniło. Jeśli tak, to w zewnętrznych jego przejawach, w nowych modelach samochodów, wystroju baru, urządzeniu domów, w których znalazły się telewizory i... w zamknięciu jedynego w miasteczku kina. Tytułowy ostatni seans filmowy wydaje się w filmie Bogdanovicha zamykać jakiś okres, okres nadziei i marzeń, które towarzyszą młodzieńczemu wiekowi. I choć w filmie marzenia te i ich klęska związane są z życiem jego bohaterów, ich perspektywa wydaje się szersza. Bogdanovich żegna w swym filmie pewien młodzieńczy okres cywilizacji XX wieku, był nią między innymi czas kina. Epoka telewizji uczyni ludzi jeszcze bardziej samotnymi, bardziej bezwolnymi wobec czynników, determinujących duchową jałowość ich egzystencji.

Ten watek „Ostatniego seansu filmowego”, osadzony niejako w drugim planie problematyki filmu Bogdanovicha, stanowi jednak jej niezwykle istotne dopełnienie. On też w głównej mierze ujawnia postawę twórcy, który wierzy w posłannictwo sztuki, którą uprawia i widząc jej zagrożenie, staje w obronie jej wartości. Czyni to przede wszystkim poprzez własną propozycję kina wysokich wartości moral-

nych, kina apelującego do uczuć wyższych. „Ostatni seans filmowy”, niósący obraz utraty tej sfery wartości i tych właśnie uczuć ma skłaniać do refleksji, wyrwać ze stanu apatycznej zgody na uczestnictwo w świecie obumierających wartości moralnych.

Film Bogdanovicha, pozornie bardzo prosty w realizacji, daleki gwałtowności współczesnych mu prób atakowania widza, w istocie, jest dziełem o niezwyklej i bardzo nowoczesnej formie artystycznej, w której realizmowi obrazu obyczajowego towarzyszy zupełnie znakomita penetracja psychologiczna, a niedopowiedzenie staje się czynnikiem zmuszającym widza do aktywnego uczestnictwa w dyskusje moralnym, będącym główną ideą tego filmu.

Związki z tradycją, ujawnione głównie w wierze w wychowawczą funkcję sztuki, spletają się w „Ostatnim seansie filmowym” z pełną świadomością kina nowoczesnego, tak w formie wyrazu artystycznego jak i sposobu oddziaływania na widza współczesnego, który nie lubi być poczynany wprost, lecz zmuszany przez sztukę samą do aktywności przeżycia i interpretacji.

EWA NURCZYŃSKA

Być może nigdy nie przyszłoby mi to do głowy, aby zająć się publicystyką w telewizji, ale mnie o to poproszono. Siedziałem więc cały październik przed telewizorem, przełączając kanały z I programu na drugi rezygnując z ciekawszych pozycji na rzecz tych, których oglądanie było moim obowiązkiem. A skoro już to zrobiłem, skoro zreferowałem autorom programów publicystycznych Telewizji Polskiej to wszystko, co o publicystyce telewizyjnej myślę, to nie widzę powodu, aby o tym nie napisać, tym bardziej, że z publicystyką u nas nie najlepiej i to nie tylko w telewizji.

Wiele do tej pory mówiło się o kryzysie reportażu. Wydaje mi się, że nadszedł czas, aby powiedzieć sobie o kłopotach z jakimi boryka się publicystyka. W naszym dziennikarstwie dokonano się dość dokładne wymieszanie gatunków i każdy z nas szczerą ręką czerpie elementy innych gatunków, wzbogacając nimi swoje prace. Nie jest to kłopot tylko nasz, bowiem również w literaturze radzieckiej można spotkać na przykład termin „publicystyki informacyjnej” różniący się od „publicystyki analitycznej” innymi sposobami wyrażenia ogólnych prawideł publicystyki.

„Nieprawda — pisze J. P. Prochorow w szkicu „Partynność informacji” opublikowanym przez „Książkę i Wiedzę” w zbiorze pt. „Informacja — propagandy — opinia publiczna” — że informacja daje tylko przedstawienie faktów (co, gdzie, kiedy) — ona tak czy inaczej komentuje fakty, chociaż zwykle w „ukryty” sposób. Jeśli tak jest, to nie ma żadnych podstaw, by mówić o informacji i publicystyce jako różnych typach twórczości. Informacja jest nie szeregowym typem, lecz rodzajem publicystyki, jest rodzajem publicystyki informacyjnej. Różnica więc między informacyjnymi gatunkami publicystyki a gatunkami analityczno-publicystycznymi, jak wykazuje ich badanie, tkwi wyłącznie w tym, że ogólna dla całej publicystyki prawidłowość przejawia się specyficznym w każdym z jej rodzajów”.

Doskonale rozumiem, że obok kłopotów, z jakimi borykają się publicyści prasy i radia, a które są wspólne i dla publicystów z telewizji i które polegają na ograniczonej dostępcy do wielu faktów, telewizja boryka się jeszcze z kłopotami formalnymi. Publicysta zobowiązany jest do własnej interpretacji faktów, do wykrycia wynikających z nich prawidłowości i przedstawienia kierunku rozwoju interpretowanych zjawisk społecznych, gospodarczych czy kulturalnych. Ale publicysta ma niejednokrotnie kłopot z dotarciem do tych faktów, jako że zdarza się, iż ich twórcy wolą nie ujawniać przed opinią społeczną zjawisk dla nich niekorzystnych, nie pomni, że publicysta pragnie je skomentować w interesie społecznym.

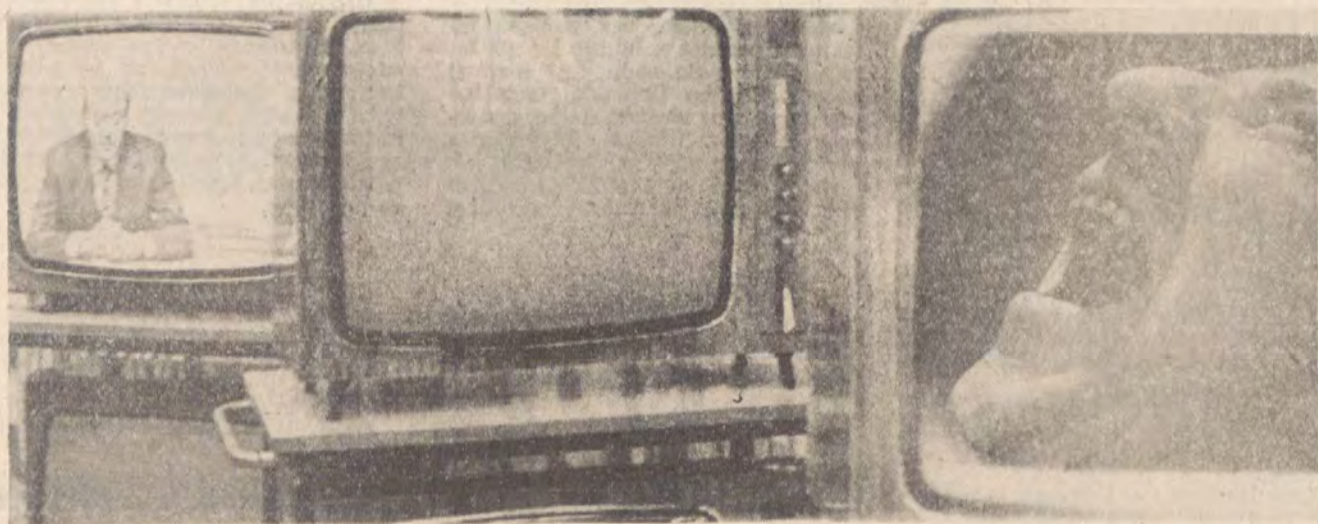
Telewizja jest w ciągłej pogoni za widowiskowością. Jest to zdrowa tendencja, ale rodząca też nieporozumienia. Telewizjowicze — sądząc z listów — wysoko oceniają audycję Ośrodka TV Wrocław — „Postaw się a nie zastaw”. Jest to typowy przykład podawania treści publicystycznych w formie rozrywkowej, widowiskowej. Gorzej jednak, kiedy twórcy telewizyjni na siłę pragną treści publicystyczne ubrać w formę widowiska. Przykładem takiego nieporozumienia może być audycja Ośrodka TV Szczecin — „Drugi oddech Luxpolu”.

Audycja ta — emitowana zresztą w tym samym czasie, kiedy w programie I TV nadawano „Kobry” — miała przedstawić osiągnięcia „Luxpolu” ze Stargardu Szczecińskiego. Wprowadzono więc do hali fabrycznej chóry dziecięce, zespół młodzieżowy, który odtańczył miłą melodię, ale trzonem programu była rozmowa w dyrektorskim gabinecie przedstawicieli kierownictwa fabryki. Rzeczywistość „Luxpolu” sprezentowano w tonie lukrowanym — „wszystko gra”. A przecież rzeczywistość przemysłu lekkiego, bo do tego przemysłu należy „Luxpol”, nie jest wcale różowa. Wstępują kłopoty z kooperacją, gromadzą się zapasy wyrobów gotowych i półproduktów, nie zawsze zadowalające są dostawy prądu. Przemysł ten intensywnie modernizuje się. Interesujące byłoby, jak w świetle tych kłopotów radzi sobie „Luxpol”, jak wygląda jego współpraca z handlem, jak przezwycięża występujące różnorodne trudności, aby osiągać dobre wyniki. Ale tego autorzy audycji nie powiedzieli i nie pokazali.

Istotną słabością telewizyjnej publicystyki są rozmowy z bohaterami i uczestnikami programów. Na przykład w październikowej audycji Ewy Cendrowskiej „Dziecko w świecie dorosłych” reporter pyta młodzież w świetlicy: „Powiedzcie, co wy tu robicie?” Pytanie to może i miałooby sens, gdyby na ekranie nie było widać, co oni tam robią. W innej audycji emitowanej przez Ośrodek TV Poznań, bibliotekarka z Golinii odkrywa przed widzami epokową niemal rewelację: „Podejrzewam, że ludzie dobiegają książki według własnych upodobań”. Można byłoby dalej zniecać się nad rozmowami prowadzonymi przez reporterów telewizji, gdyby nie chodziło o coś więcej. Oglądając październikowe programy publicystyczne, doszedłem do wniosku, że telewizja ma poważne kłopoty z pokazywaniem ludzi. Nie są to kłopoty powszednie, bo w tymże miesiącu nadano interesujący program o stuńskiej gastronomii („Anatomia sukcesu”), w którym znaleziono atrakcyjną i interesującą formę pokazania ludzi, ich poglądów i opinii. Trochę to sposobem ekspozycji przypominało „Bank miast”, był „oskarżyciel” i był „obronca” i ta wartość osłabiała nieco formalną wartość audycji, ale mimo tego „Anatomia sukcesu” interesowała widza, gdyż w sposób ciekawy traktowała o sprawach prozaicznych — żywienie zbiorowe, gastronomia — a przecież bliższych nam wszystkim.

Można byłoby tu powołać się na ostatnie audycje „Pegaza”, gdzie dobór problemów i ludzi jest tak interesujący, że chociaż rozmówcy siedzą w skórzanych fotelach i na ekranie pozornie nic się nie dzieje, raczej rozmówców, ich argumenty trzymają widza w stanie ciągłego zainteresowania, a bywa i napięcia.

„CO WY TU ROBICIE?”



Fot: W. Parys

Myślę, że są w naszym życiu — i to w każdej dziedzinie — takie sprawy, które żywo wszystkich obchodzą i że telewizjowicze chętnie posłuchaliby rozmów na interesujące ich problemy. Pod warunkiem jednakże, że rozmówcy będą istotnie mieli coś do powiedzenia, że ich dobór będzie się dokonywał na zasadzie racji, poglądów i argumentów, a nie na zasadzie przypadku. Poza tym wydaje mi się, że w telewizji powinna również obowiązywać powszechnie stosowana w dziennikarstwie zasada, że to, co ukazuje się na łamach prasy czy na antenie radia stanowi tylko część materiału, jaki zgromadził dziennikarz. Obowiązująca go powinna zasada selekcji i po to, aby artykuł czy audycja były interesujące i trafiające w sedno sprawy, musi on dokonać wielkiej pracy gromadzenia materiału, z którego później „montuje” ostateczny kształt, jaki ma zamiar sprezentować czytelnikowi czy słuchaczowi. Oglądając niektóre programy telewizyjne odnosi się wrażenie, że dziennikarz nie miał albo czasu, albo innych możliwości dla dokonania montażu i pokazał wszystko, co był zgromadził.

Innym mankamentem telewizyjnej publicystyki — a nie wolna od niej bywa i publicystyka prasowa — jest wszytkoizm. Próba powiedzenia wszystkiego i pokazania wszystkiego o danym problemie osłabia analizę. Podobnie jak próba zbyt dokładnego wyważenia racji, wszystkich za i przeciw osłabia ostrość publicystyki. Jest to w większości przypadków „publicystyka informacyjna” a nie „publicystyka analityczna”. A przecież zadaniem publicystyki jest nie tylko opisywać świat, ale też wskazywać kierunki i sposoby jego zmieniania.

Wszytkoizm daje o sobie znać zarówno w formie jak i w treści publicystycznych audycji. W październiku 1974 roku — w okresie udziału Łodzi i województwa łódzkiego w warszawskiej „Panoramie Trzydziestolecia” — Ośrodek TV Łódź nadał audycję w programie II — „Trybuna

osiedla”. Audycja ta, podobnie jak emitowana przez OTV Łódź „Druga młodość miasta”, spotkała się z pozytywną oceną Naczelnej Redakcji Publicystyki TVP. Nie zwalnia to jednak od krytycznej oceny „Trybuna osiedla”. Wydaje się, że grzechem tej audycji był wszytkoizm zarówno w formie jak i w treści. Publicyści telewizyjni w poszukiwaniu widowiskowości dla swoich audycji bardzo często sięgają po środki należące do innych gatunków. Łódzcy realizatorzy — podobnie jak szczecińscy w przypadku „Drugiego oddechu Luxpolu”, ale ze znacznie lepszym rezultatem — sięgnęli po wszystko, co mogłoby uatrakcyjnić ich audycję, starając się pokazać możliwie dokładny portret jednego z bałuckich osiedli. Tymczasem głównym problemem audycji był udział mieszkańców w zarządzaniu osiedlem. Na ekranie telewizyjnym mieli oni możliwość spotkania się z przedstawicielami władz Bałut i podyskutowania z nimi o tym wszystkim, co ich interesuje, co ich niepokoi. Ale chcąc pokazać portret dzielnicy realizatorzy zbyt wiele miejsca poświęcili scharakteryzowaniu osiedla, pokazaniu i chórów szkolnych, i świetlicy młodzieżowej, i niedostatków handlu, tak że zabrakło miejsca na samą rozmowę, na to, co w tej audycji mogłoby być najciekawsze, najwartościowsze. „Trybuna osiedla” mogła stać się przykładem dla innych miast Polski funkcjonowania samorządu mieszkańców, mogłaby stać się szkołą kształcenia postaw obywatelskich.

Wszytkoizm jest przeciwnikiem ideowego zaangażowania, osłabia ostrość spojrzenia, prowadzi w prostej drodze do montowania „obrazków z życia”, do ilustrowania życia. Prowadzi w każdej publicystyce do unikania konfliktów, a przecież już w starszych klasach szkoły średniej, na lekcjach propedeutyki filozofii uczą, że nie ma postępu bez walki sprzeczności. Niektórzy publicyści — i nie tylko telewizyjni — zapominają o tym i traktują swoich odbiorców jak ludzi niezdolnych do myślenia, jak ludzi,

którym trzeba wszystko powiedzieć o danym problemie, o danej sprawie.

Publicystyka powinna wynikać z zaangażowania w żywotne sprawy społeczeństwa, powinna być wynikiem zaangażowania w realizację programów partii. Powinna zatem wynikać z głębokich przesłanek ideowych. Dziennikarza socjalistycznego — pisał swego czasu M. I. Kalinin — powinna stale cechować troska o to, czy zdola on tak „zebrać fakty, zgromadzić je i nadać im taką formę, aby wyrażały one głęboką myśl”. Jednakże — jak dalej utrzymywał M. I. Kalinin — partyjność publicystyki powinna polegać nie na tym, że tę głęboką myśl wyraża się „nie w sensie tego, aby na końcu lub na początku artykułu znalazły się słowa „partyjność”, „socjalizm” itp., lecz żeby same fakty, sam skutek doprowadzający czytelnika do partyjności”. Ale, aby taki efekt osiągnąć trzeba głęboko wnikać w istotę problemu, poznać go dokładnie i zrozumieć prawa nim rządzące.

Można spotkać się z takimi poglądami, których autorzy skłonni są uznać publicystykę społeczną, gospodarczą, a nawet kulturalną za twórczość mało atrakcyjną, nikogo nie interesującą, a czasem wręcz nudną. Poglądy takie kształtują się głównie na przykładach bezkonfliktowych, płytkich audycji i artykułów. Wynikają z ucieczki przed kontrowersyjnością, przed pokazywaniem typowych dla współczesności konfliktów. Te konflikty istnieją i udawanie, że ich nie ma wyrządza więcej społecznej szkody niż gdyby pokazało się je w całej ich istocie i ukazało się sposoby czy sugestie ich rozwiązania. Nikt nie może wymagać od publicystyki recepty na sposoby rozwiązania spraw, które pokazuje, ale to nie zwalnia go z ideowego obowiązku ukazywania zjawisk i soraw w ich dialektycznym rozwoju, stawiania przed społeczeństwem pytań, ukazywania tego wszystkiego, co hamuje i przeszkadza w społecznym rozwoju, w naszym narodowym wysiłku.

SIEDZĄC W FOTELU

Z ADIUNKTEM ZAKŁADU SOCJOLOGII KULTURY UNIwersYTE-TU ŁÓDZKIEGO — DR ZBIGNIEWEM BOKRZAŃSKIM ROZMAWIA MARCIN RODAK.

— Moja propozycja jest bardzo prosta. Jest Pan telewidzem, czyta Pan gazety i czasopisma, ma Pan pewien pogląd na stan naszej publicystyki. Czy mógłby Pan, siedząc w fotelu, przed telewizorem, czy po jego wyłączeniu nad otwartym tygodnikiem lub gazetą, podzielić się swoimi refleksjami na temat stanu i poziomu naszej publicystyki? Podzielić się refleksjami jako jej odbiorca, a jednocześnie socjolog kultury?

— Mają to być refleksje snute z pozycji widza, z pozycji odbiorcy?

— Tak.

— No cóż, spróbujmy. Akurat tak się dobrze składa, że niedawno obejrzałem kilka audycji publicystycznych w telewizji i mogę podzielić się uwagami na ten temat. Tym bardziej że brałem udział w dyskusji nad tymi audycjami. W tej dyskusji postawiono publicystyce telewizyjnej — bo o niej głównie mówię — poważny zarzut braku kontrowersyjności. Gdybyśmy abstrahowali od konkretnych warunków historycznych, politycznych i społecznych, to taki zarzut można postawić. Ale mnie się wydaje, że w każdych warunkach istnieje zakres tematów i spraw, o których się nie mówi, których się nie porusza, gdyż mogłoby to wywołać niepotrzebny rezonans społeczny. Oczywiście w różnych warunkach będą to różne sprawy.

— Panu chodzi o tzw. sprawy draż-

liwe. Ktoś kiedyś powiedział dowcipnie, że nie ma pytań kłopotliwych, są tylko kłopotliwe odpowiedzi. Moim zdaniem rzecz polega nie na tym, że w każdym społeczeństwie są sprawy, o których lepiej nie mówić, a tylko na tym, jak mówić, jak pokazywać te wszystkie sprawy, które interesują Polaków w 1974 roku? I jeśli naszej publicystyce — a przecież nie tylko telewizyjnej — stawia się zarzut, że jest niekontrowersyjna, to przede wszystkim dlatego, że nie pokazuje aktualnych spraw w sposób kontrowersyjny, że zapomina o starej prawdzie, iż „każdy medal ma dwie strony”.

— Tutaj muszę dopuścić do głosu socjologa i jako socjolog przypomnieć panu, że żyjemy w określonych warunkach i nasz odbiorca telewizyjny jest uwarunkowany przez określone tradycje. Przypomnę tu książkę Krzysztofa Teodora Topolitz „Mieszkańcy masowej wyobraźni”, gdzie autor mówi o „szacowności” naszej masowej widowni, a pamięć o tym każe prezydentowi telewizji nawet zapowiadać program na dzień następnego niezwykle wytwornej formie. Na szczęście ostatnio odchodzi się od tej formy, bo zamiast całej wypowiedzi mamy plansze, ale i tak spiker czy spikerki celebrycy choćby tylko te krótkie omówienia niektórych punktów programu.

To oczywiście drobiazg, ale jakże

nieziemnie charakterystyczny. Krzysztof T. Topolitz, wspomina w swojej książce o setkach listów od widowni telewizyjnej, kiedy przed kamerami ukazał się aktor komedii i przez cały czas trzymał rękę w kieszeni. Pod presją tradycyjnych nawyków widowni dokonuje się proces sakralizacji telewizji. I ten proces ma niewątpliwą wpływ na telewizyjną publicystykę.

— Czy jest to tylko wpływ tradycji?

— Oczywiście, że nie tylko. Trzeba przecież pamiętać, że nasze społeczeństwo przechodzi gwałtowny proces awansu. Auditorium Telewizji Polskiej składa się w przeważającej mierze z ludzi, którzy przeszli lub przechodzą ten proces i nie mają ugruntowanego statusu społecznego. Dlatego też widownia nasza z trudnością godzi się na sytuację, w której będzie się ją traktowało w sposób poufny, w sposób żartobliwy. Reakcja na taki sposób będą protesty, a to rodzi w telewizji dążenia do sakralizacji.

— A jakie to ma konsekwencje dla publicystyki?

— Publicystyka po prostu unika wielu tematów, które mogłyby urazić odbiorcę, naruszyć jego niepewny status społeczny, wywołać zamieszanie w jego świadomości. Publicystyka jest również pod naporem widowni, która domaga się sztywnego traktowania, sakralizacji, niemal „baroku”, a może nawet „stylistki rokokowej”.

— Czy sądzi Pan, że jest to u publicystów proces świadomy?

— Sądzę, że publicyści mniej lub bardziej świadomie zdają sobie sprawę z tego, co u nas „nie uchodzi” i dobierają taką formę i stylizację, aby tylko nie urazić odbiorcy. Jaskra-

wo widać to we wszystkich rozmowach prowadzonych przed kamerami TV czy mikrofonami Polskiego Radia, gdzie przyjmuje się sakralizowane, pełne namaszczenia stanowisko, a to przecież utrudnia porozumienie.

— Myślę, że tutaj pewną rolę odgrywa tradycja jeszcze czasów szlacheckich, z której wywodzi się nasza forma wzajemnego zwracania: „pan”, a której nie spotkamy w wielu krajach Europy, gdzie ludzie zwracają się do siebie przez „ty” lub „wy”. Tradycja powoduje po części, że rozmówcę traktuje się jak „wielce szacowną osobę, która zechciała poświęcić część swego cennego czasu na przekazanie telewidzom kilku cennych obserwacji i informacji”, a nie jak partnera w rzeczowej, merytorycznej dyskusji.

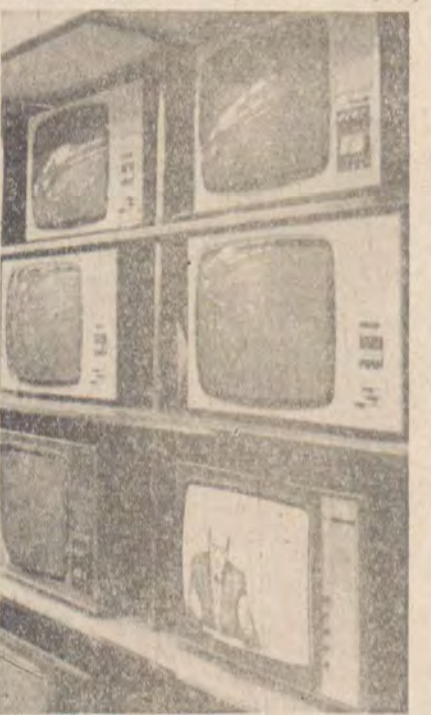
— Czasem ten, który pyta nie czuje się partnerem dla tego, kogo przyszło mu pytać.

— To pan powiedział, nie ja. Nie chciałbym być jednak źle zrozumianym. Nie namawiam do agresywności przed kamerami telewizyjnymi czy mikrofonami radiowymi, ani — broń boże — do chamstwa. Byłbym po prostu szczęśliwy, gdybym na ekranie telewizyjnym mógł częściej widzieć tak interesujące dyskusje, jakie można na przykład obejrzeć w „Pegazie”.

— Ale też w skórzanych fotelach „Pegaza” zasiadają częstokroć godni siebie partnerzy, polemicy wysokiej klasy, antagoniści, różniący się poglądami i stanowiskami.

— To jest też ważne, ale myślę, że w ocenie naszej telewizyjnej publicystyki popełniamy często dość istotną pomyłkę. Otóż istnieje przekonanie, że nowy środek przekazu powinien wprowadzać do życia również

nowe treści, że ten proces dokonuje się niejako automatycznie. Telewizja jest wprowadzie związana z drugą połową XX wieku, a więc jest na wskroś nowoczesnym środkiem przekazu, ale to jej wcale nie przeszkadza, że może wprowadzać do życia i popularyzować również treści anachroniczne. Dowodzi tego choćby przykład Japonii, gdzie nastąpiła doskonała symbioza najnowocześniejszej



Fot: W. Parys

TELEWIZJA - FILM

III Ogólnopolskie Sympozjum Filmu Naukowego i III Festiwal Filmów Dydaktycznych przebiegało w atmosferze frustracji i ogólnego zniechęcenia. Odbywająca się co dwa lata impreza miast nabierać wigoru i rozmachu, a także wiary w coraz lepszą przyszłość wiednie w oczach, a głosy grona szlachetnych idealistów, którzy próbują animować audiowizję w polskiej oświacie, w tym roku jako żywo przypominały „wołanie na puszczy”. Objaw paradoksalny, albowiem wydawałoby się, że w eksplozji oświatowej, którą przeżywamy, dziękując Bogu, że już nie musimy chodzić do szkoły, nowoczesne techniki nauczania są sprawą o podstawowym znaczeniu.

Tymczasem tak nie jest — i ten stan staje się zatrważający. Obserwując obrady sympozjum, przysłuchując się rozmowom kulturalnym, rozmawiając z organizatorami dochodziłem do zdumiewającego zbudzenia, że oto spotkali się kilkanaście lat temu i chodzą nam o przekonanie kompetentnych i oficjalnych czynników o doniosłości naszej sprawy. III Sympozjum i Festiwal Filmu Dydaktycznego odbywały się, mimo doskonałej organizacji, w niepokojącej ciszy społecznej. Było spotkanie ludzi, którzy doskonale wiedzą czego chcą i jak bardzo jest to potrzebne społeczeństwu, ale załatwienie tego już nie od nich zależy. Ludzie ci przypominali awangardystów, których dążenia, postulaty i pretensje zbywa się lekceważącym gestem, a ich samych traktuje jak niepoważnych natrętów. W tej sytuacji — i to jest wrażenie generalne wyrażone w sympozjum — szerokie wprowadzenie środków audiowizualnych do naszego szkolnictwa wszystkich szczebli zaczyna tracić jakikolwiek realne kontury i przemienia się w szlachetną utopię.

Próbuję nieudolnie oddać tutaj rozpaczy ton, który zdominował debaty naukowców, filmowców, działaczy, nauczycieli, dziennikarzy i innych pasjonatów tyluż przekonanych o ważności swej misji, co bezsilnych. Obawiam się, że ci ludzie zaczynają opuszczać ręce po trzecim spotkaniu, że przyswójcie „do trzech razy sztuka” może się fatalnie sprawdzić.

Obowiązek nakazuje wymienić choćby zakresy tematyczne debat sekcyjnych i ich ukierunkowanie metodyczne. Obradowano w ramach następujących sekcji: tematycznych: humanistycznej, medycy-biologicznej, rolniczo-przemysłowej i technicznej oraz w sekcjach ogólnokształcących i zawodowych, szkołach wyższych i nauczania przez telewizję. Już ten pobieżny rzut oka na rozpiętość zainteresowań i naukową penetrację dowodzi, że sympozjum daje obraz kompletny problemu i dotyczy nie tylko audiowizji w dydaktyce, ale również w procesach badawczych.

Jest rzeczą oczywistą, że środki audiowizualne w nauce i dydaktyce stanowią dwa aspekty tej samej problematyki. I jest oczywiste, że kamera filmowa, aparat fotograficzny, magnetofon, rzutnik, magnetowidz czy system telewizji zamkniętej winny stać się naturalnymi instrumentami w pracy nie tylko biologa, fizyka czy medyka, ale także historyka, językoznawcy, socjologa czy etnografa. Ale rzeczywistość przeczy oczywistości. W naukach ścisłych i technicznych audiowizualne narzędzia zdobyły już sobie w miarę pełne prawo obywatelstwa, stały się warunkiem sine qua non efektywności naukowego warsztatu. Gorzej z humanistyką, gdzie chyba atawistyczna niechęć do techniki powoduje, że humanista nadal jednym zafiorem darzy tradycyjne metody dociekań i uprzywilejo-

techniki z tradycyjną kulturą. Myślę, że i u nas telewizja — jako nowoczesny środek przekazu rozpowszechnia i przenosi pewne relikty przeszłości, utrwalone przez tradycję stereotypy zachowań, nawyki obyczajowe i to w znacznej mierze krepuje publiczność i publicystykę. Proszę jednak tego nie rozumieć tak, iż ja uważam, że u nas nie się nie zmieniło, że nie kształtują się nowe nawyki. Ale nowoczesnego środka przekazu nie można wyodrębnić z tradycji kulturalnej i społecznej.

— Utrzymuje Pan, że to głównie odbiorca, ulegając tradycyjnym nawykom i sposobom myślenia, wywiera wpływ na publicystykę — głównie telewizyjną. A jak Pan wobec tego wytłumaczy niezwykłe u nas powodzenie i popularność felietonu? Rozumiem, że felieton ukazuje się przede wszystkim na łamach czasopism, a nie felietony publikują również gazety codzienne. Jest to forma publicystyki i trudno mi uwierzyć, że to nie ci sami widzowie, którzy odwracają się od publicystyki w pismach i w telewizji, chętnie sięgają po felieton.

— Ale jak moje czytelnice doświadczenia pouczą, felietony są najczęściej poświęcone czerstwym bulkom lub odpadającym obcasom.

— No, nie tylko. Są też felietony podejmujące pewne problemy natury ogólnej.

— Ogólnej — to prawda, ale są to też rozważania uogólniające konkretnie do nikogo nie adresowane. Bardziej rzadko kiedy ktoś oburza się na felietonistę, chyba, że ten go wytknie po imieniu.

— Telewizja też korzysta z tej formy, też emituje felietony i choć mają

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

AUDIOWIZUALNA UTOPIA

wuje pisemne źródła wiedzy o ludzkim świecie.

Właśnie obrady sekcji humanistycznej tegorocznego sympozjum koncentrowały się wokół metodologicznych problemów korzystania z dokumentu filmowego jako źródła historii. Wygłoszone referaty (doc. dr hab. Zbigniewa Gawraka i dr Stanisława Ozimka) ujawniły ignorancję historyków wobec informacyjnych wartości źródeł filmowych. Korzystanie z filmu jako źródła historii wymaga bowiem wielu zabiegów weryfikacyjnych, a następnie starannej i metodycznej archiwizacji dokumentalnych taśm, jak również stworzenia odpowiednich warunków warsztatowych w sensie technicznym. Istnieje pałaca potrzeba stworzenia specjalistycznych filmotek, które systematycznie będą gromadziły filmy naukowe wraz z dokumentacją naukową, udostępniały je historykom, a także inspirowały filmowy zapis współczesności dla potrzeb przyszłej historiografii. Dopiero przekonanie historyków o unikalnych wartościach poznawczych źródeł filmowych może spowodować włączenie dokumentu filmowego w proces dydaktyczny. Metodologiczna obojętność historyków wobec zapisów audiowizualnych jest fragmentem szerszej sytuacji w humanistyce. Rozmiary szkół poznawczych, jakie powoduje tego typu konserwyzm, może ocenić tylko przyszłość, gdyż obecnie bezcenne dokumenty, częstokroć o zupełnie nieznanym wartościach bezpowrotnie niszczone są pozabawione naukowej opieki.

Osobliwym paradoksem III Festiwalu był brak filmów popularnonaukowych zrealizowanych przez polską telewizję, która ich na festiwal po prostu nie przysłała. Tymczasem wiadomo z telewizyjnego ekranu, że starania edukacyjne naszej TV są świetnie zorganizowane i stoją na wysokim poziomie merytorycznym. Mówił o nich na obradach sekcji metody nauczania przez telewizję kierownik Redakcji Programów Szkolnych TVP — Eugeniusz Paszkiewicz. Jego referat był głosem praktyka i sprowadzał, chwilami może zbyt przesadnie, teoretyczne projekty pedagogów i dydaktyków na niewdzięczny ugor realiów. A zatem przede wszystkim o balak pewne miły techniczne, które krają w środowisku jako zbawienne panaceum na wszelkie kłopoty audiowizualnej natury. Do nich należy w pierwszym rzędzie mit magnetowidu, który istotnie jest sprzętem o nieograniczonych możliwościach dydaktycznych, ale jego aktualny stan techniczny w wersji polskiej, niezwykle wysoki koszt oraz skomplikowana obsługa i konserwacja praktycznie wykreślają go z planów inwestycyjnych naszej oświaty w niedalekiej przyszłości. W bieżącej sytuacji należy, nie oglądając się na to, co być może kiedyś się spełni, wykorzystywać środki dostępne w sposób przemyślany i skuteczny. W myśl tej realistycznej reguły postępuje nasza TV, przy czym — co od razu należy mocno podkreślić — racjonalność i precyzja jej inicjatyw tylko w nikłym stopniu pokrywa się z ich skutecznością.

Dzieje się tak nie tylko dlatego, że nauczyciele nie są przygotowani do korzystania z pomocy telewizora i nadal holdują tradycyjnej metodyce werbalnej

i nie tylko dlatego, że częstokroć ogólny interes społeczny edukacji telewizyjnej humorystycznie przecina się z interesami partykularnym. I tak np. postarano się o idealną i kosztowną zarazem synchronizację lekcji telewizyjnych z godzinowym planem pracy szkół. Okazuje się jednak, że w niektórych gminach dyktaturę sprawuje PKS, która dowożą dzieci do szkół uzależnia terminarz lekcji od swojego rozkładu jazdy.

Ogólna niemożność celowej synchronizacji programu szkolnego z oświatowym programem telewizyjnym bierze się przede wszystkim z braku odpowiedniego zaplecza technicznego w polskich szkołach, w których miejscem dla telewizora jest zwykły jedynie świetlik lub gabinet dyrektora. Pod tym względem bije nas na głowę chociażby Kuba, gdzie nauczanie telewizyjne wprowadzono szerokim frontem do szkolnictwa i dlatego w każdej klasie kubańskiej szkoły znajdują się dwa telewizory — jeden do użytku, a drugi w rezerwie. Trudno myśleć o nowoczesności naszej oświaty, jeżeli nie pokona się tej koniecznej bariery inwestycyjnej.

W tym układzie ogromny wysiłek organizacyjny i merytoryczno-dydaktyczny idzie na marne, grzęźnie w społecznej próżni. Wystarczy obejrzeć choćby kilka emitowanych w godzinach rannych lekcji telewizyjnych, aby się przekonać o ich trudnych do przecenienia wartościach dydaktycznych, potwierdzonych zresztą specjalnymi badaniami nad ich efektywnością. Jest ona wyższa o 20—30 proc. w przypadku uczniów średnich w porównaniu z tradycyjnymi metodami nauczania.

Znacznie lepiej przedstawia się ten obszar telewizyjnej edukacji, który nie wymaga koordynacji ze szkołą, ale stanowi samodzielny instytucjonalny nauczający. Mowa o Nauczycielskim Uniwersytecie Radio- i Telewizyjnym i Telewizyjnym Technikum Rolniczym. Wszelknie te obejmują w sposób zorganizowany swoim zasięgiem 42 tys. (NURT) i 25 tys. (TR) słuchaczy.

Wnioski, które wynikają z obrad III Sympozjum Filmu Naukowego i Dydaktycznego nie sprzyjają optymistycznym wizjom. Przeczą hasłom postępu i nowoczesności w nauce i oświacie, którymi na co dzień szermujemy. Każą mówić o opóźnieniu cywilizacyjnym w niezwykle istotnej dziedzinie życia społecznego.

W tej pesymistycznej perspektywie kropka gorzkiej ironii była sesja naukowa zorganizowana na otwarcie sympozjum przez Zakład Wiedzy o Filmie i Telewizji Uniwersytetu Łódzkiego, a poświęcona 100-leciu filmu naukowego. W bieżącym roku mija bowiem setna rocznica zastosowania przez francuskiego astronoma Pierre'a Janssena tzw. rewolweru fotograficznego do obserwacji przejścia planety Wenus przez koło słoneczne. Był to pierwszy wypadek filmowej rejestracji zjawiska fizycznego, który otworzył dzieje filmu jako instrumentu poznania rzeczywistości. Ironia historii polega na tym, że konstruktorom aparatu Janssena był polski fizyk Adam Prażmowski...

one inny charakter, to przecieć są na ogół chętnie oglądane.

— Prosił mnie pan na początku, abym patrzył na publicystykę telewizyjną siedząc w fotelu i z pozycji odbiorcy snuł swoje refleksje. Będzie to akurat na temat, jak powiem kilka słów o atrakcyjności form stosowanych przez telewizję w audiowizualnych. Otóż mnie, jako widza, widać, wydaje się, że dla każdej audycji telewizyjnej decydujące są dwie, trzy pierwsze minuty. Jeśli autor potrafi je tak wykorzystać, że widz nie podniesie się z fotela i nie wyłączy telewizora, to wygrał, to zatrzymał widza na całą audycję. Na podstawie tego, co miałem okazję widzieć, nie zawsze te dwie, trzy minuty mają dla audycji pozycję strategiczną. Często są już z góry stracone przez to, że nie są atrakcyjnie zbudowane. Potem już audycje nie uratają ani piosenki, ani tańca, ani inne formalne łamańce.

— Podważa Pan przekonanie, że „piosenka jest dobra na wszystko”.

— Może ona i jest dobra, ale nie urataje audycji, jeśli autor w samej treści tego, co chce przekazać, nie znajdzie atrakcyjności, jeśli treść nie podkryje mu atrakcyjnej formy. Udało mi się widzieć niedawno taką audycję, w której realizatorzy w pierwszych minutach przygotowują się do wyjazdu. Biorą kamery, ładując sprzęt do nysy ruszają.

— W rozmowach, jakie prowadził, wysiadając z nysy, nie było przeciwnych racji, te rozmowy nie mogły zatrzymać uwagi widza, zainteresować go. Nie wiem, czy widział Pan „Panoramę” nadaną niedawno z Krakowa. Wydaje mi się, że tam właśnie w kilku krótkich odcinkach uda-

ło się powiedzieć o wielu sprawach Krakowa i krakowian więcej niż by się wydawało, że można w tym czasie powiedzieć. A udało się właśnie dlatego, że realizatorzy zetknęli z sobą raczej przeciwstawne.

— Widziałem tę audycję i zgadzam się z taką opinią. W wyższej uczelni, kiedy przychodzi nowy asystent wśród wielu spraw, o których mu się mówi, na pierwszym miejscu uczy się go, że do ćwiczeń ze studentami należy dobierać takie tematy, które można byłoby oświetlać przynajmniej z dwu punktów. Jest to najstarszy sposób uczenia ludzi samodzielności myślenia, dochodzenia do pewnych prawd i przemysłów.

— Publicystyka też pełni rolę społecznego dydaktyka.

— Oczywiście. Nie przeceniając zresztą tej roli, trzeba pamiętać, że publicystyka uczy społecznego i politycznego myślenia o wielu codziennych sprawach, uczy rozprawiania o tych sprawach. Nie ze wszystkim stykamy się sami, ale wszystkim powinno nas interesować i interesuje. O wszystkim też staramy się rozprawić. I kiedy patrzę na niektóre rozmowy w telewizji, widzę, że jest to powtórzenie sposobu mówienia z innej audycji. Ludzie wzorują się na tym, co widzą, co słyszą i co czytają. Publicyści powinni zatem pamiętać o tym, o ciążącej na nich odpowiedzialności za styl społecznego rozprawiania o społecznych sprawach Polaków.

— To bardzo trudny obowiązek.

— Trudny, ale wydaje mi się, że niezbędny, że on istnieje, czy nam się to podoba, czy nie.

Rozmawiał: MARCIN RODAK

PLASTYKA

ZAMIAST PODRĘCZNIKA

Ukaż się kolejny, piaty już numer, dwumiesięcznika „Sztuka”. Pismo to zastąpił skostniały do szczytu „Przełaz Artystyczny”, wydawanie którego było już nie tylko niepotrzebne, ale w wielu aspektach wręcz szkodliwe, destrukcyjne i dezinformujące. Kolejne numery „Sztuki” środowiskowo plastyczne i wszyscy różnorodnymi dziedzinami twórczości plastycznej zainteresowani przyjmowali — jak dotychczas — przychylnie i z zainteresowaniem.

W artykule oredakcyjnym w numerze pierwszym „Sztuki” mieliśmy okazję przeczytać, co następuje: „Z punktu widzenia programu „Sztuka” jest całkowicie nowym pismem. W sytuacji, kiedy w Polsce ogólnie dostępne były jedynie dwa pisma wyłącznie poświęcone plastyce współczesnej: „Projekt” i „Przełaz Artystyczny”, przy czym pierwsze z nich główną swą uwagę skupiło na zagadnieniach użytkowych dyscyplin plastyki, ograniczenia „Przełazu Artystycznego” pozabawily wiele ważnych zjawisk współczesnej sztuki możliwości publicznego komentarza i głębszej analizy. Poza obrębem uwagi pisma pozostawały pozawarszawskie ośrodki artystyczne. Sprawozdawczy charakter większości materiałów, rezygnacja z ambicji teoretycznych uniemożliwiała wypracowanie pojęć niezbędnych dla lepszego zrozumienia postaw, dążeń i prac współczesnych artystów, utrudniały krystalizację stanowisk estetycznych. Warto jednak zauważyć, że tak jak prawem i obowiązkiem twórców jest wybór programu artystycznego — tak prawem i obowiązkiem krytyki jest wybór oparty na staraniach o rzetelne zrozumienie i wyjaśnienie zjawisk sztuki. Ryzyko publicznego manifestacji dzieła domaga się od krytyki podjęcia trudu i niebezpieczeństwa publicznej oceny. Jeżeli ocena nie ma mieć charakteru arbitralnego — musi być poprzedzona gruntowniejszą pracą teoretyczną. Odwykliśmy od niej. W myśleniu o sztuce kierujemy się zbyt często regulami mody intelektualnej bądź mocno zakorzenionymi stereotypami. Zmarnowaliśmy wiele czasu, zaprzepaściliśmy do tej pory olbrzymią szansę, jaką dawał nam dorobek teoretyczny znakomych polskich artystów — teoretyków, estetyków, i filozofów, do dziś w kraju niedostatecznie znanych, rozumianych i ocenianych. Dorobek niektórych nam współczesnych, przedstawicieli sztuki, filozofów, przedstawicieli marksistowskiej myśli daje nam również olbrzymią szansę osiągnięcia wysokiego poziomu refleksji nad sztuką i uzyskania zdecydowanej przewagi nad ośrodkami myśli estetycznej, mającymi niezastąpiony rozgłos. Wymaga to rzetelnego, poważnego samodzielnego wysiłku wielu. Bez tego jednak nie osiągniemy samodzielnego także i na polu pracy artystycznej. Redakcja „Sztuki” zamierza podjąć rzetel-

na pracę w tym kierunku. Wiele jest do zrobienia. Trzeba przede wszystkim zbudować warsztat pracy dla krytyków sztuki. I trzeba odbudować zaufanie do krytyki artystycznej u ludzi sztuki i wśród odbiorców”.

Powyżej cytowany program jest interesujący i ambitny, a nie trzeba dodawać, że na rodzimym niwie nader pożądany. Tak się jednak dzieje, że często między zamysłem a realizacją powstają dość istotne rozbieżności. Przykładem takiego stanu rzeczy jest ostatni, piaty właśnie numer „Sztuki”, poświęcony w przeważającej części problemom grafiki współczesnej. Znalazł się w nim obok materiałów istotnie ciekawych, rzeczowych, skłaniających do dyskusji i refleksji nad tą dziedziną sztuki również pozycje budzące poważne zastrzeżenia. Są to mianowicie obszernie wykładane na tematy warsztatowe poszczególnej technik graficznych. I tak Hans D. Voss opowiada o siodraku, czyli popularnej dziś serigrafii, zaś Jerzy Wagner nader obszernie rozwiódł się o różnych technikach graficznych, jak linoryt, gipsoryt, miedzioryt, suchoryt, innymi słowy o drukach wypukłych, wklęsłych, płaskich i innych.

Są to oczywiście sprawy ważne i interesujące, ale, że tak powiem — akademickie, szkolne. „Sztuka” nie jest chyba po to, aby zastępować podręczniki technologii. To, że brak jest u nas stałych podręczników nie upoważnia tego rodzaju pisma do ich zastępowania (choćby należało dońc szczytne intencje redakcji). Nie widzę powodu, dla którego to pismo ma wyrećcać kogós tam, jakies tam instytucje czy osoby od przygotowania i wydawania druków obszernych podręczników technologii z poszczególnych dziedzin sztuki. Jedzie mi to na odległość „polskim chałupnictwem”. Brak u nas odpowiednich podręczników technologii jest — nazywając rzecz łagodnie — autentycznym skandalem i to chyba bez precedensu, tym bardziej, że funkcjonują u nas aktywnie średnie i wyższe szkoły artystyczne i że na dodatek posiadamy ponad osiem tysięcy artystów — profesjonalistów.

Nie zwracałbym może uwagi na ten (wydawać by się mogło — ale to złudzenie) fakt, gdybyśmy mieli pism takich jak „Sztuka”, pięćdziesiąt. Niestety, tak się jakoś składa, że mamy jedno i należałoby gospodarzyć nim mądrze i oszczędnie. Oczywiście, że istnieje potrzeba informowania twórców o najnowszych twórczych artystycznych i najnowszych technikach, ale pisanie o tym, jak się „robi” drewnoryt czy gipsoryt, to chyba jednak gruba przesada.

ANDRZEJ GRUN

TEATR

EPITAFIUM DLA BALETU KLASYCZNEGO

„Sztuka tańca, swiadczy klasycyzmu, jest bardziej bolesna od sztuki mimu. Albowiem tańca na scenie tańczy ponad swoją potrzebę” — pisał Etienne Decroux, wielki aktor i mim francuski. Conrad Drzewiecki doskonale to rozumie, dlatego powołał do życia „Polski Teatr Tańca”, który nazwał przewrotnie „Baletem Poznańskim”.

Głównym elementem sztuki baletowej jest taniec (zakomponowany ruch), natomiast Conrad Drzewiecki „estetrizował” balet, zrównując tym samym trzy składowe jego czynniki: ruch, muzykę i scenografię. Stały się one równoważącymi komponentami spektaklu. Stąd owa przewrotność zastawienia „Baletu” i „Teatru Tańca”. Etienne Decroux, zasłyniony słowami Gordonem Craigiem napisał: „Prawa teatru należy dopiero odkryć. Sprawa nagląca jest ich odkrycie, nie zaś „próby” zależne od „widzimsiej” twórcy”. Czy Conrad Drzewiecki odkrył prawa sztuki baletowej? W sensie uzyskania nowych środków wyrazu na pewno tak. Umieciał bowiem taniec na pograniczu pantomimy i aktorstwa dramatycznego, umieciał twórczo wykorzystać zsynetyzowane ekwivalenty znakowe tych dwóch dziedzin teatru. Dramatyzm akcji spektaklu jest u Conrada Drzewieckiego komponowany nie tylko poprzez taniec, ale przede wszystkim za pomocą zrytualizowanego gestu ściśle powiązanego z wewnętrznym komponowaniem roli. Muzyka często jest współtworzona ze scenariuszem gestu i tańca. Znakiem tym przykładał może być „Epitafium dla Don Juana”. Zastawiono tutaj collage muzyczny opracowany przez samego Conrada Drzewieckiego i inżyniera Eugeniusza Rudnika. Na tej samej zasadzie była tworzona scenografia Władysława Węgury, korzystająca, jak choreografia i muzyka, z atmosfery XVII-wiecznej hiszpańskiej sztuki.

Widzimy, że jest on jednocześnie i aktorem, i mimem, i tancerzem. Zastawiony się zatem na czym polega owa synteza indywidualnych środków wyrazu.

„W przedstawieniu teatralnym wszystko jest znakiem, (...). Teatr posługuje się zarówno słowem, jak i pozajęzykowymi znakami znaczeniowymi”.

Aktor posługuje się słowem, tancerz — oraz znakami czasowo-przeszternymi jak mimika, gest i ruch sceniczny. Mim i tancerz operują tylko sferą znaków czasowo-przeszternych, wobec tego poprzez nie muszą wyrazić o wiele więcej niż aktor dramatyczny. U Conrada Drzewieckiego mimika jest bogatsza niż w baletie klasycznym, wyraża stany uczulowe tancerza, w niewielkim tylko stopniu operuje „maską”. Podobnie gest i ruch sceniczny mimo, iż związany z muzyką, nie jest jej podporządkowany.

Głównym elementem bywa w teatrze Conrada Drzewieckiego dramatyzm postaci. On właśnie rzadzi aktorem, formuje go, na nim buduje aktor swoją koncepcję roli. Postać bowiem jest strukturą i ma charakter syntetyczny i symboliczny. Postać dramatu są zróżnicowane nie tyle przez cechy charakteru ile przez modus struktury. „Modus ten wiąże się najsilniej z funkcją, jaką dla postaci przemawia autor w dramacie”. Conrad Drzewiecki utożsamia się z autorem, bowiem to on buduje wraz z aktorami rolę dramatu. To on, i to jest jeszcze jedno zasadnicze prawo teatru Conrada Drzewieckiego, Ta nowa, technika „wykultury przedstawień” czyni użyciek ze średnich talentów i uskrzydla geniusza”.

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

Gościnne występy POLSKIEGO TEATRU TAŃCA, Łódź, październik 1974 r.

OPOWIADANIE DLA WNUKA

Ciężkie to było życie. Musieliśmy znać dzieje Polski dzielnicowej i siedemnaście dat z historii Francji. I to, że przez krzywą Cassiniego rozumiemy krzywą o tej własności, iż loczyn odległości każdego jej punktu od dwóch stałych punktów jest wielkością stałą. I to, że człowiek jest zoon politikon. I jeszcze to, że sine amicitia vita est nulla.

Do najbliższej froterki było ze trzysta kilometrów. Dobrze, że nie o niej nie słyszeliśmy, gdyż o tyle byliśmy wolniejsi. A nawet, gdyby taka była to do czego ją podłączyć? Do lampy naftowej, kryjącej płomyk pod błękitnym kloszem?

Nasze koleżanki chciały, żeby z nimi inteligentnie rozmawiać. Ty masz płyty i stereofonie, masz radio tranzystorowe. Jeżeli idziesz na spacer z dziewczyną, to nastawiasz radio i możesz być niemowa.

Ciężkie to było życie. Jeżeli chcieliśmy czegoś miłego posłuchać, musieliśmy iść do zagajnika lub do lasu, gdzie śpiewały ptaki. Były to jednak melodyjki staroświeckie i niezbyt skomplikowane. Nie więc dziwnego, że chłopcy sami uczyli się śpiewać, gdyż zawsze wśród nich znajdował się jeden z gitarą lub mandoliną, który im akompaniował.

Te same dziewczyny lubiły mieć sztambuchy, zwane inaczej albumkami, do których trzeba było na pamiątkę wpisywać

wiersze. Najwięcej zyskiwało się sympatii, jeżeli któryś potrafił skleić i wpisać wiersz własny. Zresztą, dziewczynom też nie żyło się łatwo: musiały nosić granatowe spódniczki aż do kolan i białe bluzeczki. Nie wolno im było palić papierosów i musiały wracać do domów przed godziną dwudziestą drugą.

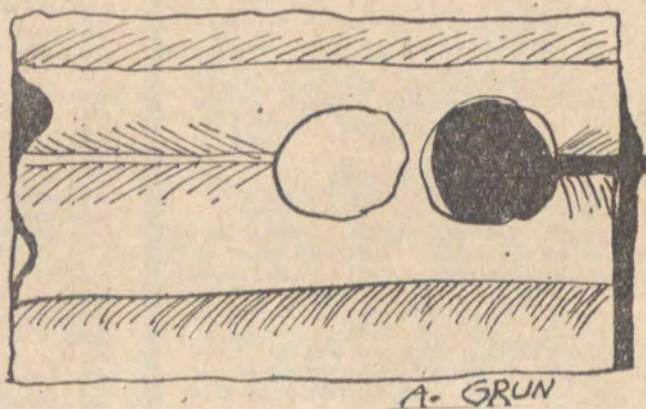
Ciężkie to było życie. Wzdłuż dróg szumiały brzozy, gdyż samochodów było tak mało, iż drzewa im nie przeszkadzały, furmanki zaś lubiły zatrzymywać się w zielonym cieniu, żeby mogły odpocząć końskie ogony, które w upale musiały bez przerwy odpędzać gzy.

Niektórzy wierzyli, iż księżyc jest planetą zamieszkaną. I piśmienni wiedzieli, że muchomory są grzybami trującymi. Trzeba było słuchać starszych lub przynajmniej udawać, że się ich słucha, nie wolno było w ich obecności leniwie się przeciągać lub podciągać spodnie, a nawet nie wolno było chodzić z nimi na wódkę.

Ciężkie to było życie. Toteż większość z nas zginęła na wojnie. A nasze dziewczyny, porywane i wywożone, pogubiły sztambuchy, zwane albumkami.

Jeszcze w powojach lub w zielonych falach opalone ich tydki.

Jan Huszcza



PRZEPIS

NA CHWILOWY POWRÓT

Słowo do słowa Gałąź z jabłkiem
do dzwoneczków z pszczołą
Okna wstawione w drewniane ściany
Cztery słupy pod strzechą
zaraz staną się stodołą

Ktoś z ganku na kogoś woła
ale na próżno
bo dzień pracowity
snopy w mendlę ustawiać
gałęziami olchy
ocierać pot z czoła

Wynurzyć z bezsennej nocy
turkot wozu na gościńcu
Rozgałęzić czerwienią jarzębiną
na zielonym dziedzińcu

Item umieścić pod zagajem
łakę z kminkiem kwitnącym biało
dla chleba dla serów

Przetasować pory roku
wywołać ze trzy ruczaje

A gdy wszędzie księżyc
czekać w altanie
Na Anię na Malwinę na Matyldę
adż to i owo się pocierało
za każdym razem ulegając przemianie
w coraz inną żałość



Ten wiersz kaleki
kikut
Tylu nie wraca z wojen
inni wracają
z ciemnością w oczach
o kulach
Skąd tu rymy
skoro
ryby brzuchami mącą powietrze
w lesie
pił mechanicznych dzięcioły
Nafta zanosi się od śmiechu
Ten wiersz kaleki
Codziennie gdzieś pięściami
wpychają do gardła
okrzyki

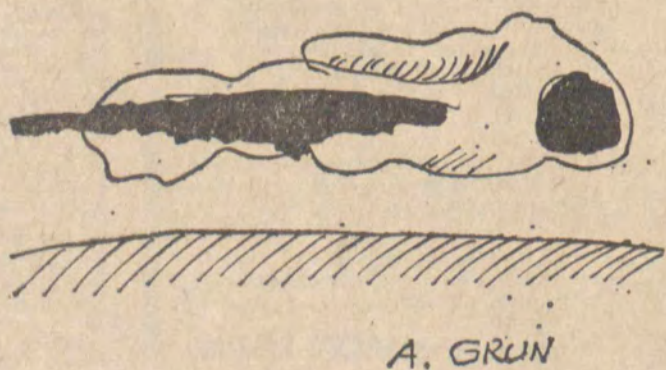
Nie starczy go
na imię kobiety
o piersiach stromych
Na wejście we wrzose
o zachodzie

Tylko klujące
trawy wielbłądzie
zamiast łąk

To powłóczenie zdaniami
zaniedbywanie słów
Wydzieranie sylab z tkanek
Strzelanie do samogłosek
by sycząc
milkly

Jak ma zabrznieć
z przepalonych
skrętów drutu
z kilku patyczków
z domysłu żdźbła

On może
od Hiroszimy

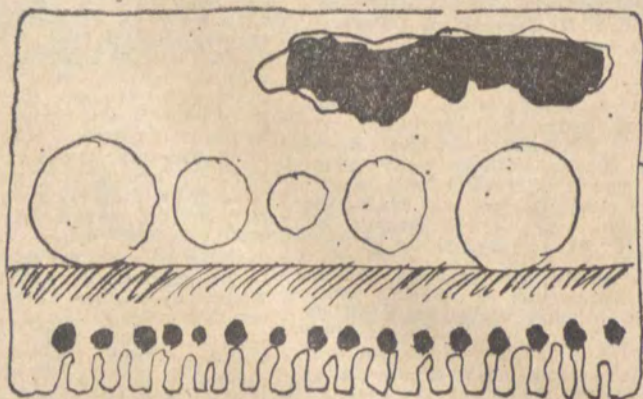


PRZEKŁADY JANA HUSZCZY



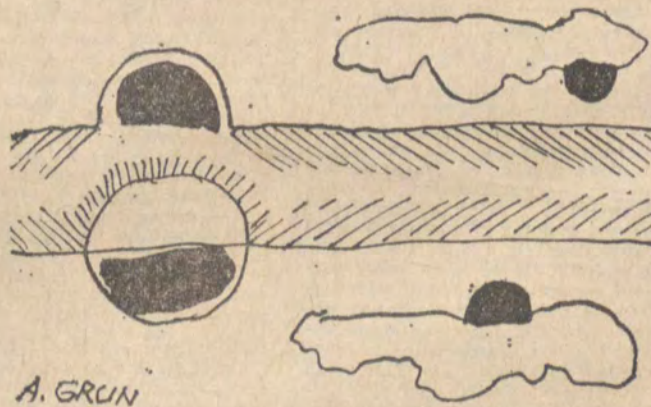
To jest piąta roku pora,
Tylko ją chwalić się godzi.
Jeszcze wolność była wczoraj,
Lecz oto miłość nadchodzi.

Wysoko niebo wleciało,
Tracą swój kontur przedmioty.
I już nie obchodzi ciało
Rocznicy swojej tęsknoty.



Kiedy człowiek umiera,
Zmienia się na swoich podobiznach.
Inaczej patrzą oczy. Usta
Innym uśmiechają się uśmiechem.
Spostrzeżłam to, gdy wróciłam
Z pogrzebu pewnego poety.
I odtąd sprawdzałam to często,
A mój domysł zawsze się potwierdzał.

ANNA ACHMATOWA

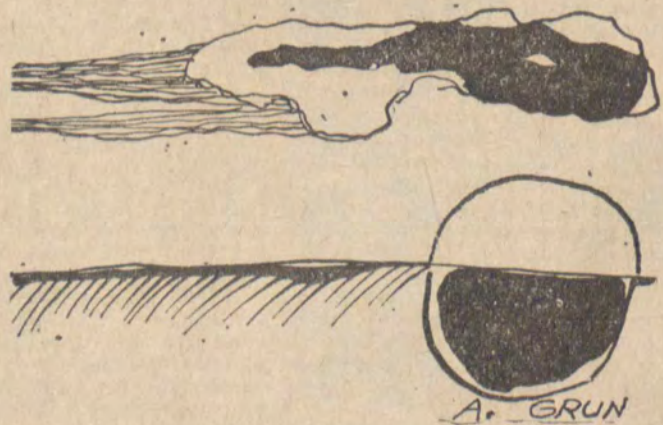


JESIEŃ

I znowu tęsknię za bocianami,
Jak po bliskim mi człowieku,
Gdyż jesień rudymi czołnami
Odwiozła cicho je do Greków
Lub do Egiptu, gdzie słońce wita —
Byłe dalej od przewlekłej słoty...

Tu, jak mnisi w przemokłych habitach,
Stoją sady, strzeżone przez płoty.

NINA MACIASZ



„Świat nie przedstawiony” Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego jest wydarzeniem kulturalnym istotnej wartości, gdyż długo musieliśmy oczekiwać na tak smiałą atak na szanse współczesnej polskiej kultury, a literatury w szczególności. Autorzy tej generalnej rozprawy, balansującej na granicy esejistyki i publicystyki, myśli swe wypowiadają klarownym, nie skażonym „gwarą blousową” językiem, co jeszcze nie oznacza, że wykład ów czytającemu nie przysparza niejasności, zwłaszcza gdy chodzi o logiczne wywody. Niezaprzeczalnym walorem tej pozycji jest próba wytrwania współczesnej literatury z bogostanem półśrodków, że świat gotowe w świat staję się. Ujawnieniu niebezpieczeństw ezchajających w tym pozornie bezkonfliktowym świecie towarzyszy ambicja w swych miar, zapobieżenia kalectwu kulturowemu społeczeństwa żyjącego nad Odrą i Wisłą. Ale książka krakowskich poetów nie wymaga panegryfik; inteligencja autorów było spowodowanie dyskusji wokół palących kwestii natury moralnej, filozoficznej, artystycznej. Brakomente relatywizm zobowiązuje. Z braku możliwości szerszego wywodu ograniczamy się do rejestru uwag i zastrzeżeń — moim zdaniem — najważniejszych.

1. Autorzy poddają w wątpliwość społeczną jedynomyślność, wychodząc ze słusznego zresztą założenia, potwierdzonego dziejami gatunku homo sapiens, iż nie-redukowalna i niepowtarzalna jest ludzka osobowość. Rozważania ich przebiegają wokół relacji: świat obiektywny — rzeczywistość językowa, przy czym niestanowiące akcentuacji niepóźnierność tej ostatniej względem członu pierwszego. Metoda ta — wydaje mi się — że jest przerysowana i dość zawadna, bowiem nie sposób uniknąć pytań najpierwszych: co rozumieją przez świat obiektywny, skoro jest taki, jaki w naszych umysłach i w tym samym niezredukowalnym jak świat duchowy jednostki? A jeśli nawet przyznajemy na te metody, winniśmy mieć na uwadze, że sztuka jest tylko cząstką człowieka i że życie nasze przetrzało i przetrza swoją treścią sztukę. Jak zresztą część ma oddawać całość? Może co najwyżej wyrażać określone stany, refleksje, uczucia, ale nie wszystkie jednocześnie. Rozumiem, że autorem chodzi o pełniejszą ekspresję naszej rzeczywistości duchowej; zresztą czy pełniejsza, to też wątpliwe. Dosłownie całości współczesnemu światu kulturalnemu, który cierpi na chaos pojęć i wartości, krytycy przeciwstawiają poezję tzw. Nowej Fali, widząc w niej najwzrostowsze elementy konstytutywne, prowadzące do wolności jako afirmacji własnej osobowości.

Uznając w pełni zasługi nowego pokolenia poetyckiego w walce o odzyskanie świadomości, nie sposób jednak nie

dostrzegać ubóstwa duchowego, jakie niesie z sobą owa poezja. Zarzut ten odnosi się w pierwszym rzędzie do nader jednostronnego widzenia człowieka jako istoty społecznej. Negacja totalitarności, anonimowości, „samotnego tłumy” daleka jest jeszcze od ujawnienia różnorodności duchowej rzeczywistości. Narzuconej jedynomyślności przeciwstawiają jedynomyślność oddolną, czyli, trywializując — demagogia contra demagogii. Dla poetów i krytyków Nowej Fali grzechem jest pisać wiersze kontemplacyjne, historyzoficzne, subtelne liryki miłosne, bowiem — zdaniem ich — odwracają one uwagę czytelnika od rzeczywistości, jak by to kreacja, kontemplacja, zachwyt, uniesienie, czułość, miłość nie były ludzką rzeczywistością. Czy

zbliżenie go do kolokwialnego, kompozycyjnie collage'u. Zresztą ich poetycka realizacja zasadniczo się różni np. od wierszy Krynickiego czy Barańczaka, którzy mocno tkwią w tradycji Awangardy Krakowskiej, gdy tymczasem Kornhauser i Zagajewski realizują zasadę poezji odmetaforyzowanej, stąd operują językiem reklamowych napisów, propagandowych hasel, gazetowych frazesów, powiedzonek ulicznych, słowem — tworzywem niewybrednym. Obawiam się, że w tak sformułowanym i praktykowanym programie autorzy — wbrew zapewne dobrym intencjom — popełniają nagminny błąd współczesnych wielu eksperymentów artystycznych; tworzący poezji „teraźwoców” jest nader nietrwale, zmienne jak czasy, w któ-

rość nie jest też żadną propozycją artystyczną, rozwiązaniem formalnym. W przypadku krakowskiej grupy TERAZ poezja jako mowa wiązana tak została rozwiązana, że grozi jej rozwiązłość (o ile już nie znajduje się w tym stanie). Panując nad tworzywem artysta daje tym sposobem wyraz, że potrafi panować umysłem nad losami tego świata. Prawda to aż nadto oczywista, aby szerzej na ten temat się rozpisywać.

3. To, że autorzy, zwłaszcza Kornhauser, nie mają jasno wypracowanych kryteriów ocen, a o których brak posiadają wszystkich współczesnych z wyjątkiem swoich kolegów, świadczy chociażby znamienity przykład. Dla autora „W fabrykach udajemy smutnych rewolucjonistów” Herbert nie jest w pełni

Nierozwiązywalną sprawą jest społeczna anonimowość, zbiorowe milczenie i zbiorczy indyferentizm, które sprawiają, że rozsydny głos, szczerze wyznane czy poetycka próba profetycznej reakcji nie spełniają swoich podstawowych założeń, toną w powodzi innych, fałszywych działań”. Doprawdy nie rozumiem teraz po co atakować anonimowość, skoro z góry jest wiadome, że atak ów jest bezskuteczny, w niczym nie zmieniający sytuacji duchowej społeczeństwa. To już nieporozumienie wielkiego kalibru. Zresztą broń autorów obraca się przeciwko nim samym.

4. Autorzy, zwłaszcza Zagajewski, czerpią wzór postawy krytycznej z pism Stanisława Brzozowskiego, zatem większość mają zastrzeżenia pod adresem współczesnej literatury polskiej atakującej ich świat. Wskazują, jak ogromne obszary rzeczywistości pozostały do uprawienia przez literaturę realistyczną. Ow „świat nie przedstawiony” domaga się opisu, literatura pozostała w tyle za przemianami społecznymi i świadomościowymi. Nienowoty do postulat. Wołanie o arcydzieło rozlega się na łamach prasy literackiej od kilku lat. O wiele łatwiej jest przeprowadzać krytykę i wykazywać braki współczesnej prozy aniżeli ją tworzyć i przede wszystkim wydawać. Poza tym w rzeczywistości permanentnych konieczności trudno liczyć na przykład. Aktualnie „Świat nie przedstawiony” należy w obojętnej produkcji wydawniczej do „przy-padków i tego szczęścia szczerze krytykom krakowskim zadrzroszcze.

5. Myślę Kornhauser twierdzić, że świat Herberta jest skamieniała. Jeżeli nie jest się w stanie czegoś pojąć, tedy należy milczeć albo okazywać tolerancję, tak chociażby, jak to czyni drugi autor tej książki. Nie trzeba być wytrawnym czytelnikiem, aby dostrzec zasadnicze różnice między ujęciem literatury przez Kornhausera, a postępowaniem krytycznym Zagajewskiego, który ma o wiele szerszą historyczną i filozoficzną perspektywę widzenia spraw kultury. Różności różnioczącej się już teraz, dlatego wątpię, aby miał szansę przyszłościowy program, który już w samych podstawach zawiera wiele sprzeczności. Ład temu nada historia, oczywiście przez nas, tak bardzo się między sobą różniący, tworzona.

OBIETNICE I NADZIEJE

obstając wyłącznie przy jak najbardziej słusznej krytyce kultury masowej nie zabuza się tym samym naszego życia wewnętrznego?

2. Minimalizmowi temu towarzyszy, o paradoksalne, niebawyła maksymalizm. Intencją Kornhausera i Zagajewskiego, wprawdzie nie wyrażoną wprost, jest słynna teza Marksa, która parafrazujemy: „Dotychczas artyści interpretowali świat, chodzi jednak o to, aby go zmieniły”. Zmiana można dokonać poprzez zmianę języka, szczególnie poprzez demaskację języka środków masowego przekazu. Jak to zrobić? Autorzy dysponują konkretną propozycją: mówić językiem teraźniejszości, aby być zrozumiałym i być najbliższym „świata obiektywnego”. Poeci z grupy Terażwoców odrzucają zatem wszelkie pseudonimowanie. W pewnym momencie wyznają, iż w określonej sytuacji historycznej szczerze może być programem artystycznym. To wstrząsające i zarazem nalwne wezwwanie. Czy aż tak jesteśmy zakłamanymi, że musimy ze szczerości czynić program? Naiwne, bo wiadomo, iż wszelka dobra sztuka ma na celu ekspresję życia duchowego, przeto zadaniem i środkiem jednocześnie jest szczerze wyrażanie. Przez szczerotę jednak autorzy rozumieją odpoetyzowanie języka poetyckiego

rych żyjemy. I właśnie tworzywem, jego jakością chcą się przypodobać swojej epoce. Atoli upodabniają się, miast wyodrębnić, zlewają się z powszedniością, miast wydzierać z niej to, co łączy ją z przeszłością i — być może — z przyszłością. Czy Dante, Kochanowski, Szekspir, Mickiewicz pisali językiem swoich współczesnych? I tak, i nie. Po prostu językiem artystycznym. Niezaprzeczalną lekturą w tej dziedzinie jest klasyczna praca Wiktora Weintrauba pt. „Styl Jana Kochanowskiego” (1932); znajomość jej, przypuszczam, przyczyniłaby się za pewne do formułowania ostrażniejszych w tym względzie postulatów. Obawiam się też, że tym sposobem przyczyniamy się jeszcze bardziej do tworzenia chaosu, na którego braku nie możemy narzekać. W którym momencie zaczyna się poezja, a kończy publicystyka, co wyróżnia zapis poetycki od zwykłej refleksji czy opisu?

Na to pytanie nie znaleźliśmy w „Świecie nie przedstawionym” odpowiedzi. Aby doszło do względnie przynajmniej porozumienia między rzeczywistością istniejącą a rzeczywistością językową, niezbędnym warunkiem jest oczywiście szczerota. Nie jest to jednak kryterium wystarczające, ażeby nastąpiła harmonia, za którą tęsknią — mimo krytyki klasycystów — „teraźwoców”. Szcze-

wartościowym poetą, gdyż zachowuje sceptyczny dystans wobec współczesności, natomiast ta sama uwaga w odniesieniu do ostatnich wierszy Krynickiego ma charakter apologetyczny. Nieporozumieniem istotnym jest wychwalanie wiersza Leszka Moczulskiego kosztem Tadeusza Różewicza. Otóż zdaniem Zagajewskiego ambitny program tego pokolenia zawarty jest w słowach młodego krakowskiego poety:

Dosyć zagipsowanego w ustach krzyku.
Dosyć martwego powietrza.

Różewicz mówił to samo, tylko nie używał słowa „dosyć”, gdyż jest artystą i dobrze wie, że dosłownie zabija sztukę. Poezja odarta z tajemnicy przestaje być poezją.

Najważniejszą wewnętrzną sprzecznością jest jednak rozpiętość między programem a realizacją. Program zakłada aktywną postawę myślącą, wiedzę pojmowaną jako działanie skuteczne, tymczasem cytując fragment wiersza Krynickiego stwierdza Kornhauser: „Nie jest to jednak zwykły opis czy prosty zestaw „gazetowych migawek”, ale taka obserwacja obiektywnej rzeczywistości która pozwala podmiotowi określić swoją sceptyczną niewiarę wobec wielu „nierozwiązalnych spraw”.

Człowiek dobrze wychowany wie, że nie o wszystkim wypada mówić publicznie. Minimum oglady wymaga zarówno wstrzemięźliwość w siorbaniu potraw płynnych, jak i sztuki milczenia, a przynajmniej umiejętność wypowiedziania się ogólnego, za pomocą peryfraz, czy choćby takich zwrotów, jak „w pewnym sensie”, które — bardziej niż muzyka — lagodzą obyczaj. Byłe gbur, byle narwanie potrafił iść prosta drogą od myśli do słowa, podczas gdy świadectwo kultury i dojrzałości uzyskuje się dopiero na drogach objazdowych, okólnych, meandrycznych. Także dzieci, a więc istoty nie w pełni jeszcze oswojone z regulami życia społecznego, lubią mówić wprost, przez co w towarzystwie sprawiają kłopot domownikom, prowadząc gości do nie sprzątniętego pokoju i pytając leciwą ciotkę, czemu nie wyszła za mąż. Nie są też zbyt rozwinięte pod względem wstydu i sumienia, a ich kontrola psychiczna przepuszcza wiele „braków”, w czym zresztą cała maluchów rozkoszność. Nie pojmują, dlaczego ciekawość może być niestosowna, nie sugerują, że ktoś mija się z prawdą, lecz głoszą, że „kłamie”. Opowiadają o tym, co widzą i co wiedzą, gotowe bez żenady stwierdzić, że król jest nagi.

W tych spontanicznych reakcjach realizują się jednak te ideały — wolności, prawdy, szczerości — które w bardziej świadomych fazach życia osiągać trzeba wysiłkiem, odwagą cywilną, a nieraz wręcz heroizmem. Proces dorastania budzi świadomość, że są to szczerze wartości ludzkie, ale tetnają przetrwać w ich urzeczywistnianiu. Kształtujące zdrowy rozsądek, postawę buchaltera, co rachować musi szanse zysków i ryzyko strat. To, co w młodości było naturalną rzeczywistością, teraz przenosi się do świata utopii, ideałów, marzeń, strategicznych celów człowieka.

Gdyby usunąć ze stosunków między ludzkich skrupuły, wypracowane przez kulturę, życie na pewno stałoby się niepożońne, atoli bieda tym, że nadmiar pośrednictw również odbiera życiu wiele jego walorów. Zniewała umysł, pozbawia poczucia kontaktu ze światem, poczucia autentyczności tego, co ze świata się bierze i co się światu daje. Duchowe szambelaństwo, porór i kompromisy nie nasycają człowieka doznaniem istotności, wielkości, sensu. Przynajmniej tedy od czasu do czasu ktoś musi spojrzeć rzeczywistości (literaturze) w twarz, oznajmić, że król paraduje bez gąteł, pokonać dualizm sądów o świecie (literaturze), podzielić świat na prywatne i publiczne, jawne i lask książkę, jak więc musiał napisać „Świat nie przedstawiony”. Ktoś musiał, jak jej autorzy — Julian Kornhauser i Adam Zagajewski — zapytać, dlaczego życie sobie, a literatura sobie.

Czyn to nieobyczajny, a więc wszyscy się zgadzają, że „Świat nie przedstawiony” jest wynikiem, że jest — ważnym wydarzeniem w krytyce literackiej, bez względu na jego ocenę. Książka ta wywołuje zachwyt i sprzeciwy, adorację i irytację. Jest chyba gorzka lektura dla wielu pisarzy średniego pokolenia, pokrzepia i wzmacnia duchowo literacką młodzież, której twórczość potrzebuje nie tyle uznania, co myślowego oręża.

Wszystkim jednak książka ta dała chyba coś w rodzaju kataraktycznej satysfakcji. Nawet milczenie bezpośrednio zainteresowanych, bo atakowanych, wydaje się to potwierdzać. Jedynie Stanisław Stanch usiłował w „Dzienniku Polskim” książkę zdeprecjonować, ale nie sądzi, aby mu się to udało. Skromnie już postąpił Jerzy Andrzejewski, który poprosił („w Literaturze”), aby jego prozy nie objaśniać powierzchownymi teoriami.

Sytuacja innych, potencjalnych polemistów nie jest łatwa. Smiałość, z jaką krakowscy autorzy piszą o oczywistościach, omiśniali, a wytkniętych palcami — może także zawstydzają. Kornhauser i Zagajewski, ufni, że mówią w imieniu dynamicznego, zdolnego i bezkompromisowego pokolenia, wytyczają takie działania, że trudno się przed ich salwami obronić. Trudno bowiem odeprzeć zarzut oportunisty i zdrady ideałów powołaniem się na zasługi w doskonaleniu warsztatu poetyckiego. Nie ma sensu wskazywanie na okoliczności lagodzące, „obiektywne trudności”, gdy ci ktoś mówi, że wina jest przede wszystkim w tobie, w słabości twojego charakteru, w tchórzostwie, w braku odporności, że po prostu nie chcesz chcieć.

Wytworzą się milcząca niezgoda pomiędzy krytykowanymi a krytykującymi, gdyż pełne wyjaśnienia przyczyn uników literatury w latach sześćdziesiątych nie należy do zycznych zadań. O wiele łatwiej natomiast być szermierzem prawdy, realizmu, służby społecznej, karcie twórców za to, że nie nadają się za rzeczywistością (nie przypominam sobie zresztą, aby kiedykolwiek nadawali). Jeśli więc w całej książce Kornhausera i Zagajewskiego, napisanej odważnie i z ujmującą powagą, jakaś struna brzmiała fałszywie, to jest nią właśnie odrobina demagogii, wynikającej z woluntarystycznego traktowania literatury, jakby zależała ona wyłącznie od tego, czy pisarz chce, czy nie chce o czymś pisać. Można, oczywiście, użyć kodeksu karny na podstawie hasel „Ody do młodzieńców” i z wyżyn ideałów spogłądać z pogardą na tych, którzy skłonni byliby widzieć jakąś zależność pomiędzy skalą swobody człowieka a skalą jego odpowiedzialności, tylko lepiej nie nadużywać wtedy słowa „sprawiedliwość”.

Młodzi krytycy zarzucają pokoleniom literackim 56 i 60, że zobojętniali na rzeczywistość, że milczeli o palących sprawach polskiego życia, holdowały niedopowiedzeniem, aluzjom, uprawiali faryzeizm, uciekali w krajny baśniowie, w historię, w mitologię, w przenośnie kulturowe. Diagnozy, stawiane przez Kornhausera i Zagajewskiego, uderzają trafnością i krytycyzmem, sprawnie gładzą braki naszej literatury i tropią cudze winy. Autorzy „Świata...” upominają się o treści nieobecne w literaturze, którym pręferujemy, codziennie żyje czytelnik, alarmują, że „między Buczkowskim a Fleszarową-Muskat, między Bocheńskim a Haliną Snopkiewicz nie ma nikogo”, postulują bezpośredniość, mówienie wprost, ale sami nie dowiadają swych też do końca, kontentując się waleniem w worek treningowy wów pokoleń, które się już do tego chyba przyzwyczaiły. Krytykują swych poprzedników za to,

że nie przebili muru głołami, racza jednak nie dostrzegać, kto ten mur postawił. Nikt, rzecz prosta, nie zdejmie z literatury odpowiedzialności za to, jaka jest, ale zwalanie na nią całej winy rzuca cień na ostantacyjną bezkompromisowość oskarżycieli.

Silną stroną „Świata...” stanowi demitykatorkowo celność sformułowań, społeczne kryteria oceny literatury. Mam tu na myśli zwłaszcza te partie tekstu, w których autorzy charakteryzują nieprzystawalność literackiego obrazu rzeczywistości do powszednich doświadczeń współczesnego Polaka, a przyczynę tej sprzeczności widzą w „udawaniu, że jest tak, jak powinno być”. Kapitalne są analizy niespełnienia, amorficzności, manierizmu, abstrakcji, enigmatyczności, banalu, detego pustowości. Nie razi przy tym zamasytana negacja i pamphletowy ton. To przeciw naturalne cechy tego typu wystąpienia.

Kornhauser i Zagajewski okazali się dobrymi diagnostykami, ale gorzami terapeutami, ten recepty są tyż proste, co mgliste. Bezskrytycznie używają terminów „szczerota” i „realizm”. Są one dobre, ale tylko w odniesieniu do sztuki, a nie do życia i ich konkretyzacja, a jeśli niekiedy to czynią dla ideowego uzasadnienia poezji swych rówieśników, to ujawniają zadziwiająco wąskie ich (tzn. terminów) rozumienie. Coś niedobrego dzieje się też z terminem „socializm”, który jest w książce literatury w latach sześćdziesiątych nie myślowym konkretem. Książkę Kornhausera i Zagajewskiego można głęboko przemierzyć zaakceptować jej partie opisowe, ale trudno się pogodzić z jej normatywnymi wskazaniami, absolutyzującym jedną z metod pisania, jeden ze stylów. Jestem pełen podziwu dla ambicji próby, ale nie mogę zaufać stronicznemu dyrektynom, przypisującym znaczenia moralne technice artystycznej.

Jednocześnie nie sposób również zaufać tym, którzy pragną pomniejszyć znaczenie tej książki oraz w ogóle, stryżylizować i potraktować „z góry” niepokoję i poszukiwania młodego ruchu literackiego. Nie mogę więc ufać tej odmianie postawy historyczno-literackiej, której dewiza jest porzekadło, głoszące, że wszystko już było, postawia, która poprzez wyliczenie odpowiednich analogii potrafi zbagatelizować, pomniejszyć i zbanalizować sens każdego przejawu autentycznej myśli.

Takie obejście się z książką Kornhausera i Zagajewskiego, zachowując zewnętrzne oznaki mądrości i pozory wyższości komentatora nad twórcą, nie daje w istocie żadnych zysków kulturalnych. Prowadzi raczej do intelektualnej niemocy, do pustki w sercu i fałszu w słowie. Czyni bezradnym i obojętnym wobec teraźniejszości, a więc tej rzeczywistości, która jest naszą jedyną, niepowtarzalną szansą, a która wydaje się zawsze „gorzszą”, mniej istotną i mniej „autentyczną” wobec „donioślejszej” i „poważniejszej” przeszłości. Łatwiej uwierzyć w interesowność i sztućność współczesnych, zwłaszcza znających, niż w blagę i wtroność romantyków, czy modernistów.

Wystąpienie Kornhausera i Zagajewskiego umacnia pozycję „pokolenia” jako terminu literackiego. Od dawna używany jako narzędzie poznawcze, porządkujące (Antoni Potocki, Ludwik Fryde, Kazimierz Wyka), termin ten nie był tak agresywny — dla dyskredytacji jednych a uwznioślenia drugich — sto-

rowany, jak to ma miejsce w „Świecie nie przedstawionym”. Młodzi krytycy częściej pogłębiają podziały niż szukają międzygeneracyjnego porozumienia. Budują ploty a nie mosty. Poprzedników uważają za „straconych”, myślowo sflaczonych i obłudnych, wszystkie nadzieje rezerwują dla siebie i swych następców: „Jeśli nie pojawi się sprawne i posiadające całościowy program działania pokolenie kulturotwórcze — ostrzegają krakowscy krytycy — nasz świat zostanie nie opisany, będzie dla przyszłych pokoleń równie tajemniczy, jak dla nas Atlantyda”. Czy nie dostrzegają ograniczeń stosowanych segregacji, czy nie dostrzegają innego typu wspólnot ideowych niż pokoleniowe? Owszem, zdają sobie sprawę z ponadpokoleniowych powinowatw myśli i postaw, ale wyjątki skłonni są czynić tylko dla nieobcych, których dorobek okryła patyna kulturowej nobilitacji. Odwołują się więc z aprobatą do Brzozowskiego, Pełpera, Gombrowicza. Poza klasykami — powiadają i tylko mi się liczy. Inni zdradzili i zawiedli, choć natura dała im talent (nie odmawiają go Różewiczowi, Herbertowi, Harasymowiczowi).



Julian Kornhauser i Adam Zagajewski. Świat nie przedstawiony

Tendencyjność nie wynika tu z niewiedzy. Jak całe młode pokolenie twórców, Kornhauser i Zagajewski są ludźmi czytelnymi, świetnie orientują się w metodologicznych problemach nowoczesnej huma-

myśli. W końcu, co by nie powiedziele z tego o marazmie lat sześćdziesiątych, wówczas — to przesłuszaczono — na język polski spór o podstawowe tekstów naukowych i literackich, związane większość zerwanych w okresie poprzednim, włókien kultury. Można zatem postawić tezę, że to na ołtarzu partykularnych interesów grupy pokoleniowej młodzi autorzy składają w ofierze swą zdolność do pogłębionej i wszechstronnej analizy. Podjęte w inie tych interesów perswazje monopolizują wokół Nowej Fali wartości moralne i literackie. Skoro wświstko w tej książce prowadzi do uzasadnienia wyjątkowości, wyjątkowości i czystości duchowej pokolenia, to nie starczy w niej pola dla merytorycznych podziałów wadzą, a nie tylko w poprzek literatury.

Rozstrzygnięcie wątpliwości, jakie budzi zbiór szkiców i recenzji młodych krytyków, nastąpi poza programami i teoriami. Nowa Fala, już silna w poezji, oblicująca w prozie, a na razie nieobecna w dramacie, wkrótce stanie do egzaminu. Jak długo jej twórcom starczy świętego ognia, czy zawsze wypowiadając się będą w tak korzystnych warunkach, jak te, w których mogli napisać i opublikować „Świat nie przedstawiony”, czy odnajdą w sobie rezerwy dla myślowo odnowy, gdy zaczną się powtarzać i stanie przed nimi widmo manieri? Czy w porę je zauważą? Już jakiś czas temu w młodych szeregach ozwały się głosy przestrogi; wszak to Jarosław Markiewicz pisał o kombatantach ruchu poetyckiego, jego akcjonariuszach, co chcą wciągnąć odebrać kuponów zysków od chodliwych „akcji” kilku, istotnie zresztą przejmujących, tematów. Czy unikną więc losu pokolenia, o którym Zagajewski pisze, że „żadna generacja nie zapowiadała tak wiele, nie złożyła tytu deklaracji, obietnic i przyrzeczeń”? Póki co, z nadzieją i niecierpliwością czekamy na nowe tomy, zwłaszcza prozy, w tym także na zapowiadane pozycje bohaterów niniejszego artykułu.

Po tym, co heroldzi pokolenia 70 po wiedzili w ciągu kilku ostatnich lat, nie mogą liczyć w przyszłości na żadną taryfę ulgową. Jeśli nie dane im będzie spełnić pokładanych w nich nadziei, dzień sądu nad nimi będzie straszny. Kandydatów na oskarżycieli nie zabraknie. Właśnie przygotowują się do ferii zimowych w liceach całego kraju. Na razie zaznaczają swą obecność wysokim wzrostem ciała, halasem magnetofonów i sukcesami na polonistycznych olimpiadach. Z czasem jednak zaczną pisać książki i rozliczać swych poprzedników.

JERZY RZYMOWSKI

KORESPONDENCJA z ZAGRANICĄ

Dalszy ciąg ze str. 1

szum motoru... Deszcz leje, wicher wyje, a motor ulega zepsuciu; w samochodzie młoda kobieta i młodzi...

Tak zaczyna się film „W szponach szatana”.

Potem pokazane są podziemia zamku, labirynt lochów, ołtarz, na którym płonie ogień (święty), a wokół niego tańczą nagie, (piękne) dziewczyny, przybrane jeno w złote i srebrne bransolety, w naszyjniki i łańcuchy, w kły tygrysy, wilcze, niedźwiedzie. Każda z nich trzyma w ręku pokazanych rozmiarów świecę. Z ogromnej kadzielnicy dobywa się odurzający zapach pachnidła (chyba wschodnich). Paniątki są w transie erotycznym. Ich ciała, pokryte tatuażem (rytualnym) wyginają się, przęca i gna. Potem odbywają się sceny miłości lesbijskiej tudzież różne warfanty samogwałtu przy pomocy najrozmaitszych rekwizytów. Nad całością misterium czuwa lew brunois o zupełnie jeszcze pojętych kształtach, o niezwykłych ognistych, przenikliwych oczach, obficie tatuowana i bardziej niż te młode obwieszona wisiorami, talizmanami etc. W tle bębny, piszczałki i niewiele pojękiwania raczej nie piekielne. A tu kołatka do wrót...

To młoda kobieta i młodzieniec, co im się właśnie na bezdrożu, w czasie ulewnej a wietrznej, popsuł samochód (nie trzeba dodawać, że popsuł im się on za sprawą szatana) szukają schronienia. Rzecz jasna — znajdują gościnie, suchy, choć nader skąpy przydziewek, zastawiony obficie stół i łoża szerokie a miekkie. A z lochów non stop dochodzą hałasy i śpiewy, atmosfera staje się gęsta i dwuznaczna. Noc jednak mija. Wstaje pogodny, słoneczny dzień. Cóż z tego — samochód ma jakiś defekt poważny, a kapłanki szatana mają wyraźną ochotę na piękną nieznaną i młodziana, który okazuje się być jej bratem.

Domyslać się w czym rzecz, siostra wyjmując z walizki krzyże, zrobione z kaczanów kukurydzy (jak mówi — przywozła je z Brazylii), które skutecznie chronią mają noszących przed wszelkimi zakusami, pokusami i czarami sił nieczystych. Jeden wiesz na szyi brata, a drugi na własnej, zresztą bardzo ładnej, szyi. Atoli wystarczy chwila nieuwagi, a moc szatana triumfuje: braciśzek (urodzony brunois) myjąc się przy studni zdjął ci na chwilę ów talizman, a diabeł w postaci arcyposępnej kapłanki (bez ubranka, włosy blond) capnął go czymś przed jej swoje szpony. Siostra, widząc kopulujące braciśzka za cembrowiną studni, mdleje, ale tym mocniej ścisła kukurydziany krucyfiks. Bra-

ciszek (nieletni zresztą) jest już od tej chwili stracony — chudnie błędnie, w orgiach nocnych aktywnie uczestniczy, wzrok mu płonie i, co gorsze, wykazuje coraz większą ochotę na swoją siostrę, która na razie jest poza zasięgiem mocy piekielnych (z racji wspomnianego już talizmanu). Aliści do czasu, do czasu.

Sytuacja komplikuje się. Nocami wicher wyje coraz głośniejszy (zrywa pół dachu); nietoperze latają jak chęć i gdzie chcą (a nad wyraz duże i tłuste bestie), portrety przodków spadają ze ścian, co rusz to głośno światło, przeorysza chodzi wściekła (jak się niebawem okaże, jest ona podstawową lesbijką w tej gro-

SZATAN I NAGA NA WRZOSOWISKU

madce nielicznej, a ślicznej), sów i kruków pełno, a samochód jak się nie chce naprawić, tak się nie chce. Atmosfera wokół zagęszcza się i narasta. Na dodatek próby wykradzenia kukurydzianego talizmanu pojętnej siostrzyczce wciąż spalają na panewce. A tu jeszcze wszystko naokoło, co żyje, uprawia intensywnie miłość systemem — każdy z każdym, nie wybierając ani pory dnia, ani miejsca. Przewodzą oczywiście w tym wszystkim braciśzek, któremu bardzo się ta zabawa spodobała.

Na koniec, trzeba trafiać, że siostrzyczkę, która wyszła wieczorną porą na przechadzkę po parku, opada stado nietoperzy. Krzyki niebezpiecznej kobiety giną w pisku rozwścieczonych zwierzków. Kiedy wreszcie dopada ona zdyszana do wrót zamczyska, okazuje się, że zgubiła jednak swój talizman. Biedactwo jest zrozpaczone. Chce się zamknąć w swoim pokoju, a tu ktoś zamek wykręcił, a z purpurowej kotary wylania się jej braciśzek, proponując jej miłość, co prawda kazirodczą, ale za to namiętną... Szatan odnosi ostateczne zwycięstwo. W lochach z tej okazji odbywa się mała orgietka. A rano okazuje się, że samochód dał się jednak naprawić i oboje, brat z siostrą, (czy jak ich już w tej chwili nazwać) odjeżdżają. W oparach

porannej mgły ginie biały zamek. Służebnice diabła machają z okien czarnymi szarfami, a przeorysza o niezgłębionych oczach uśmiecha się lubieżnie i z nieukrywaną satysfakcją, ukazując bardzo zgrabne kielki, wyrastające jej miast gorych siekaczy.

Inny film utrzymany jest w konwencji klasycznej baśni. Fabuła normalna: król ma piękną córkę, która śpi w kryształowej grocie, a strażą jej siły zło i nadprzyrodzone; król rozgłasza wszem i wobec, że odda koronę i rękę córki temu z rycerzy, który potrafi do niej dotrzeć, obudzić ją pocałunkiem i przywieść z powrotem na dwór. Wielu znakomych panów wyrusza po rękę i królestwo — żaden jednak nie wraca. Wykruszają się najdzielniejsi. Męstwo, odwaga, cnota ponoszą klęskę za klęską. Stary król posuwa się w latach, piękna córka jak spała, tak śpi, a kraj wyraźnie podupada. Aż tu zjawia się rycerz, mały dumny i piękny, który oświadcza stroskanemu królowi, że podejmie się całą sprawę załatwić dla dobra państwa, króla, królowej i własnego. Król udziela mu swego błogosławieństwa i świadek wyrusza w drogę.

Niebawem wyjaśnia się, jakie to potwory strzegą pięknej królowej. Nie żadne tam smoki, kłęgi ogniste, przepaście, zło czarownic, nie potwory o trzynastu głowach, ziejących siarką, a po prostu nader urodziwie dziewczyny, których w sumie jest siedem. Z każdą z nich rycerz musi się przepaść, ale tak skutecznie, aby zapadła ona w sen twarży, kamienny. Rycerz dziarsko sobie poczyna, kocha się do upadłego z każdą ze strażniczek po kolei, każdą zostawia uspiąną głęboko a słodko. Po każdej odbytej miłości, jak po walce prawdziwej, posila się obficie pieczonym mięsikiem (produkty wozi w jukach) i racy zycznym reńskim winem. Na koniec odnajduje w łożu królowej, z nią też się kocha i wracają na koniec do króla, odprowadzani smętnym wzrokiem strażniczek, które zdążyły się już obudzić. Odbywa się na zamku uroczysta wesela, na której wszyscy goście jedzą, piją i oddają się miłosnym igraszkom — ot, jak kto tam lubi i z kim lubi.

W innym filmie znakomity detektyw rozwiązuje niezwykle skomplikowaną zagadkę kryminalną, nie wychodząc z łóżka pięknej dziewczyny, która okazuje się pod koniec filmu być najpierwszym szefem gangu, zajmującego się mokrą robotą i narkotykami. Jego metody śledcze dalekie są od schematów, do jakich nawykliśmy, wychowani na powieści kryminalnej Conan Doyle'a, Agathy Christie, Barbary Gordon i Edigeja.

W jeszcze innym filmie rzecz dzieje się w Kosmosie. Załoga statku kosmicznego (dwóch barycznych kosmonautów i cztery kosmonautki — bardzo śliczne) zauważyła, że do wnętrza pojazdu, który mknie w kierunku galaktyki XVZ-99 dostali się niepostrzeżenie autentycznej mieszkanki Kosmosu. Są to kuliste osobniki, obdarzone dużą ilością przyssawek, niebywałą inteligencją i ogromnym temperamentem. Szef tychże niby — Marsjan zakochuje się w jednej z kosmonautek i uprawia z nią miłość fizyczną (przy pomocy przyssawek), za czym piękna Ziemianka bardzo przepada. W ślady szefa idzie reszta kosmicznych gości, co naturalnie ujemnie odbija się na właściwym celu ich inwazji na statek — miast go zniszczyć, zażywają z kosmonautkami różkosy cielesnych. Po statku płacze się dwóch kosmonautów (bar-

czystych) nie bardzo wiedzących, co mają w takiej sytuacji robić, wszędzie bowiem nie tylko ruja i poróbstwo. Na koniec (zdenerwowani i sfrustrowani) wylupują ogłupiałych miłością i rozpustą niby-Marsjan, wyrzucają ich na zbity leń z pojazdu i zabierają się do wykonania zleconego im w bazie programu naukowego. Wszystko wraca do normy, tylko w oczach kosmonautek widac jakąś żalostkę i smutek.

Filmy, które tu pokrótce streściłem (bardzo pokrótce) oglądałem nie na żadnym festiwalu, a w jednym z kin londyńskich, gdzie idą systemem non stop, od rana do wieczora. Są to filmy pełnometrażowe, panoramiczne, barwne (prawie tak barwne jak nasz „Potop”), bardzo sprawnie zrobione. Dramaturgia ich, co prawda, nieco monotonna. Formę jednakże wyraźnie dyktuje tu treść i funkcja. Zmieniają się w nich — scenaria, kostiumy (kostiumy są właściwie tylko w pierwszych sekwencjach), grepsy i pomysły — właściwa akcja jest taka sama we wszystkich: jak największa ilość scen kopulacji w możliwie karłowatych warunkach. Nie potrzebują chyba dodawać, że nie są to wybitne dzieła sztuki.

Do jakiej publiczności są one kierowane? Odbiorcą tych filmów są przede wszystkim kolorowi i najniższej płatni robotnicy, a także przyszczej młodzieńcy, dla których rozebrana kobieta na ekranie stanowi jeszcze mocne przeżycie. Daje się więc tym ludziom ersatz ładnie opakowany. Seks opakowany błyszczącą folią. Przejrzystą. Socjologowie zachodni twierdzą, że takie filmy rozładowują stresy, napięcia, agresję itd. Możliwe. Ja osobiście wynudziłem się na tych filmach setnie, cho-

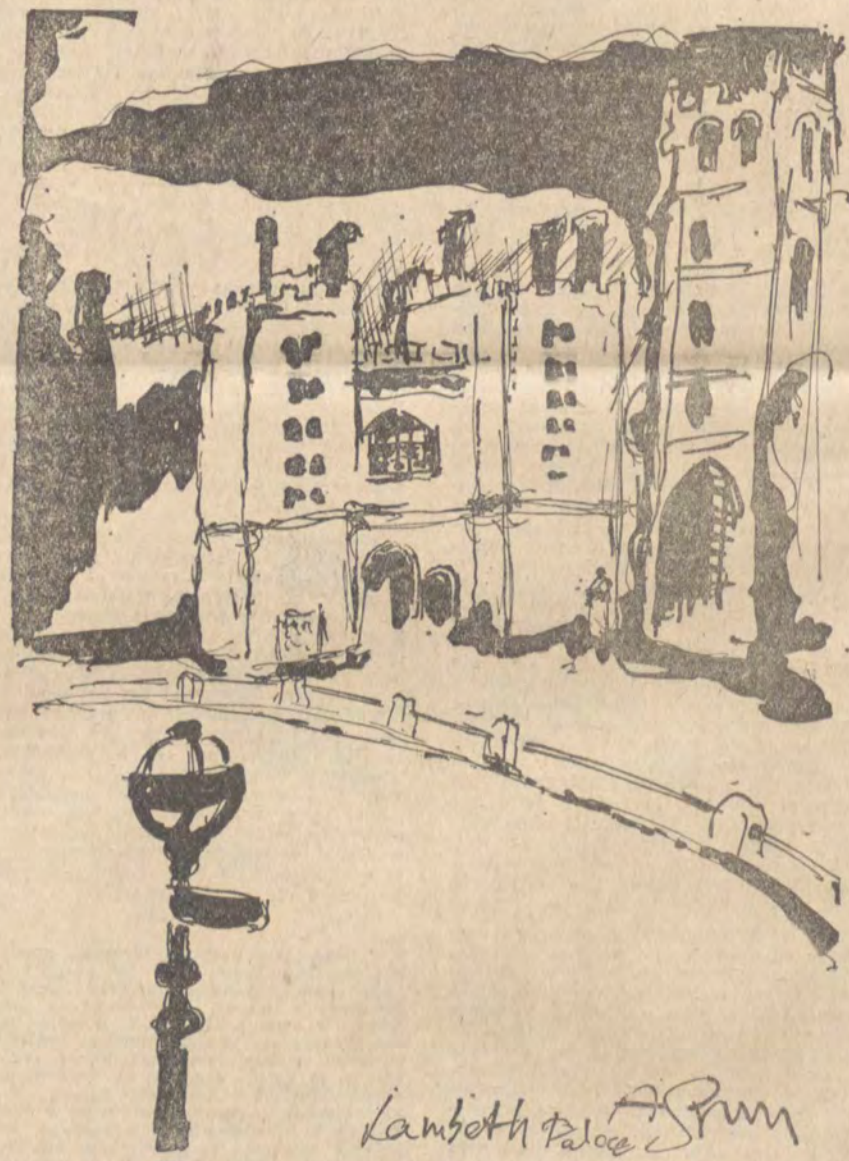
ciaż pomysł z tymi Marsjanami wcale dobry. Dobry żart — funta wart.

Producenci tychże filmów nie uznają żadnych „świętości”. Oglądalem na przykład westerny, w których po prerii galopowały nagie kowbojki, które były tak szybkie, że zanim jakiś czarny charakter zdążył sięgnąć po colta, już leżał w łożku. Obejrzałem też „Makbeta”, w którym lady Makbet używa różnych broni, ale nie są to ani sztylety, ani truzciny. Druga wojna światowa również została wykorzystana w tych filmach jako temat — co też ten damski kontrwywiad angielski nie wyprawiał z oficerami Abwehry, żeby tylko wykraść taką czy inną tajemnicę...

Z filmów ambitnych (czy normalnych — jak to tam nazwać) obejrzałem w Londynie obraz „Wielki Gatsby” według Fitzgeralda. Dla mnie był to film intrygujący z dziedzińny kostiumologii. Projektantów odzieży by na niego wysłać. Niemniej przed kasami kin, w których szedł „Wielki Gatsby” miałem okazję zobaczyć jedynie w Londynie kolejkę — aż 8-9 osób stało po bilety.

Seks-filmy, o których pisałem wyżej, nie mają nic wspólnego z filmami, które można zobaczyć za 30 pensów w specjalnych kabinach i klubach. Tu wrzuca się tych parę monet do automatu i ogląda się te pornografie najtańszą, wulgarną, mizerną w swym ordynarnym schemacie, załasną. Ale i ta produkcja jest przemysłem przynoszącym zyski. A w tamtych świecie, jeśli jest biznes, zysk — to wszystko jest git.

ANDRZEJ GRUN



LISTY DO REDAKCJI

GDZIE KUPIĆ „KALEJDOSKOP”?

Za pośrednictwem „Odgłosów” chcemy się zapytać, gdzie w Łodzi można kupić „Kalejdoskop”. W miesiacu październiku nie mogliśmy kupić „Ruch” nie chcąc przyjąć prenumeraty Dlaczego? Nam studentom, taki właśnie „Kalejdoskop” jest potrzebny i przydatny w wyborze sztuki, filmu itd. Przyjechalśmy z różnych stron Polski, poprzez to pismo poznajemy problemy kulturalnej Łodzi, ludzi sztuki, literatury, miasto naszych studiów. A tu „Kalejdoskopu” brak.

Jeszcze jedno. Dziękujemy redakcji „Kalejdoskopu” za doskonałą prezentację wybitnych ludzi Łodzi. Ale, panowie redaktorzy, odpisujcie na listy skierowane do Was. Na odpowiedź na list czeska Dorota S. Może również odpowiecie na list studentów z al. Politechniki. Może, kiedy „Odgłosy” wydrukują choć mały fragment tego listu, doczekamy się odpowiedzi.

BOŻENA ZATWARSKA
ŁÓDŹ

Redakcje: „Nowego Medyka” i „ITD”

zwracają się z prośbą o podanie na łamach Waszego pisma komunikatu o ogólnopolskim konkursie literackim na dziennik pod wspólnym hasłem: WOBEC WŁASNEGO CZASU. Konkurs ma charakter otwarty.

Z POZDROWIENIAMI:
ANDRZEJ DOROBA
(redaktor naczelny)

„WOBEC WŁASNEGO CZASU”

Redakcje: dwutygodnika „Nowy Medyk” i tygodnika „ITD” ogłaszają w 30-lecie PRL ogólnopolski otwarty konkurs na DZIENNIK TWORCY — DZIAŁACZA — ARTYSTY pod hasłem — „WOBEC WŁASNEGO CZASU”.

„DZIENNIK” winien zawierać indywidualne spostrzeżenia, propozycje i reflek-

sje dotyczące kształtu sztuki, sposobu jej realizacji i upowszechniania, ukazując drogę do własnej działalności artystycznej lub pracy upowszechniennej.

Może dotyczyć także konkretnych wydarzeń kulturalno-artystycznych, działalności zespołu, klubu, świetlicy, domu kultury, może to być opis ciekawszego spotkania, czy dyskusji. Dziennik powinien być wyrazem własnych doświadczeń życiowych i twórczych w kontekście przemian społecznych i politycznych zaistniałych w Polsce Ludowej.

Organizatorem zależy na tekstach w sposób przekonujący kreślących kształtowanie się osobowości i światopoglądu zarówno rówieśników Polski Ludowej, jak i tych działaczy, artystów, twórców, których okres aktywności przypadł na czas działalności poszczególnych organizacji młodzieżowych w 30-leciu PRL. Materiały te będą stanowić dokumenty rodzenia się nowego społeczeństwa polskiego.

FORMA DZIENNIKA jest dowolna. Może to być raport, pamiętnik, refleksje, wspomnienia, propozycje i spostrzeżenia.

Preferowane będą autentyczne zapiski, stanowiące dokument czasu zapisywanego przez autora, uwzględniając to przemian zachodzących wówczas w naszym kraju.

KONKURS obejmuje wszystkie środowiska społeczne. Dziennik może spisać każdy, bez względu na rodzaj wykonywanej pracy i wykształcenie. Chodzi o możliwie najszerszy zapis rodzenia się nowej rzeczywistości kształtowania postaw ideowych i światopoglądowych pokoleń; o spisanie własnego życiorysu.

Objętość prac nie powinna przekraczać 20 stron maszynopisu. Prace należy nadsyłać w trzech egzemplarzach na adres: „Nowego Medyka” 02-607 Warszawa ul. Ozeki 7, opatrzonej godłem, wraz z kopertą zawierającą nazwisko i adres autora; (w wyjątkowych wypadkach Jury rozpatrywać będzie także rękopisy, prosimy więc o ich czytelność). Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 grudnia 1974 r. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w sty-

czniu 1975 roku w 30-lecie Wyzwolenia Warszawy.

Udział w konkursie mogą wziąć jedynie materiały dołd nie publikowane w części lub całości i nie zgłoszone aktualnie do żadnego konkursu. Organizatorzy zastrzegają sobie pierwszeństwo druku nagrodzonych materiałów. Przewiduje się wydanie prac nagrodzonych i wyróżnionych w ostatniej audycji.

Wysokość nagród: I + 5000 zł; 2 drugie nagrody — po 3000 zł; 3 trzecie po 2000 zł; pięć wyróżnień po 1000 zł oraz 10 nagród rzeczowych. Jury ma prawo innego podziału nagród.

W momencie napływu większej ilości prac wartościowych — wysokość nagród może być podniesiona w nagrodach głównych np. 10.000 zł przy nagrodzie I.

Skład Jury i fundatorów nagród podamy w terminie późniejszym.

Redakcje:
„NOWEGO MEDYKA”
i „ITD”

U PRZYJACIÓŁ

W Bułgarii powołano narodowe Centrum Twórczości Artystycznej, Działalności Kulturalnej i Środków Masowego Przekazu. Te ważne dla kultury bułgarskiej zmiany organizacyjne nastąpiły w efekcie realizacji uchwały KC BPK i Rządu w kwietniu br. Przemiany te otwierają nowy, wyższy etap rozwoju socjalistycznej kultury i upowszechniania jej wartości w społeczeństwie.

Nowo powstałe centrum zintegruje całokształt życia kulturalnego Bułgarii — jako instytucja ponadresortowa. W jej skład wchodzi: Komitet Sztuki i Kultury (odpowiednik naszego Ministerstwa Kultury i Sztuki) — jako społeczno-państwowe ogniwo wodzące Komitet ds. Telewizji i Radia, Komitet ds. Prasy, związki twórcze — które zachowują swe szerokie uprawnienia statutowe — oraz wszelkie inne organizacje, instytucje, niezależnie od przynależności resortowej, które także zajmują się działalnością kulturalną. Centrum obejmuje swą działalnością również całokształt wymiany i współpracy kulturalnej z zagranicą.

Przeprowadzona reorganizacja ma na celu skupienie w jednym centralnym organie rozdziałów dotychczas sil i środków materialnych przeznaczonych na rozwój kultury, stworzenie jednolitego systemu działalności z uwzględnieniem specyfiki poszczególnych sfer i regionów, poprawę poziomu szkolenia i gospodarki kadrami kulturalnymi. Jednocześnie zakłada się rozszerzenie zadań komitetów kultury i sztuki na szczeblu okręgu gminy, jako realizatorów polityki kulturalnej Narodowego Centrum.

W księgarniach NRD pojawia się coraz więcej przekładów dzieł polskich pisarzy. Ostatnio ukazały się w popularnych wydawnictwach: powieści Marii Kuncewiczowej „Cudzoziemka” i „Pociąg i diament” Jerzego Andrzejewskiego. Obie książki otrzymały staranną oprawę graficzną.

Czechosłowackie wydawnictwo Literatury Pięknej i Sztuk Plastycznych „ODEON” w ciągu ostatnich dwudziestu lat wydało blisko sto tytułów przełożonych z języka polskiego w łącznym nakładzie ponad 1,25 miliona egzemplarzy. Najlepsze dzieła literatury polskiej — wchodzi systematycznie w edycję — „Biblioteka światowa”, „Biblioteka klasyczna”, „Światowa literatura”, „Współczesna proza światowa”, „Współczesna poezja światowa”, „Współczesna polska poezja” — ukazują się w serii wydawniczej „Plomien”. Polskie książki w Czechosłowacji osiągnęły wysokie nakłady m.in. poprzez wydawnictwa dla Klubu Czytelników, który liczy ponad sto tysięcy członków. (Np. „Quo vadis” Sienkiewicza 140 tys. egzemplarzy).

Z okazji 30-lecia PRL w „Odeonie” przygotowano dzieło będące owocem kilkulatniej pracy czechosłowackich — słownik pisarzy polskich — który w 900 hasłach obejmuje historię literatury polskiej, od czasów najdawniejszych do dnia dzisiejszego.

Na łamach prasy jugosłowiańskiej, w organizacjach społeczno-politycznych, a ostatnio w miejskim Komitecie Związku Komunistów Belgradu poddano surowej krytyce repertuar filmowy, a szczególnie dominację małowartościowych filmów na ekranach kin.

Jugosławia w ostatnich latach rozwinęła znacznie import filmów. W r. ub. zakupiono np. 263 filmy kosztem ok. 40 mln dinarów, uzyskując z rozpowszechnienia 380 mln dinarów, a więc b. wysoka rentowność. Natomiast z rozpowszechnienia filmów krajowych uzyskuje się pokrycie kosztów produkcji w granicach 10—15 proc. Kierunek się wyłącznie zasadami rentowności importowane były przede wszystkim filmy kryminalne, przygodowe, sensacyjne, erotyczne, głównie produkcji amerykańskiej, włoskiej, francuskiej, brytyjskiej i zachodniemieckiej. Dorywczo system dystrybucji sprzyjał wypieraniu filmów wartościowych przez pozycje „kasowe”, przyjęto bowiem zasadę, że film wycofuje się z eksploatacji, jeśli przez dwa kolejne dni frekwencja jest mniejsza niż 40 proc. miejsce na sali (we Francji — 25 proc. w ciągu 3 dni).

Przyjęte kryteria kasowości zepchnęły na dalszy plan względy społeczne, kulturalne, artystyczne. „Polityka repertuarowa — pisał niedawno organ ZKJ „Komunist” — jest jedną z działalności społecznej, w której odpowiedzialni za nią ludzie pozostali całkowicie obojętni wobec obowiązków społecznych. „Sąd protesty są, oburzenie rodziców, wezwania instytucji, a petycje prasy. Zgłasza się wiele propozycji, m. in. wprowadzenia roszadnych propozycji w repertuarach kin między filmami komercyjnymi a wartościowymi artystycznie, uwzględnienie potrzeb społecznych i założenia ideowo-wychowawczych wynikających z socjalistycznego ustroju.

Powszechna jest opinia, że interwencja społeczna jest w tym wypadku konieczna, żąda się również zdjecia ze stanowisk osób odpowiedzialnych za taką politykę importu i rozpowszechniania filmów.

Od klęski hitlerowskich Niemiec upłynęło już blisko trzydzieści lat, a wciąż jeszcze narody Europy dowiadują się o potwornych zbrodniach faszystowskiego okupanta. Oświęcim, Buchenwald, Dachau, Flossenbrugg, Mauthausen, Ravensbrugg... Prawda o obozach zagłady wstrząsnęła światem w 1945 roku. A oto znów nowe dowody hitlerowskich zbrodni obiegły świat. Przed trybunałem w Triescie odbył się niedawno proces przeciwko oprawcom obozu koncentracyjnego, których po wielu latach udało się wykryć i postawić przed sądem.

Z pamiętników byłych więźniów obozów koncentracyjnych we Włoszech było wiadomo, co działo się w obozach w Fossoli i Bolzano, ale dopiero teraz udało się odsłonić tajemnicę nazistowskiego obozu śmierci w byłej kopalni ryżu fabryki San Sabbe w Triescie.

8 września 1943 roku ogłoszono zawieszenie broni, kładące kres działalności wojennej między Włochami a sojusznikami. Tegoż dnia niemieckie dywizje rozlokowane wzdłuż wybrzeży Adriatyku zaatakowały nieliczne oddziały armii włoskiej stacjonujące w tym rejonie. Opor Włochów bezsilnie złamano. 12 września, w trzy dni po ogłoszeniu zawieszenia broni, gazeta „Il Piccolo” w Triescie opublikowała na pierwszej stronie zastraszające oświadczenie feldmarszałka Kesselringa. 14 września niemiecki gen. Raapke niedwuznacznie dał do zrozumienia mieszkańcom Triesci, co ich czeka. 15 września 1943 roku opublikowano rozkaz gaulitera Karyntii (terytorium w południowej Austrii, graniczące z Włochami i Jugosławią, do którego w owym czasie włączono obszar Triestu wraz z prowincjami) Friedricha Reinera: Triest został stolicą rejonu, nazwanego przez nazistów „Wybrzeżem Adriatyckim”. Najwyższą władzę cywilną i polityczną sprawował gauliter Reiner, a cały ten obszar przyłączono do III Rzeszy. Gen. Globocnik, bliski przyjaciel Himmlera, dobrze znany ze zbrodni dokonanych w Polsce, został głównodowodzącym wojskami SS i policji.

Po okupowaniu Polski, Globocnik został skierowany do Lublina. Tam kierował „Operacją Reinhard”, nazwaną tak „na cześć” szefa SS i SD — zbrodniarza wojennego Reinharda Heydricha, zastępcę „protektora Czech i Moraw”, zastrzelonego w 1942 roku przez czechosłowackich partyzantów. „Operacja Reinhard” oznaczała fizyczną zagładę dziesiątków tysięcy ludzi w obozach śmierci w Bergen-Balsen, Sobiborze, Treblince, Majdanku, Chełmnie. Globocnik przybył do Triestu wraz ze swoją „ekipą”, z którą wymordował w Polsce ponad dwa miliony ludzi.

Wśród oprawców z „ekipy” Globocnika wyróżniał się niejaki Christian Wirt, indywidualnie wyjątkowo złośliwy. Wirt miał na sumieniu niezliczoną ilość niewinnych ofiar, a w ich

liczbie chorych umyślowo i inwalidów, których kazał wymordować we wrześniu 1939 roku. Z jego inicjatywy w Brandeburgu i Herthimie uruchomiono tzw. „instytut do spraw eutanazji”, funkcjonując aż do sierpnia 1941 roku, kiedy to czasowo zawieszono jego działalność wskutek protestów miejscowego społeczeństwa i władz kościelnych. Wirt i jego współpracownicy, na polecenie RSHA (Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy) zostali skierowani do Lublina, żeby „pomóc Globocnikowi w dokonywaniu masowych mordów w obozach koncentracyjnych. To właśnie on był inicjatorem zorganizowania sławetnych Sonderkommando w obozach śmierci.

się przeżył ten koszmar. Wszystko co widział i przeżył, zamieścił w książce. Oto niektóre fragmenty z tego opisu hitlerowskiego obozu śmierci zamieszczone w mediolańskim miesięczniku „Storia Illustrata”:

„Aresztowano mnie w Triescie, w środę 13 lipca 1944 roku. Zostałem przewieziony do San Sabbe, gdzie przy obozowej bramie czekał na mnie donosiiciel, żeby potwierdzić moją tożsamość. Luszczyzna ryżu w San Sabbe jest ogromnym kompleksem gmachów. Wielkie sale z drewnianymi sufity. Krematoria, w których Niemcy palili ciała swoich ofiar. SS-mani przekształcili San Sabbe w przedsiónek piekła dla więźniów przeznaczonych do wywiezienia do innych

Kobięci głos z drugiej strony mojej celi:

— Tutaj każdej nocy kogoś zabijają. Wyprowadzają ich na podwórce i zabijają wystrzałem w tył głowy. Po każdym wystrzale wyją psy. U-słyszysz je tej nocy. Może będą wyć i po mnie, a może po twoim sąsiedzie. Od tygodnia, jak tu siedzę, słyszałem śmierć trzydziestu ludzi. Wszyscy partyzanci...

Nastaje świt i przez otwór w drzwiach sęczy się przyćmione, szare światło. Ktoś przechodzi z wiadrami. Proszę o wodę. Żadnej odpowiedzi. Proszę głośniejszym głosem. W otwór drzwi zbliżają się kroki. W otwór wsuwa się lufa karabinu, która nieomal dotyka mego czoła. Wściekły głos każe mi się „zamknąć”. Milknę...

Po upływie może godziny otwierają się drzwi i żołnierz podaje mi kubek z „kawą” — gorzką i rozcieńczoną wodę. Następnie prowadzi mnie do sali na IV piętrze. Zastaję tam około czterdziestu osób, mężczyzn i kobiet. Towarzyście niedoły. Pomieszanie brudne, wszędzie gruba warstwa kurzu. Przy jednej ścianie przyce dla kobiet przy drugiej — dla mężczyzn. Wśród aresztowanych dostrzegam kilku moich znajomych. Otarzają mnie i wypytują o wiadomości „stamtąd”, o moje aresztowanie... W San Sabbe trzeba było ciężko pracować, ponaglała pałka i pistolet. Kiedy ogłaszano alarm przeciwlotniczy, strażnik zamykał nasze drzwi na klucz. Któregoś dnia, o godzinie 11-tej wieczorem, weszli do naszej sali żołnierze. Wszyscy więźniowie już spali. Żołnierz obudził dwóch mężczyzn i trzy kobiety i kazał im iść za nim. Powiedział nam, że chodzi o wykonanie pilnej pracy i że powrócą za dwadzieścia minut. Ale wkrótce usłyszeliśmy wystrzały i wycie psów. Naszych nieszczęśliwych towarzyszy nikt już więcej nie widział...

Christian Wirt był pierwszym spośród oprawców „Wybrzeża Adriatyckiego”, którego spotkała zasłużona kara: w maju 1944 roku kula jugosłowiańskiego partyzanta położyła kres jego krwawej „karierze”. Globocnik wierzył w potęgę alpejskich umocnień. Kiedy hitlerowskie Niemcy legły w gruzach, Globocnik postanowił ukryć się na ostatniej linii obrony. Ale nie istniały już ani umocnienia, ani ich obrońcy. Karyntię zajęli Anglicy. Globocnik ukrywał się do końca czerwca 1945 roku, aż w końcu wykryto go w Wallesse. Otrul się, żeby nie wpaść w ręce brytyjskiego patrolu. Tak zginął kat z Lublina. Gauliter Reiner został aresztowany w Karyntii, przekazany rądomi Jugosławii i w lipcu 1947 roku, na procesie w Lublanie, skazany na śmierć i rozstrzelany.

Obecnie w Triescie toczy się śledztwo w sprawie oprawców obozu śmierci San Sabbe, których nazwiska udało się ustalić. Są to: Dietrich Allers, adwokat z Frankfurtu, skazany już przez sąd we Frankfurcie na 8 lat więzienia za przestępstwa dokonane w Triescie, Gottbild Gering, Josef Oberhauser i Otto Stadi. W sumie ośmiu zbrodniarzy spośród 281 gestapowców i jedenastu tysięcy SS-manów sięjących śmierć na terytorium Wybrzeża Adriatyckiego...

JERZY CZECH



Ale powróćmy do Globocnika. Lotar Globocnik, rodem z Karyntii, doskonale znał Triest, gdzie spędził dzieciństwo i skąd w 1918 roku wyjechał do Austrii. Po przyjeździe do Triestu Globocnik wybrał na obóz śmierci luszczyznę ryżu fabryki San Sabbe ze względu na „korzystną” lokalizację w mieście. Wybudowano krematorium z wysokim kominem. Specjaliści od masowej zagłady ludzi nie potrzebowali wiele czasu, żeby obóz zorganizować szybko i sprawnie. W październiku 1943 roku, w dzień żydowskiego święta religijnego, przeprowadzono w Triescie pierwszą obławę wśród tamtejszej ludności żydowskiej, a w ślad za nią nastąpiły dalsze na całym terytorium tzw. Wybrzeża Adriatyckiego. Jednocześnie rozpoczęto przesładowania antyfaszystów. W Triescie bowiem powstał Komitet Wyzwolenia Narodowego, w skład którego weszli m.in. przedstawiciele Włoskiej Partii Komunistycznej i Włoskiej Partii Socjalistycznej. 30 grudnia Niemcy aresztowali wszystkich członków Komitetu, poddali ich torturom i wtręśli do obozu koncentracyjnego.

Oboz w San Sabbe wysadzili hitlerowcy w powietrze, pragnąc w ten sposób zatrzeć ślady swych przestępstw. Mimo to zbrodnie dokonane w obozie, które Globocnik i Reiner chcieli ukryć przed światem, ujrzeli światło dzienne. Znalaziono worki z popiołami, pozostałe po spalonych ofiarach. Świadkowie opowiadali, iż każdego dnia wysypywano do morza dwa worki popiołów. Na ścianach maleńkich cel wykryto i odczytano niezliczone napisy, wydrapane paznokciami w tynku. Napisy te oddają tragiczne losy więźniów San Sabbe. Jednemu z nich, przewiezionemu później do obozu w Oświęcimiu, udało

się powrócić do Globocnika. W wielkim garażu, na podwórku obozu, wybudowano bardzo wąskie i ciasne cele, tzw. bunkry. Ściany bunkrów były pokryte grubą warstwą betonu. Zamiast łóżek — wąskie deski. W ciężkich drzwiach widniał niewielki otwór do wentylacji. W takim bunkrze nawet człowiek średniego wzrostu nie mógł się wyprostować. Chcąc nie chcąc trzeba było leżeć na desce, a oślepiając światło lampy boleśnie raziło oczy.

Badał mnie kapitan SS. Interesowało go, dlaczego opuściłem Triest po przybyciu tutaj Niemców.

Odpowiedziałem, że nigdy nie zrobiłem nikomu niczego złego, że nie byłem członkiem partii faszystowskiej i że zupełnie nie rozumiem, dlaczego mnie aresztowano.

Po wyzwiskach pod adresem Żydów, których „obowiązkowo należy wszystkich zgładzić” kapitan kazał strażnikowi odprowadzić mnie do bunkra.

— Posiedziś w tej dziurze tylko jedną noc — powiedział strażnik, wychodząc mnie do celi. W jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju litości, a może zawodu. Powiedział, że udało mi się. Wszystkich więźniów, których odprowadzano do bunkra, najpierw bito, ale mnie ominęły cięgi. Udało mi się jeszcze raz: znalazłem na desce paczkę papierosów i zapalki, pozostałone nie wiem przez kogo. Papierosy pomogły mi jakoś przetrwać tę noc. Gdy tylko żołnierz odszedł, usłyszałem głosy. Jeden należał do mężczyzny z sąsiedniej celi:

— Minęło już czterdzieści dni, jak pogrzebano mnie żywcem. Trudno tu oddychać, męczy mnie pragnienie. Może rozstrzelają mnie już dziś w nocy...

„POCZĄTEK I KONTYNUACJA”

Spotkanie Leonida Breżniewa z Geraldem Fordem we Władystoku nie schodzi z łamów prasy światowej. Mimo iż radziecko-amerykańskie spotkania na szczytach przestały być sensacją nie znaczy to wcale, że dialogi owe, przywódców dwóch największych mocarstw świata przestały być ciekawe i ważne. O skali zainteresowania na przykład w USA rozmowami w rejonie Władystoku może świadczyć chociażby głośno wyrażane niezadowolenie prawie czterystu dziennikarzy amerykańskich, z których tylko czterdziestu uzyskało zezwolenie na towarzyszenie prezydentowi Fordowi w jego podróży do Związku Radzieckiego. Tylko czterdziestu każdej z układających się stron, gdyż tak przewidywały wstępne decyzje.

Rozmowy we Władystoku odbywały się w formie spotkań przywódców obu tych mocarstw. Protokół ograniczono do niezbędnego minimum eliminując całkowicie, towarzyszące zazwyczaj tego rodzaju wyzutom — zwiedzanie kraju, spotkania z załogami dużych obiektów gospodarczych itp. To spotkanie miało charakter wybitnie roboczy.

Oceniając treść wspólnego komunikatu opublikowanego po zakończeniu rozmów, można stwierdzić, iż jest to nie tylko deklaracja zasad regulujących dalszą współpracę, służącą nie

tylko rozszerzeniu współdziałania obu państw, ale wazywający znaczenie ZSRR i USA, umocnieniu pokoju światowego i odprężeniu stosunków międzynarodowych, w czym zainteresowane są żywotnie wszystkie narody.

W czasie pożegnального obiadu Leonid Breżniew powiedział m. in.: „Jak wiadomo trzeba jeszcze wiele uczynić również po to, żeby naprawdę oczyścić drogę dla rozwoju równoprawnych stosunków handlowo-gospodarczych między obu krajami. Jest to tym bardziej konieczne, że nie chodzi po prostu o wzajemne korzyści materialne, lecz o stworzenie swego rodzaju podstawy materialnej do trwałej poprawy stosunków radziecko-amerykańskich jako całości”.

Sens tej wypowiedzi jest jednoznaczny. Jak wiadomo nie wszystkim wpływowym politykom w USA podoba się rozwój współpracy radziecko-amerykańskiej. Do nich należy między innymi senator Jackson, wytrwały zwolennik „twardego kursu” i przeciwnik przyznania Związkowi Radzieckiemu klauzuli najwyższego uprzywilejowania w dziedzinie eksportu towarów do USA. Działalność ich spotyka się jednak z coraz znaczącym sprzeciwem większości polityków amerykańskich, reprezentantów zarówno partii demokratycznej jak i republikańskiej. Ale — jak to powiedział senator Clairborne Pell, „zwolennicy

pokojuowej współpracy muszą być czujni, gdyż inaczej proces odprężenia może zostać podgrzyżony”.

Prezydent Gerald Ford wznosząc toast powiedział we Władystoku: „W moim pierwszym wystąpieniu w Kongresie Stanów Zjednoczonych obojętnie odniosłem się do ograniczenia amerykańskiej roli w przyszłości — pozostanie wierna polityce, którą prowadziła w ciągu ostatnich trzech lat. Panie Sekretarzu Generalny, osobiście potwierdzam teraz tę obietnicę”.

Problemem, który bardzo daleko, bo w skali całego globu, wykracza poza dwustronne stosunki Stany Zjednoczone — Związek Radziecki, była i jest kwestia ograniczenia broni nuklearnej. Nie od dziś wzbudza ona jeszcze wiele kontrowersji i przeszkód. Tak było również we Władystoku. Jak wynika z relacji zamieszczonej w poniedziałkowym wydaniu „Prawdy” rozmowy na temat ofensywnych broni strategicznych były skomplikowane i w pierwszym dniu spotkania trwały aż do północy. Do impasu jednak nie doszło. „I ten właśnie fakt — stwierdza „Prawda” — że udało się rozmowy uwieńczyć powodzeniem, że udało się wypracować odpowiednie wspólne radziecko-amerykańskie porozumienie, jest ważnym świadectwem dobrej woli obu stron, świadectwem ich szczerego dążenia do realizacji wytyczonego celu — powstrzymania wyścigu zbrojeń nuklearnych, wcielania w życie możliwości wolnej konfrontacji między naszymi krajami”.

Z opublikowanego oświadczenia w tej sprawie wynika, iż ZSRR i Ameryka uczyniły dalszy krok naprzód w dziedzinie ograniczenia własnych zasobów i potencjałów nuklearnych. Potwierdzenie zamiaru zawarcia nowego porozumienia o ograniczeniu strategicznych zbrojeń ofensywnych na okres do 1985 roku brzmi bardzo optymistycznie. Prawdopodobnie porozumienie to zostanie podpisane już w roku przyszłym.

Sporą dozę optymizmu zawiera również oświadczenie prezydenta złożone po powrocie do Stanów. Gerald Ford powiedział między innymi: „Z zadowoleniem informuję, że moje spotkanie z Leonidem Breżniewem przebiegało dobrze. Stanowią one początek i kontynuację”. I dalej: „Obaj jak sądzę opuściliśmy Władystok z uczuciem wzajemnego szacunku i wspólną wolą kontynuowania poszukiwań pokoju”.

Po powrocie Forda do USA wszyscy członkowie jego ekipy stwierdzali zgodnie że porozumienie osiągnięte we Władystoku jest jednym z najważniejszych porozumień od zakończenia drugiej wojny światowej. Komentatorzy prasowi podkreślają że Ford i Breżniew okazali się doskonałymi, pasującymi do siebie partnerami, a jeden z nich stwierdził z nieukrywanym entuzjazmem: „Działali oni wspaniale. Są to twardzi ludzie i rasowi politycy. Rozmowy ich były rzeczywiście twarde i konkretne”.

JAN T. JANICKI

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

LÓDZKIE DRUKI

Zawsze z dużą radością i zainteresowaniem przyjmuję fakt ukazywania się różnego rodzaju druków — broszur, informatorów, będących dokumentacyjnym zapisem kultury Łodzi. Z reguły są to druki niejako wewnętrzne, rzadko docierają dalej niż do wąskiego kręgu zainteresowanych, ale ich wartość dokumentacyjna jest ogromna.

Pisałem kiedyś o bardzo cennych „Listach bibliofilskich” wydawanych przez Łódzkie Towarzystwo Przyjaciół Książki, a redagowanych przez Michała Kunę, wybitnego bibliofila i znawcę książki. Pisałem też kiedyś o bardzo pożytecznej i potrzebnej publikacji „Biblioteki Łodzi”, wydanej także przez LTPK oraz Stowarzyszenie Bibliolekarszy Polskich, a opracowanej przez zespół pod redakcją Cecylii Dumina-Horkawicz.

Obie te publikacje ukazały się w małych nakładach rzędu 300 egzemplarzy i właściwie trudno mi o to do kogokolwiek pretenzje, bowiem druki te mają

większą wartość dokumentacyjną niż informacyjną. Ważne więc, że zostały wydane, że są dostępne dla zainteresowanych dziś i za lat — powiedzmy — sto.

Ostatnio ukazały się dwa, równie informacyjno-dokumentacyjne druki o kulturze Łodzi, z tym wszakże zastrzeżeniem, iż są to publikacje o przeważnie wartości informacyjnej. I tu szkoda, że nie dotarły one do szerszych kręgów odbiorców.

Mam na myśli album wydany przez redakcję Łódzkiego Informatora Kulturalnego „Kalejdoskop”. Album wydany jest luksusowo, na kredowym papierze, liczy ponad 100 stron, ma barwne wkładki...

Jest tam sporo sylwetek łódzkich twórców — aktorów, muzyków, pisarzy, plastyków, jest sporo ciekawych informacji o ruchu amatorskim, o muzeach — słowem taka publikacja powinna trafić do szkół, do domów kultury, do bibliotek... Niestety, nie trafiła. Nie trafiła także do zwykłego odbiorcy. Wiem, że wy-

dawca część nakładu przeznaczył do rozpowszechnienia w Łodzi, bo przecież album był w zasadzie przeznaczony dla Warszawy jako publikacja „Panoramy 30-lecia”.

Niestety, mimo usilnych poszukiwań nie znalazłem albumu w księgarniach. Nieoficjalnie natomiast dowiedziałem się, że publikacja nie miała wydrukowanej ceny, w związku z czym nie można jej było rozprowadzać w sieci „Ruch”. Ile w tym prawdy, nie wiadomo. Fakt jest jednak, że bardzo potrzebna i dobrze zredagowana publikacja nie trafiła do Łodzi.

Powiem ktoś, że sprawa jest drobna i nie warta rozdzierania szat, zgoda — sprawa jest drobna, ale przecież nie ma w Łodzi zbyt wielu popularnych wydawnictw o środowiskach artystycznych i naukowych naszego miasta. Skoro więc przy okazji „Panoramy” zrodziła się szansa wydania takiego druku, szkoda, że właśnie w Łodzi przeszedł on bez echa.

I druga sprawa z tej samej beczki. Ołóg Biblioteka im. Ludwika Waryńskiego wydała informator „Pisarze Łodzi i ich książki — 1945—1974”. Rzecz drukowana aż w... Kutnie, bo widać w Łodzi nikt wydawcom nie mógł

zapewnić odpowiedniego terminu, co jest zresztą zupełnie osobną sprawą. Ten druk trafił, mam nadzieję, do bibliotek i będzie na pewno pomocny w pracy kulturalno-oświatowej tych placówek. Szkoda jednak, że trafił tylko do bibliotek, choć działalność oświatowo-oświatowa prowadzi całkiem wiele innych placówek.

Druk Biblioteki im. Waryńskiego jest szczególnie cenny, zwłaszcza, że Łódź jest jednym z nielicznych miast w Polsce, które podobnego informatora nie ma. Literackie informatory ma Gdańsk i Poznań, Śląsk i Zielona Góra... Oczywiście stołeczni felietoniści kpią sobie z tych „prowin-cjonalnych” leksykonów, ale przecież wiemy dobrze, że tego typu druki informacyjne są potrzebne.

Ostatnio dowiedziałem się, że także Biblioteka im. L. Waryńskiego opracowała ciekawą, dokumentacyjną broszurę notującą łódzką tematykę w literaturze. Ale o tym ciekawym opracowaniu opowiem już w następnym felietonie.

WIDOK

LEWYM OKIEM

NIE GOLIĆ LASÓW

„Polityka” opublikowała niedawno znakomity artykuł o niefrasobliwym manipulowaniu przepisami, a nawet o wielokrotnym lekceważeniu przepisów prawnych przez instytucje w stosunku do obywateli. Dużo tam było mowy o Poczetowej Kasie Oszczędności, do czego asumptem była sprawa mianowicie taka: pewnemu obywatelowi skradziono książeczki PKO. Poszkodowany zawiadomił o tym instytucję, ale zdołał zdążyć i łódzka kasierka PKO oświadczyła, że trzeba było pilnować książeczki i że bank niczego mu nie jest winien. Oczywiście — idąc na limit takiego rozumowania, zamiast pilnować książeczki lepiej jest samemu pilnować pieniądze i wcale ich nie nosić do PKO. Przynajmniej ma się je w nieustannej gotowości, bez chodzenia na pocztę i stania w kolejkach.

Obywatel posiadał więc do sadu, który uznał, że przepade pieniądze powinny stanowić stratę pół na pół: banku i klienta. Autor artykułu w „Polityce” wywodzi, że takie orzeczenie jest sprzeczne z ustawą i w ogóle nie oparte na niczym.

Reakcja na artykuł ze strony PKO była nieprzeciętnie szybka. Chociaż zaraz: czy to była reakcja PKO? Wiele instytucji zabrania swoim pracownikom kontaktowania się z dziennikarzami, udzielania im informacji, inaczej mówiąc: identyfikowania się pracownika z instytucją, przemawiania w jej imieniu. Tym razem jednak w imieniu PKO nie zabrala głosu dyrektorka, tylko właśnie skromny pracownik, kasjer, który rozczulony krytycznymi uwagami prasy — dowodzi jednocześnie, że obciążenie PKO odpowiedzialnością za wypadki, jakie na przykład kradzieży książeczek jest... niemożliwe; przecież każdy posiadacz książeczki może podjąć większą sumę, a następnego dnia iść i zameldować, że mu wczoraj skradziono książeczki i domagać się ponowne uiszczenia całej pierwotnej sumy wkładów.

Pomniam już to, że takiego młodszaanta można by natychmiast zabrać za reki, pokazując mu jego własny podpis na wczorajszym raporcie kwartowym, podjęciu pieniędzy. Nie jest łatwo wywrzeć się własnego podpisu, zresztą nie bedziemy się

w to zagłębiać. Ważniejszy wydaje mi się niepokojący obaw panującego leku przed złodziejem, kanciarzem, oszustem. Ze strachu przed nim ustawia się skomplikowane i przytłaczające procedury, które najprostsze sprawy, ze strachu przed nim przestaje się honorować. Ręczyłbym, że znowu przynosiła mi się owa anegdota o leńku, który włożył w kieszeń niemożliwie działające kluczonik.

Kasjer — korespondent „Polityki” skarży się, jak wiele czynności musiaby spełnić, żeby uniknąć odpowiedzialności pieniędzy osobie nie upoważnionej, to znaczy złodziejowi. Te czynności są określone regulaminem i zakresem funkcji kasjera, tylko że on nie ma warunków po temu, aby je wykonywać. Nie mamy powodu wątpić w informacje kasjera, jest na pewno bardzo zapracowanym człowiekiem, nie najłatwiej wyobrazić sobie, jak mógłby być i jeżeli władze PKO wiedzą o tym — nie tworzą kasjerowi właściwych warunków pracy, tylko wbrew prawu uchylają się od odpowiedzialności wobec klienta, do którego wychodzi na to, że klient jest winien temu, że kasjer nie może pracować jak należy i dlatego klient musi ponosić ryzyko utraty pieniędzy. Horzonia! —

Pomniam więc ludziom i wierzę kasjerowi, że jest tak jak jest, to

znaczy że nie ma mowy o spraw-dzeniu tożsamości i innych o-ostrożeń przy wypłacie pieniędzy, czy nie należy wycofać się z umowy z PKO i zlikwidować swoich dwóch książeczek. Boję się tylko, że władze tej instytucji nie odpowiedział „nie” i podawał cały szereg przykładów ni- w- r- z- d- y- n- ych poczynających środków i malutkich „orzędów”. Nie wierzę napisom w lokalu, głoszącym, że „za rezerwy pozostawione w szafce zakładu nie odpowiada”. To są napisy bezprawne... Nie wierzę, że dyrektorka Tota-łotki nie odpowiada za nie, gdy na wasz numer padnie milion, a okaza się, że agent nie dostarczył na czas waszego kuponu do centrali. Taka sprawa się zdarzyła i jest właśnie w toku.

Tylko — zamiast zmuszać obywateli do wiecznego ciągnięcia się po sądach i żmudnego dochodzenia swoich nieproszonych praw, czy nie należałoby raczej podciągnąć władzy wszystkich, którzy bezprawny i obwiszeniem starają się z kory zabezpieczyć przed jakimkolwiek ryzykiem własnego działania?

ŚWIEK.

KSIĄŻKA

PRZESZŁOŚĆ REGIONU

Rokrocznie Łódzkie Towarzystwo Historyczne obdarowuje swych czytelników kolejnym tomem studiów nad dziejami naszego regionu. **Ročník XIX**, który ukazał się niedawno, w całości niemal prezentuje wyniki badań nad przemianami trzydziestolecia w aglomeracji łódzkiej.

Zymunt Pietrzak przedstawia rozwój organizacyjny PPR w Łodzi w pierwszym półroczu po wywołaniu, dostarczając interesujący materiał fotograficzny tym wszystkim, których pasją jest badanie struktur społecznych. **Sabina Maccaj** i **Bogumił Sępiek** porządkują naszą wiedzę o referendum ludowym w Łodzi i pierwszych wyborach do Sejmu Ustawodawczego. Interesujących refleksji dostarczą trzy szkice historyczne, traktujące o najważniejszych przemianach na Ziemi Skierniewickiej w latach 1945—1948. Początki kształtowania się

władzy ludowej w Skierniewic-ki omawia **Janusz Skodlarski**, rozwój Polskiej Partii Robotniczej i jej wpływ na Ziemi Skierniewickiej analizuje **Stefan Fijałkowski**, natomiast **Alfred Kusiak** na podstawie licznych dokumentów archiwalnych daje zrekonstruowany przez siebie obraz parciającej majątkowo obszarowej i kształtowania się w wyniku tego procesu nowego oblicza w skierniewickiej. Ekonomistów i działaczy społecznych mogą zainteresować prace wzmiankowanego w Łodzi w latach 1945—1948, którym poświęca swoją uwagę **Halina Wisniewska-Bieniek**, działaczy zaś administracji państwowej — struktur Zarządu Miejskiego w Łodzi w latach 1945—1950, którą przedstawia **Julia Wasiak**.

Bolesław Pelka i **Czesława Ohryzko-Włodarska** przedstawiają kompendium wiedzy o Łódzkim

Archiwum Państwowym i jego zasobach.

Cezarego Jabłońskiego, „Życie polityczne powiatu brzeskiego w latach 1945—1948” jest powściągliwa, a zarazem wyczerpująca relacja młodego historyka, posiadającego nieczęsto spotykany dar operowania bogactwem u-dokumentowanych syntez historycznych, przedstawionych klarownym językiem, dostępnym dla specjalisty i szerokiego grona czytelników.

Osobno wypadaloby zastanowić się nad sprawozdaniem z obozu naukowego studentek kola historycznego Uniwersytetu w Kutnie (sierpień 1973). Był to już siódmy obóz studentek poświęcony badaniom ruchu oporu w latach 1939—1945 i kształtowaniu się władzy ludowej w województwie łódzkim. Pierwszy obóz miał miejsce w roku 1967 (!) w Godzianowie (pow. skierniewicki). Uczestnicy pierwszych studenckich obozów historyków dawno opuścili mury uniwersytetu, a pion ich pracy (odnotowanej zaledwie w sprawozdaniach) spokojniutko spoczywa sobie obrastając ochronną warstwą pyłu historii. Jednocześnie nau-

czyciele historii, wychowania obywatelskiego, młodzież szkolna i działacze frontu ideologicznego skłania się nad materiałami do dzieł ruchu oporu i kształtowania się socjalistycznej Polski na Ziemi Łódzkiej. Paradozę? Oczywiście. Może by jednak raz jeszcze podjąć próby przelaminowania tej nieuchłonnej tradycji. Może zjednoczyć wysiłki Łódzkiego Towarzystwa Historycznego, Uniwersytetu Łódzkiego, WSN, KC PZPR (gdzie powstało sporo prac na temat dzieł najnowszyc regionu łódzkiego) oraz towarzystw regionalnych i historyków rozproszonych po Ziemi Łódzkiej? Może zintegrować w wszystkie rozproszone inicjatywy i przystąpić do wydawania piosny prac historycznych. Myślę, że w przygotowaniu tak pojętej serii najwięcej do powiedzenia mieli by młodzi historycy, pisarze i dziennikarze, pracujący pod kierunkiem doświadczonych starszych kolegów. Myślę, że taka edycja położyłaby także kres pisanu do szuflady prac magisterskich i rozpraw doktorskich.

TADEUSZ DASZKIEWICZ

SPORT

SMUTNY BILANS

Przypominam: LKS od dłuższego już czasu zajmował ostatnią, szóstą pozycję w tabeli I ligi. Jest to pozycja tym bardziej żałowana, że LKS dokumentuje ją 9 zdobytymi punktami, przy 21 straconych, podczas gdy najbliższy sąsiad z tabeli — Poznań ma 11 punktów. Ale — i to jest właśnie brakem zdobytych i straconych znaczenie wyróżnia Poznań: 7:17, LKS — 10:22. Ostatnie miejsce w tabeli I ligi wydaje się być nie do odebrania. Wszystko wskazuje na to, że LKS w wiosennej rundzie „bohaterosko” obroni swoją pozycję w tabeli I w polowie przyszłego roku poźniejszego I ligi.

Smutny to bilans, ale przez długi czas kibiców piłki nożnej utrzymywano w przekonaniu, że w drużynie panuje duch bojowy i na zakończenie sezonu jesienno-piłkarskiego LKS pokazał jeszcze o dotychczas i pokazał. Prasa rodzimna, która przez długie miesiące nawo-

ływała do spokoju, ostatnie sprawa raziła zatykowała zgodnie. „Głos Robotniczy” — „Mecz zapraszczonej szansa”, „Express Ilustrowany” — „Zmarzona szansa”.

Smutny to był mecz i niewątpliwie raził Macek Madej z LOT (poza takim samym brzmieniem nazwiska żadne więcej pokrewieństwa nie łączą mnie z Makiem Madejem), który pytał, co zawodnicy robią na treningach i który ostro krytykował umiędziedzenie piłkarzy LKS. Macek Madej z LOT po raz pierwszy chyba powiedział publicznie to, o czym od dawna mówili się przy okazji piłkarskich przerywy LKS: czas pomysł o zmianie zawodników, czas pomysł o nowej drużynie LKS, która spełniłaby pokładane w niej nadzieje.

Albo skąd wziąć nowych zawodników? Anonimowy dziennikarz „Expressu Ilustrowanego”, odpo-

wiadając na pytanie 74-letniego kibica, nie wymienionego zresztą z imienia, pisze: „W obecnej sytuacji kadrowej, jaka istnieje w LKS, trener nie może pozwolić sobie na żadne właściwe rozszady — nawet wśród najbliższych graczy, ale mających doświadczenie piłkarzy”.

Lany dziennikarz tej samej gazety, podpisujący się dziwnym kryptonimem: „Zk-pu”, stwierdza w tym samym poniedziałkowym numerze „Expressu Ilustrowanego”: „Jeżeli LKS nie posiada w okolicy żony dobrego zawodnika do 1974, względnie go sobie w tym czasie nie wychowa, to na wiosnę może być nie mniej kłopotliwie niż obecnie”.

Musi to być bardzo niedoświadczony sprawozdawca, jeśli uważa, że zawodnika do I ligi można wychować w ciągu międzysezonowej przerywy. Ale okazuje się, że nawet „stymulantem” sprawozdawcy sętołowi nie bardzo wiedzą, co dzieje się na boisku, bo W. LACH, z „GR” uważa, że to Malinowski ze Śląska „postanowił wybiegnąć stylowe długim wykopem piłki w pole”, a ta odbiła od słowy

Grzywacza trafiła do bramki Śląska, podczas gdy „Express Ilustrowany”, piórem wspomnianego „Zk-pu” oraz „Trybuna Ludu”, piórem M. Wojcieckiego, zgodnie utrzymują, że to Kopycki trafił w bramkę Grzywacza i piłka po odbiciu trafiła do bramki Kalinowskiego. W. Lach z „GR” nie też nie pisze o okolicznościach, w jakich piłka trafiła do bramki Janka Tomaszewskiego. Dla W. LACH, Sybil strzelił z podania Kwiatkowskiego. Natomiast woj tamtenitery „Zk-pu” z „Expressu Ilustrowanego” twierdzi, że współautorem tej bramki był Jalocha — bowiem „piłka odbiła się o jego nogi i Tomaszewski zmłynony tym odbiciem spóźnił się o ułamek sekund”.

Smutny i niemal tragiczny jest piłkarski bilans LKS, ale myślę, że ze smutkiem nie powinni spojrzeć sprawozdawcy sportowi na swoje jedynie nawoływania do optymizmu. Nie wiem, kto kogo zawiódł: piłkarze sprawozdawców, czy sprawozdawcy kibiców?

BOGDA MADEJ



JAPONIA

Trzeba przyznać, że skrucha, że nie cierpię na nadmiar publikacji na temat współczesnej Azji. Z drugiej jednak strony zainteresowanie Azją nie słabnie, choćby dlatego, że stała tam rozgrywać się ważna dla całego świata wydarzenia. Interesujemy się też Japonią, gdyż przemiany, jakie zachodzą w tym kraju stały się już synonimem szybkiego postępu nowoczesności stały się synonimem szybkiego nadrobienia zaległości i dorównywania krajom silniejszym.

Z radością wszyscy, którzy interesują się sprawami Azji, a Japonii w szczególności, przyjmą drugie, ale też aktualne wydanie książki Roberta Guillaína — „Japonia, trzecie mocarstwo”. Autor, korespondent paryski „Le Monde”, zna doskonale Japonię, spędził w tym rejonie Azji przeszło 10 lat, ożenił się z Japonką, doskonale włada językiem japońskim. Sprawy tego kraju zna nie tylko z dokumentów, daje więc wnikliwy obraz tego, co dzieje się w Japonii.

Jednakże książka Roberta Guillaína jest kulturalnie tendencyjna, jest apologia obroną przemian dokonujących się w Japonii. Dla dziennikarza „Le Monde” — burzącego liberala — „eud gospodarczy”, jaki dokonał się w tym kraju, stanowi alibi dla kapitalizmu. Ogromny rozwój Japonii dokonał się, mimo coraz silniej ujawniających się sprzeczności kapitalizmu. Z tymi tezami Roberta Guillaína polemizuje w „Postoiw” Jerzy Leżmian.

Robert Guillaín — „Japonia, trzecie mocarstwo”, Książka i Wiedza, Warszawa — 1974, str. 372, cena: 36 zł.

CZŁOWIEK I REWOLUCJA TECHNICZNA

Rewolucja naukowo-techniczna wywołuje szerokie zainteresowanie nie tylko naukowców. Do tej pory nie mieliśmy wielu publikacji na ten temat, co nie znaczyło, że wielu specjalistów różnych dziedzin nauk społecznych nie interesowało się tymi problemami. Ich zainteresowania i badania naukowe zaczynają owocować publikacjami. Jedną z nich jest zbiór szkiców, powstałych w wyniku konferencji naukowej, zorganizowanej przez Uniwersytet Śląski i Wojewódzki Ośrodek Propagandy Partyniej w Katowicach. Tematem konferencji był: „Człowiek — socjalizm — rewolucja naukowo-techniczna” i taki tytuł nosi zbiór prac, będących owocem tej konferencji.

W zbiorze prezentowane są różnorodne zagadnienia: postęp w dziedzinie prezentowane są różnorodne zagadnienia: postęp w dziedzinie i jego wpływ na stosunki międzynarodowe, rola partii w stosunku do zachodzących w społeczeństwach procesów społecznych, problemy wychowania i kształtowania osobowości w warunkach rewolucji naukowo-technicznej, oświata i walka ideologiczna, a także przewidywania naukowców na temat nowych funkcji państwa, prawa i administracji w dobie rewolucji naukowo-technicznej.

Janusz Koleczyński — redaktor zbioru — wyraża we wstępie nadzieję, że zbiór szkiców poświęconych problemom rewolucji naukowo-technicznej pozwoli czytelnikom, interesującym się tymi sprawami, znaleźć odpowiedzi na wiele pytań, jakie im się nasuwają. Wzrost i rozwój techniczny dokonujących się przemian, których celem jest ugruntuowanie socjalizmu we współczesnym świecie.

„Człowiek, socjalizm, rewolucja naukowo-techniczna” — Książka i Wiedza, Warszawa 1974, str. 396, cena: 30 zł.

DROGA DO DOSKONAŁOŚCI?

Przeletnie Szwed wierzę, że droga do doskonałości prowadzi przez zaspokajanie ludzkich potrzeb, dzięki stałemu rozwojowi techniki. Szwedzi szybko nie inne nady modernizują przemysł, administrację, oświatę. To wszystko prawda, ale też obserwatorzy zadają sobie często pytanie: Józef Koźielecki — „Szwecja po szwedzku”, PIW Warszawa — 1974, str. 130, cena: 18 zł.

Docent Józef Koźielecki jest kierownikiem zespołu badań nad podejmowaniem decyzji w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego. Zrozumiałe, że jego zainteresowania ograniczyły się przede wszystkim do spraw nauki, oświaty, organizacji i życia społecznego. Niemniej „Szwecja po szwedzku” stanowi cenna pozycję o współczesnym świecie kapitalistycznym i jest wartościowym zbiorem refleksji na temat zachodzących w tym świecie procesów.

Józef Koźielecki — „Szwecja po szwedzku”, PIW Warszawa — 1974, str. 130, cena: 18 zł.

KSIĘGA ZAMACHÓW

„Ile razy pada słowo zamachowiec — pisze we wstępie do „Drużej księgi zamachów” jej autor, Władysław B. Pawlak — kojarzy mi się ono z wyobrażeniem wniemyzionym jeszcze z lektury szkolnej. Kiedy zetknąłem się po raz pierwszy z postacią błędnego spiskowca, skrywanego w zamachu szyltet, którym przebiega serce tyrana”. Ale to już inne czasy i dziś zamachowcy nie używają szyltetów. Zresztą i pojęcie zamachu nabrało nieco innego sensu. Siad też w książce Władysława B. Pawlaka „bohaterami” są nie konkretni zamachowcy, owi spiskowcy, ukrywający w polach czarnej peleryny ostrze szyltetu, uciekający polityczne i społeczne, które rodzą zamachy, które zmuszają konkretnych ludzi do gwałtu na innych, aby zaważać narodem i krajami.

Władysław B. Pawlak interesuje przede wszystkim — jak sam pisze — „spłoty namieszności, polityczne i psychologiczne motywacje, które przyczyniają się do powstania zamachy. Szuka on mechanizmów i dźwigni poruszających umysł i ręce zamachowców. Dlatego też w „Drużej księce zamachów” można znaleźć dzieje śmierci Róży Luksemburg i Karola Liebknechta, proces przeciwko Niccolò Sacco i Bartolomeo Vanzetti, historie podpalenia Reichstagu, dzieje tragedii w Gibraltarze, kiedy to zginął tragicznie generał Władysław Sikorski, a także bardziej nam współczesne zamachy.

„Druża księga zamachów” jest książką interesującą, do-brze udokumentowaną, której lektura pozwoli czytelnikowi na wyrobienie sobie pojęcia o współczesnych mechanizmach działających w krajach, gdzie do głosu dochodzą siły reakcyjne, usiłujące terrorem podporządkować sobie naród.

Władysław B. Pawlak — „Druża księga zamachów”, Iskry, Warszawa — 1974, str. 330, cena: 30 zł.

CO ZROBIĆ ZE SZKOŁĄ?

Paradozę naszych czasów polega na tym, że mamy całą świadomość tego, iż nasz pynole i nasze córki, które dziś chodzą do szkoły wejdą w okres samodzielnego działania pod koniec stulecia, czyli na przełomie wieku XX i XXI. Czynimy wszystko, aby rewolucja naukowo-techniczna doprowadziła w perspektywie 25 lat do radykalnych zmian warunków życia człowieka. Z drugiej strony mamy świadomość, że szkoła z racji swego charakteru, z racji dążeń i spraw-dzalności wiedzy przyswajanej uczniom i z racji uniwersalności musi być instytucją w jakimś stopniu konserwatywną. Historia naszej oświaty ostatnich dziesięcioleci lat jest przecież nieustanna walką z tymi opozycjami, co jest zrobić ze szkołą?

Na pytania te próbuje odpowiedzieć Torsten Husen w książce „Oświata i wychowanie w roku 2000”. Autor — wybitny pedagog i ekspert UNESCO do spraw oświaty i wychowania — próbuje scharakteryzować kierunki rozwoju współczesnej oświaty aż do końca bieżącego stulecia, określić program wychowywania w czasach postępu nauki i techniki, a także rysuje sylwetkę nauczyciela przyszłości. W swojej publikacji uzasadnia też potrzebę badań futurologicznych nad oświatą i wychowaniem.

L.W.

Zadowolenie z życia trwa dopóki, dopóki nie zapragniemy zmienić go na lepsze: warunkiem satysfakcji jest delektowanie się tym, co mamy, nie zaś pożądanie tego, co moglibyśmy mieć. Chęć posiadania, tak sprytnie wszczepiona nam przez producentów i handlowców jest w gruncie rzeczy bakcylem pozabawiającym nas zadowolenia. Mężowie nigdy nie zarabiają dostatecznie dużo, kobiety nigdy nie są dość piękne, garderoba nie jest dostatecznie modna, w mieszkaniu nigdy nie ma dość mebli, itd., itd.

Istnieje granica, kiedy każdy z nas powinien sobie powiedzieć: „Dostę. Wystarczy mi tego, co mam, a ode mnie tylko zależy jaki z tego zrobię użytk”.

* * *

Niewielu z nas potrafi beznamiętnie i bezstronnie wysłuchać ludzi, którzy się z nami nie zgadzają. Chętnie natomiast słuchamy wszystkiego, co potwierdza nasze opinie. Oczywiście jest jednak potrzeba wysłuchiwania także opinii sprzecznych z naszymi.

Kiedy Darwin pracował nad teorią ewolucji, notował w specjalnym zeszycie każdy szczegół, który zdawał się zaprzeczać jego teorię. Jak pisał później —

WARTO O TYM WIEDZIEĆ

„Gdybym tego nie robił, zapomniałbym zająć się dowodami podważającymi moją teorię, gdyż umysł zapamiętuje przede wszystkim to, co jest dla nas najprzyjemniejsze”.

* * *

Doświadczony mężczyzna poucza młodego chłopca.

— Jednej rzeczy musisz się nauczyć: nigdy nie wolno ci próżnować, gdy ktokolwiek na ciebie patrzy. Ludzie energiczni dostają szalu, jeśli widzą, że inni niczym się nie przejmują. I w tym jest cały kłopot z kobietami: każdą kobietę zalewa zia krew, jeśli widzi mężczyznę znajdującego przyjemność w czymś, co nie jest pracą. Właśnie dlatego wynaleziono wędrowanie — pozwala ono zejść z oczu zapracowanym ludziom. Leniwi mężczyźni są zazwyczaj najlepszymi wędzarkami. Zazwyczaj też dochodzą w końcu do czegoś, bo mają dość czasu, aby odświeżyć swoje myśli i

takich rozważań nie przeprowadzał, polegając przy podejmowaniu decyzji na podświadomości. Uważał on, że wszelkie ważne decyzje dotyczące naszego życia osobistego winny być uzależnione od głębokich wewnętrznych potrzeb naszej osobowości.

* * *

Wydaje się, że rzeczą charakterystyczną wszystkich wielkich twórców jest aura nieokreśloności. Ogólnie uważano, że Einstein był człowiekiem niepraktycznym, nie umiejącym jasno wyrażać. (Wielu uczonych myśli tak do dziś). A jednak prawda jest taka, że wyliczenia Einsteina mają poziom dokładności i adekwatności myśli nieosiągalny dla tych wszystkich, którzy oskarżają go o niepraktyczność.

Kobieta, którą Mozart chciał poślubić stwierdziła po jego śmierci, że odrzuciła go, bo uważała go za postrzeleńca, z którego nic dobrego nie wyrosnie. Wordsworth miał rację, kiedy mówił o Newtonie, że „Jego umysł samotnie buja po nieznanych oceanach myśli”. Człowiek podróżujący po nieznanym morzach musi być z konieczności trochę pozbawiony pewności siebie. Jednakże strzec się powinniśmy raczej tego, kto tej pewności ma nadmiar, kto zawsze ma minę znawcy, minę kogoś zawsze wszystko wiedzącego.

Opracował: B. K.

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



dobrac się do tego, co ważne i istotne.

* * *

Freud twierdził, że podejmując jakąś błąd decyzję zawsze dokładnie rozważał wszystkie za i przeciw. Jednakże w sprawach zasadniczych, takich jak wybór żony czy zawodu, nigdy



Fot. Archiwum

Tuż za południowymi rogatkami Łodzi, przy szosie wiodącej z Rudy do Rzgowa wznosi się spory pagórek otoczony niskim murem. Szczyt jego jeszcze nie tak dawno wieńczył ogromny krzyż, osadzony na potężnym kopcu, wzniesionym z polnych głazów. Wokół kopca ciągnęły się znaczne wzniesienia kamiennymi płytami długie szeregi mogił niemieckich i rosyjskich żołnierzy, poległych w czasie zmagania wojennych w 1914 roku.

Z dawnego cmentarza wojennego pozostały skąpe ślady w postaci kamiennego kopca z napisem „Pro Patria” i nielicznych nagrobków żołnierskich, walających się wśród bujnie rozrostłych drzew i krzewów. To wszystko — co teraz świadczyć może, że pagórek ten kryje szczątki sześciu tysięcy żołnierzy, którzy padli przed sześćdziesięciu laty w toczącej się wówczas wielkiej bitwie o Łódź.

Zanim doszło do wielotygodniowych krwawych walk na przedpolach półmilionowego wówczas miasta, Łódź już zdołała znieść gorzkiego smaku wojny. W okresie kilku miesięcy miasto przechodziło parokrotnie z rąk do rąk. Trzy razy byli tu Rosjanie i dwa razy Niemcy. Kiedy po kolejnym odrocie Niemców pojawili się w Łodzi 28 października żołnierze rosyjscy, mieszkańcy witali ich owacyjnie. We wszystkich świątyniach odbywały się nabożeństwa dziękczynne z powodu ostatecznego — jak sądzono — uwolnienia miasta od Niemców.

Nikt nie przypuszczał, że wkrótce znowu się wszystko odmieni. Przyszły listopad, najtragiczniejszy tamtego roku miesiąc dla Łodzi, w którym powiało nadprawdę zapachem wojny. Wiadomości o polychkach w okolicach miasta, coraz liczniejsze transporty rannych przywlekających do lazaretów Czerwonego Krzyża, zdenerwowanie władz rosyjskich — wszystko to wytworowało atmosferę podniecenia i gorączki wojennej.

Coraz bliższe i silniejsze stawa-

ły się odgłosy dział, coraz częściej ukazywały się na horyzoncie łuny pożarów. Wreszcie 19 listopada wieczorem mieszkańcy Łodzi zostali zaskoczeni gwałtownym bombardowaniem Dworca Fabrycznego i całej linii kolejowej do Kuluszek. Uszkodzony został wówczas most kolejowy nad ul. Widzewską (Kilińskiego); żelazne wiązania zawisły nad jezdnią, tamując ruch kołowy. Skutkiem bombardowania powstała panika, która wzmogła się, gdy po mieście rozmięły się wieści o ostrzeliwaniu artyleryjskim Bałut i Starego Miasta. Noc tej mieszkańcy Łodzi spędzili przeważnie w piwnicach i schronach.

60 LAT TEMU

MIASTO W OGNIU

A tymczasem na przedpolach Łodzi rozpoczynała się wielka bitwa, jedna z najkrwawszych w dziejach pierwszej wojny światowej. Gigantyczne starcie armii niemieckiej z armią rosyjską trwało blisko trzy tygodnie i toczyło się na ogromnym obszarze, sięgającym na wschodzie po Łowicz, Skierniewice i Brzeziny, zaś na zachodzie — po Konstancynów, Szadek i Łask.

Dla ludności Łodzi nastąpił okres tragicznych przeżyć. Miasto bez przerwy było bombardowane, w wyniku czego wiele osób spośród ludności cywilnej zostało zabitych lub rannych. Niemal codziennie ukazywały się samoloty niemieckie, przy czym niektóre z nich zrzucały bomby, między innymi na ratusz łódzki, elektrownię i dworce kolejowe. Katastrofalnie przedstawiało się zaprowiantowanie ludności. Około 90 procent mieszkańców żywiło się wyłącznie ziemniakami sprowadzonymi przez bardziej przedsiębiorcze osoby pod gradem pocis-

ków z okolicznych wsi. Wiele z nich handel ten przyplaciło życiem.

W nocy z 21 na 22 listopada rozpoczął się krwawy bój pod Rzgowem. Oddziały niemieckie, dowodzone przez generałów Litzmanna i Scheffera, doszły do południowo-wschodnich przedmieść Łodzi, zajmując wsie Olechów, Wiskitno i Dąbrowę. Tu też miały miejsce najkrwawsze walki. Szala zwycięstwa przechylała się raz na korzyść jednej, to znowu drugiej strony. Zajęcie Brzeziny przez Rosjan spowodowało odcięcie oddziałów niemieckich walczących pod Łodzi od ich głównych sił. Zdawało się, że zostaną one

Miasto przemieniono się teraz w jeden olbrzymi szpital. Wszystkie większe gmachy zajęte zostały przez rannych żołnierzy, których liczbę podawano na 35 tysięcy.

„Makabryczny obraz przedstawiał Teatr Wielki” — pisał naoczny świadek — „Na scenie, na której jeszcze znajdowały się dekoracje, była urządzona sala operacyjna. W łóżkach i na korytarzach leżeli ranni. Co chwila zajeżdżała chłopskie wozy, rowlaży, bryczki, na których leżeli ranni”. W czasie bitwy o Łódź spośród ludności cywilnej miasta poniosło śmierć około 200 osób, rannych zaś było ponad tysiąc. Zburzeniu uległo także blisko 100 domów, głównie w północnej dzielnicy miasta. O zniszczeniach, jakie dokonały przedmieście Radogoszcz w wyniku toczonych tam zaciętych walk, donosiło jedno z łódzkich pism następująco:

„Straszny widok przedstawiają okolice Łodzi. Linia kolejki zgierskiej: znaczna część słupów leży zwalona lub połamana. Druły pozrywane leżą całymi zwojami na torze, a miejscami aż na polach. Na polach, a głównie na szosie, leży mnóstwo wozów porzeczanych. Leżą też gęsto trupy konie. Liczne okopy, wyrwy w ziemi od pocisków i powyrwane drzewa, płoty dopełniają smutnego obrazu pobojujowiska”.

Po zakończeniu walk rozpoczęły się wędrówki mieszkańców na pobojujowiska. Zabierano na pamięć pikietki, ładownice, bagnety, naboje. Zdarzały się także wypadki grabieży. Zdzierano z poległych odzież i buty, zabierano im co cenniejsze przedmioty. Wreszcie władze niemieckie zakazały wędrówek na pobojujowiska, a rabusiów zaczęły karać śmiercią. Grzebaniem poległych żołnierzy zajęły się specjalne brygady złożone z bezrobotnych mieszkańców Łodzi. Około 1500 osób przez wiele dni kopano zbiorowe mogiły żołnierskie na stokach cmentarnego wzgórza.

WACŁAW PAWLAK

MARK KASWINOW

23 STOPNIE W DOL... (III)

CHODYNKA

W ślad za manifestem o wstąpieniu na tron należało się koronować. Koronacja odbyła się w pierwszej stolicy — w Moskwie. Za przygotowania do ceremonii odpowiedzialni: obermistrz ceremonii von der Palen, minister dworu Woroncowa-Daszkowa i jego zastępca Friederiks. Komisja ta była podporządkowana wujowi młodego cara Siergiejowi Aleksandrowiczowi, byłemu dowódcy Pułku Preobrażńskiego, a w tym czasie moskiewskiemu generałowi gubernatorowi.

Program uroczystości opracował von der Palen. Początkowo przewidywano dwa punkty: koronację w Uspeńskim Soborze

i świąteczny bal w sali kolumnowej gmachu Dworiańskiego. Następnie mistrz ceremonii dodał jeszcze jeden punkt: włączenie do uroczystości prostego ludu. Czasu na przygotowanie uroczystości było dużo — od ogłoszenia manifestu w październiku 1894 r. do dnia koronacji — w maju 1896 roku — przeszło półtora roku. Ale von der Palen nie zdążył w tym czasie nawet obejrzeć wybranego na miejsce ludowej zabawy Chodyńskiego Pola, które służyło za poligon moskiewskiemu garnizonowi. Wielki plac o przetrzezi 9 kilometrów kwadratowych poryty był transejami i okopami, pełno było wilezych

dolów, jam, starych studni. Wśród tych pułapek von der Palen kazał rozstawić namioty i stragany z drobiazgami, które miały być rozdane mieszkańcom Moskwy. Podarunkiem były papierowe torebki, zawierające kawałek słoniny, plasterki kiełbasy, jeden piernik, dzieciślan drynek i pięć orzechów. Oprócz tego każdy miał otrzymać emaliowany „koronacyjny kubek”.

18 maja 1896 r. przed świtem na Chodyńskim Polu zebrało się przeszło pół miliona ludzi. Jak mówi oficjalny raport o 5 rano „nad masą ludzi tworzyły się gęste obłoki pary, które nawet na bliską odległość nie pozwalały rozróżnić twarzy. Także ci, którzy znajdowali się w pierwszych rzędach wyglądali na zmęczonych i oblewali się potem”. Coraz częściej dawali się słyszeć jęki słabnących. Ludzie zaczęli mdleć. Tłum powołał „wypychał” ze środka zemdlałych „Podnoszono ich do góry, przetaczano po głowach aż do linii bufetów, gdzie przemawiali ich żołnierze”.

Mówiło się potem, że przyczyną katastrofy i śmierci ludzi był wybuch paniki. To prawda,

lecz z cytowanego dokumentu wynika, że pierwsze ofiary padły wcześniej, byli to „zemleńcy” lub zaduszeni na śmierć. Tuż przed szóstą rano, jakby na złośliwy sygnał w różnych krańcach pola zaczął się ruch, ludzka masa zafalowała. Pierwsze upadki w doły i okopy, krzyki trawianych wywołały ogólną panikę. „Martwi, ściśnięci tłumem, ruszyli razem z nim”. Zaczął się koszmarny. Ginęli w jamach i transejach starcy, kobiety i dzieci, studnie zamieniły się w groby. Cudem uratowani „wyskakowali na otwartą przestrzeń obszarpani, mokrzy, z dzikimi oczami... Wielu z nich z jękiem padło na ziemię”. Zginęło 1389 ludzi, ciężko rannych, było 1690, ciężko rannych — dziesiątki tysięcy.

Jeszcze tego samego ranka wieść o nieszczęściu obiegła Moskwę, pod wieczór wstrząsnęła Rosją. Tylko niewielu zachowało spokój: von der Palen, jego koledy z komisji, a także młody car. Zapałano w swoim dzienniku: „tłum, nocujący na Chodyńskim Polu w oczekiwaniu podarków runął na prowizoryczne budowle, powstała panika, w której — to straszne — zdeptano około

1300 ludzi. Dowiedziałem się o tym o 10.30... zostało mi po tej wiadomości obrzydliwe odczucie...”.

„Obrzydliwe odczucie” — i co dalej? A nic. Ostupiała ze zgrozy Moskwa oczekiwała, że car — po pierwsze — odłoży uroczystości, po drugie — zaareztuje i odda pod sąd winnych, po trzecie — że wraz z rodzinną wyjedzie z miasta, w którym tysiące ludzi oplakuje zabitych na jego święcie. Car nie zrobił nic. Koronacja dąbiała się. Następnie — pisze Witte: „W dniu chodyńskiej katastrofy, 18 maja, wg ceremoniału miał się odbyć bal u ambasadora Francji, Montebello. Przez cały dzień nie byliśmy pewni, czy wobec tej katastrofy bal się odbędzie czy nie. Wielki książę (Siergiej Aleksandrowicz) powiadził nam, że wielu doradców carowi, aby poprosił ambasadora o przełożenie balu, lub też, aby sam nie brał w nim udziału, ale car z tymi radami absolutnie nie chciał się zgodzić. Według niego chodyńską katastrofę należało zignorować... Ku mojemu zdziwieniu wszelkie uroczystości odbyły się wg zaplanowanego porządku”.

W tym samym więc czasie, kiedy na Chodyńskim Polu żołnierze i strażacy w świetle latarni zbierają trupy, na balu w krąg roztaczających gości wchodzi carska para. W opisie zagranicznego korespondenta wygląda to tak:

„Zyrandole zrzucają tysiące ogni na girlandy kwiatów i bryzgi fontann. Wszystkim jest wesoło... Wszędzie słychać szczęśliwy śmiech. A przecież ten dzień widział zabitych, całe stopy trupów pod pięknym słońcem... Na balu tworzą się grupki. Przesuwają się ku środkowi sali: tam imperator z imperatorką tańczą kadryla...”.

„W przeddzień nowego roku, młody car usiadłszy na chwilę w Sali Malachitowej, gdzie ubierał choinkę, tak napisał w dzienniku: „Daj Boże, aby następny, 1897 rok przeszedł tak szczęśliwie, jak ten”.

(cdn.)

Tłumaczył: MAREK WAWRZKIEWICZ

MAGAZYN

ODGŁOSY

GONITWA

1.

Tego dnia Jerzy S. pracował do godziny piętnastej. W trzy kwadranse później opuścił zakład w towarzystwie kolegi Wiesława N. Wędrowali ul. Armii Czerwonej i w pewnej chwili Jerzy S. ożywił się znacznie, czując ostre zapach chmielowych wypłuczyn.

— Damy sobie po dużym i do chaluzy! — powiedział.

— Jak postawisz, to możemy sobie dać — przystał trochę niechętnie kolega.

Weszli przeto do pijalni na roku Reymonta i obszuli po dużym kufku. Kolega Wiesław otarł dłonia usta i powiedział, że będzie dosyć. Ruszyli więc w drogę. Jerzy S. miał wzrosłe pragnienia, kusił na coś mocniejszego, ale Wiesław N. powiedział:

— Nie jestem kawaler. Jak ty się opiesz, to też będziesz ciągnął do domu. Ide do przedszkola no dziecko Czesi!

Rozstali się na przystanku nr „Zamek”. Jerzy S. kuśił błękit i czekał na tramwaj. Stojąc na przystanku przyszedł inny kolega — zapadł Jerzy S. Z

tym kolegą postanowili coś wypić u niego w domu. Chcieli kupić ewierkę, ale w sklepie ćwiartek nie było, przeto nabyli wino, adali się do domu i wypili.

Około godziny dziewiętnastej trzydziestej kolega wyprowadził Jerzego S. przed ołok i puścił luzem do domu, bo Jerzy S. się nie chwiał, czyli nie był pijany.

Puszczone luzem Jerzy S. pokolewał w stronę dworca, a że go suszyło to wstąpił do bufetu na oranzadę. Był jednak tylko sok pomarańczowy, na który Jerzy S. się wypiał. Skreślił w ulicę Torową i stanął na przejeździe przed zamkniętymi zaporami.

2.

Tego samego dnia dwóch młodych ludzi w wieku osiemnastu i dziewiętnastu lat, pracujący i dobrze notowani w dwóch różnych zakładach pracy, których Jerzy S. ale to później gotów był rozpoznać przy ich okazaniu, m. in. po wyglądzie zewnętrzny, budowie ciała i długich blond włosach, z których jedne były szczególnie długie, zeszli się na chacie i wyłopali pół litra oraz dwa wina, w tym jedno domowej produkcji, co miało być okolicznością łagodzącą. Następnie ruszyli w miasto, żeby trochę wyparować. Wstąpili na ulicę Torową i zobaczyli, że przed zaporami stoi facet ździebko zaproszony.

Młody ze szczególnie długimi włosami powiedział do zaproszonego:

— Te, stary daj na piwo, bo jak nie to ci tak dam, że cię rodzona matka nie pozna!

— A zarób sobie i sam sobie postaw! — odparł grzeczenie zagadnięty.

— Jak podniosą zapory, to pogadamy! — ostrzegł drugi młody z krótszymi blond włosami.

— Frajera nie szukajcie — powiedział facet zaproszony. — A poza tym piwa w tym kierunku nie ma.

Zapory się podniosły, facet ruszył przez tory i wtedy ten z długimi włosami uderzył go w twarz. Facet upadł lecz przytomności nie stracił, toteż zerwał się z jezdni między szlabanami i podjął próbę ucieczki w stronę nastawni. Tamci gnali za nim, bili i kopali, facet padł i podniósł się aż zniknął za budką nastawni.

3.

Dwaj pracownicy nastawni słyszeli jakieś okrzyki, podejrzane ruchy za ścianą i jeden nawet wyrzwał, aby zobaczyć, co się dzieje, ale nie szczególnie nie zauważył. Miel zresztą inną sprawę na głowie, bo od Łodzi miał nadjechać pociąg towarowy po trzecim torze, a tymczasem na przejeździe rozkraczył się samochód osobowy, z którego wysiadł kierowca i gapił się w kierunku nastawni. Zaczęli trąbić i dawać znaki, aby zjechał i kierowca zaraz to zrobił, ale nie pojechał dalej. Kierowca bowiem, a był nim obywatel P., patrzył na dziwną gonitwę wokół nastawni, w której dwaj długowłosi blondyni gonili rzeciego, z krótkimi włosami. W końcu rozbiegli się w przeciwnych kierunkach i w ten sposób schwytały uciekającego i powalili go, a sami zaczęli się szarpać. Kierowca nie słyszał dialogu:

— Daj mi spokój! On już ma dosyć!

— Co, puszcze żywego? Żebym za niego siedział!

Leżący poderwał się i zaczął

uciekać. Kierowca rozpoznał w nim kolegę z Zakładów Opatrunkowych, Jerzego S., i ruszył na pomoc.

4.

W odległości trzystu metrów majaczyły światła wolno jadącego pociągu. Ludzie krzyczęli za zaporami, ale stali jak wryci, kiedy Jerzy S. potknął się i upadł na szynę. Seigający dopadli go i kopali. Krzyczał i osłaniał rękami głowę.

— Weź go za kulsy i wrzuć pod pociąg! — wrzasnął blondyn o dłuższych włosach.

Zamiaru jednak nie spełnili, gdyż widząc nadbiegającego kierowcę, rzucili się do ucieczki. Jerzy S. wstał i zszedł z torów.

Jeden z uciekających zdolał przeskoczyć betonowy płot i znikł w ogródkach, natomiast drugiego, będącego już na płocie, kierowca chwycił za włosy, ściągnął i z pomocą siedzącego dotąd za siatką nieznane go mężczyzny, doprowadził do dyżurnego ruchu na stacji, skąd wezwano MO.

Długowłosymi blondynami okazali się osiemnastoletni Jerzy M. oraz dziewiętnastoletni Marek A. Pierwszy podczas składowania zeznał powiedział, że miał w kieszeni dziewięćdziesiąt pięć złotych i nie wie, co mu odbiło, że domagał się od Jerzego S. na piwo, a potem bili go i kopali. Drugi natomiast oświadczył, że miał jeszcze dziesięć złotych, toteż w osóle nie rozumie, co mu strzeliło do głowy, żeby urządzić taką gonitwę z zamiarem wrzucenia gościa pod pociąg.

JAN GONTAL



Fot. Archiwum

TADEUSZ
GICGIER

FRASZKI

CECHA

Cecha wazeliniarzy:
lekceważenie twarzy.

CHADZA

Chadza ścieżką utartą,
bowiem stwierdził, że
warto.

CZĘSTO

Często jeszcze odżywa
ta reguła stara:
jeden ciężko haruje,
drugi bierze haracz.

CHELPIŁ SIĘ...

Chelpił się nieużyty,
że nie jest w ciemności
bity.

CHCESZ...

Chcesz się pozbyć
lachudry?
Idź z lachudrą na udry.

CO ZA...

Co za egoistka:
nie dała mi listka.

POWIĘKSZENIA

ROZKOSZE PODROZOWANIA

Coraz częściej ruszają w zagraniczne wojaże łódzcy reporterzy. Reporter z „Dziennika Łódzkiego” ruszył samolotem na Wschód, a oto ciekawsze fragmenty podróży:

„Za chwilę stewardesy podadzą kolację: kawalek kurczaka, chleb, masło turytyczne, pomidor, jakies ciasteczko, angielska smertanik w proszku do kawy lub herbaty, Sztucce nierdzewne w komoanowej (?) kopercie z emblematem „Lotu”: niebieska czapka...”

„Po trzech dniach zwiedzania Moskwy reporter wsiadł, ale tym razem do samolotu „Aeroflotu”.

„Dają śniadanie: udko kurczęcia z frytkami, czarny kawior, 2 kromki znakomitego razowca, słodka buleczka, kawalek ciasta z marmoladą, jablko, powidła, masło, sól, pieprz, musztardę, cukier, dwie plastikowe wykalaczki oraz chusteczki higieniczne...”

Czytelnik już wie, że w „Aeroflocie” karmią lepiej, a jak karmili na m/s „Chabarowski” dowie się za tydzień, gdyż relacja z podróży na Daleki Wschód urywa się zapowiedzią popłynięcia statkiem do... Japonii.

Smacznego!

BAJKI LUBIMY OGROMNIE

„Express Ilustrowany” edukuje najmłodszych czytelników: „Już La Fontaine i Kryłow, chcąc przypląć łatkę ludzkiej przywarom, pakowali je w skóry bogu ducha winnych zwierząt”.

Alieci przypominamy skromnie, że znacznie wcześniej, bo w VI wieku przed naszą erą był Esop, później Fedrus w I wieku naszej ery, Babrius (II w.), Awanus (IV, V w.), a w Polsce Biernat z Lublina (XV, XVI w.). I oni też ludzkie przywary pakowali w skóry bogu ducha winnych zwierząt.

MAŁE KINO

„Najlepsze są te małe kina...” K.I.G.

LUZDKI POMYSŁ

W naszej TV zakończono już prace nad dwoma ciekawymi i ambitnymi filmami. W pierwszym z nich, przeznaczonym dla ludności miejskiej, pokazana zostanie żywa krowa. W drugim zaś, adresowanym do mieszkańców naszych pól i lasów — chłopów, zobaczą oni stożak z plastiką na dwie fajki. Po wyświetleniu filmów, obie grupy ludności pomiesza się i zażrele do dyskusu.

KOCHANE, DZIELNE OCZĘTA

Pan Jan Święty z suchych okolic Kielecczyny, do tego stopnia pokochał polskie filmy historyczne, iż uczestnicząc w ich oglądaniu potrafił przy pomocy silnej woli całkowicie wyeliminować mruganie. Dzięki temu prostemu pomysłowi pan Jan Święty nie traci nawet najmniejszego ułamka akcji. Kierownictwo naszej kinematografii w dowód uznania, postanowiło wyróżnić pana Jana Świętego i odkryć przed nim, jakie będzie zakończenie filmu o Kazimierzu Wielkim. Gdyby zaś wskutek niedopatrzeń organizacyjnych film kończył się, jakakolwiek, pan Jan Święty będzie miał prawo pomrużyć.

SYMPATYCZNE PRZYJĘCIA Z MORALEM

Znana gwiazda amerykańska Duda Dadu urządzając u siebie przyjęcie, nigdy nie zapomina o wywożeniu chudego staruszka. Gdy zabawa rozwija się już na dobre, aktorzy wymyślają go ze szkatułki i pokazują zebrany, w prostych słowach przynajmniej o nieubłaganym przemianach czasu. Dzięki temu na przyjęciach u Dudy Dadu spożyte alkoholi jest w normie a uczestnicy czują się zawsze odświeżeni duchowo. Zaś wywożeni staruszkowie, po odniedaniu wesola wspomniają mile spędzone w szkatulce chwile.

ANALIZA MŁODZIEŻY

Naukowcy filmowi po długich badaniach i studiach, potrafią odpowiedzieć wreszcie, co interesuje młodzież. Otóż młodzież interesuje wszystko, ale niestety, nie wszystko, co interesuje młodzież, można pokazać na ekranie. To zaś czego nie można pokazać na ekranie, zaczyna coraz bardziej interesować młodzież od tego, co można pokazać. Należy więc do prostu pokazywać młodzieży na ekranie to czego nie można pokazywać by zainteresować ją tym co można i trzeba pokazywać, a co pokazane nie zostało. Naukowcy filmowi dodają od siebie, że bardzo młodzież lubia.

JACEK BROMSKI - STORY

